

Księżniczka Marsa

Burroughs Edgar Rice



calibre 0.9.43

EDGAR RICE BURROUGHS

Księżniczka Marsa

(A PRINCESS OF MARS)

PRZEŁOŻYŁ DAROSŁAW J. TORUŃ

Edgar Rice Burroughs (1875-1950) jest znany przede wszystkim starszemu pokoleniu czytelników literatury przygodowej – i to raczej wcale nie jako autor powieści typu science fiction. Swoją pisarską, ogólnoswiatową karierę zrobił jako ojciec postaci, która przez kilka dziesięcioleci nie schodziła z ekranów kin, z łamów komiksowych czasopism, broszurowych wydań i wciąż wznawianych książek, we wszystkich chyba językach świata. Ten bohater Burroughsa ujrzał światło dzienne jeszcze przed I wojną światową, w 1912 roku. „Tarzan wśród małp” (Tarzan of the Apes) był pierwszą z całej serii książek, przedstawiających wciąż nowe i coraz bardziej fantastyczne przygody chłopca wychowanego przez małpy, który przekształcił się we wspaniałego mężczyznę o wielu cechach supermana. Mnożył przygody swego bohatera sam Burroughs, czynili to liczni naśladowcy, w tym wielu autorów komiksów (co było powodem szeregu procesów o prawa autorskie), brali Tarzana na warsztat wciąż nowi scenarzyści i reżyserzy filmowi. Ta oszałamiająca, zwłaszcza hollywoodzka kariera Tarzana okryła jakby cieniem i uczyniła, mniej widocznym innego bohatera Burroughsa – Cartera, przeżywającego swoje przygody nie w afrykańskiej dżungli, lecz poza Ziemią.

Carter zrodził się w wyobraźni Burroughsa mniej więcej w tym samym czasie, co Tarzan, a serie książek, których był bohaterem zapoczątkowała „Księżniczka Marsa” (A Princess of Mars), którą przedstawiamy naszym Czytelnikom.

Oglądana z perspektywy współczesnej literatury SF, książka Burroughsa – jeśli ma szansę zdobycia sympatii czytających – to przede wszystkim swoim urokiem trudnej do podrobienia staroci. Jest dość typowym produktem bardzo już dawnej formuły literatury fantastycznej, a zarazem stanowi odbicie ówczesnej wiedzy i poglądów na temat najbliższych Ziemi sąsiadów w kosmosie.

Burroughs o tyle mieści się w konwencji pisarstwa SF, że stara się – do pewnych granic – dochować wierności ówczesnej wiedzy o Marsie. Przyjmuje więc bardzo wówczas głośną hipotezę Schiaparellego i Lowella na temat kanałów na Marsie. Uwzględnia znany już fakt, że masa Marsa jest o wiele mniejsza niż Ziemi, a więc mniejsze jest ciężenie. (Utrudnia to bohaterowi w pierwszych chwilach poruszanie się, ale daje mu przewagę siły nad Marsjanami). Bierze także pod uwagę dłuższy czas obiegu Marsa wokół Słońca oraz nachylenie jego osi, powodujące zmiany pór roku. Nie ignoruje też przyjętych wówczas przez naukę poglądów, że atmosfera na Marsie jest bardziej rozrzedzona w porównaniu z ziemską i że planeta cierpi na niedostatek wody. Właśnie kanały, zgodnie z ówczesnymi hipotezami miały służyć bardziej racjonalnemu rozprowadzaniu wody po powierzchni wysychającej planety, stanowiąc równocześnie podstawę do przypuszczeń, że musi tam istnieć nie tylko życie, lecz również cywilizacja. Konsekwencje z poglądów Lowella wyciągnął w 1898 r. H. G. Wells, pisząc swoją „Wojnę światów”, a jeszcze 40 lat później Orson Welles potrafił śmiertelnie przestraszyć tysiące nowojorczyków opartym na niej słuchowiskiem radiowym.

Współczesna bezpośrednia penetracja przestrzeni kosmicznej, chociaż jeszcze ograniczona do obszarów naszego systemu słonecznego pozbawiła już pisarzy SF możliwości fantazjowania na temat życia na Wenus czy na Marsie. Radzieckie sondy ukazały nam przyduszoną ogromnym ciśnieniem, rozgrzaną do temperatury kilkuset stopni, pusta powierzchnie Wenus. Amerykańskie Marinyery przekazały obraz zupełnie zamrożonego Marsa, bez żadnych kanałów, niemal bez wody i atmosfery, bez śladów życia, o powierzchni usianej tysiącami kraterów, przypominającej martwy krajobraz Księżyca, a nie świat, na którym przeżywał swe przygody bohater Burroughsa.

Z tego punktu widzenia książka amerykańskiego autora należy już do historii – i to niejako podwójnie: do minionego już okresu wiedzy o sąsiadującej z Ziemią planecie i do historii literatury SF. Ale właśnie dlatego może chyba liczyć na względy czytelników, tych zwłaszcza, którzy potrafią poddawać się urokowi rzeczy dawnych.

Do czytelników

Przedstawiając Państwu w formie książki dziwny rękopis kapitana Cartera przypuszczam, że może być interesujące opatrzenie go kilkoma słowami wstępu, dotyczącymi tego nadzwyczajnego człowieka. Moje pierwsze wspomnienia o nim pochodzą z okresu tych kilku miesięcy, tuż przed wybuchem Wojny Domowej, które kapitan Carter spędził w domu mego ojca w Wirginii. Mimo iż byłem wtedy zaledwie pięcioletnim dzieckiem, dobrze pamiętam wysokiego, przystojnego, ciemnowłosego mężczyznę., którego nazywałem wujem Jackiem.

Na jego twarzy zawsze gościł uśmiech, a w naszych dziecięcych zabawach uczestniczył z tym samym zapałem i zaangażowaniem, jakie przejawiał, biorąc udział w rozrywkach dorosłych. Czasem całymi godzinami zabawiał moją starą babkę opowieściami ze swego burzliwego życia, w czasie którego zjeździł i poznał niemal cały świat. Wszyscy go kochaliśmy, a nasi niewolnicy nieomal całowali ślady jego stóp.

Był wspaniałym przykładem męskiej urody. Mierzył dobre dwa cale ponad sześć stóp wzrostu, miał szerokie ramiona, wąskie biodra i wysportowaną sylwetkę człowieka, którego żywiołem jest walka. Rysy twarzy miał regularne, ostro wyrzeźbione, włosy ciemne, krótko obcięte i stalowoszare oczy, odbijające prawy i niezłomny charakter. Jego nienaganne maniery i uprzedzająca grzeczność były z rodzaju tych, jakie spotyka się wśród najlepszych arystokratycznych rodzin na Południu.

Jeździł konno, szczególnie gdy gonił za sforą ogarów, w sposób, który budził podziw i uznanie nawet u nas, w kraju słynnym ze znakomitych jeźdźców. Słyszałem często, jak ojciec ostrzegał go przed skutkami dzikiej brawury. On jednak śmiał się tylko i mówił, że nie narodził się jeszcze koń, który mógłby go wysadzić z siodła.

Gdy wybuchła wojna, opuścił nas i nie widziałem go przez następnych piętnaście czy szesnaście lat. Przyjechał po raz wtóry bez uprzedzenia i byłem bardzo zdziwiony, gdy zauważyłem, że przez ten cały czas wcale się nie zestarzał ani też nie zmienił w żaden widoczny sposób. Wśród ludzi był tym samym radosnym i szczęśliwym człowiekiem, którego pamiętaliśmy z dawnych dni. Widziałem go jednak kilkakrotnie, gdy przypuszczał, że jest sam; siedział wówczas godzinami, patrząc w przestrzeń, z twarzą ściągniętą tęsknotą i cierpieniem. Noce spędzał ze wzrokiem utkwionym w niebo i dopiero całe lata później, gdy przeczytałem jego rękopis, zrozumiałem powód tego dziwnego zachowania.

Powiedział nam, że po zakończeniu wojny spędził pewien czas poszukując złota na terenie Arizony. Nieograniczone sumy pieniędzy, którymi dysponował dowodziły, że te poszukiwania zostały zakończone pełnym sukcesem. Jednak o szczegółach swego życia mówił bardzo powściągliwie, a właściwie nie mówił o nich wcale. Został z nami prą wie rok, a potem pojechał do Nowego Jorku, gdzie kupił niewielką posiadłość nad rzeką Hudson. Odwiedzałem go tam raz do roku, przy okazji moich handlowych podróży – mój ojciec i ja posiadaliśmy w owym czasie wiele sklepów, rozsianych po całej Wirginii. Kapitan Carter był właścicielem małej, lecz pięknej willi, malowniczo położonej na urwistym brzegu rzeki. Podczas jednej z moich ostatnich wizyt, w zimie 1885 roku, zauważyłem, że był bardzo zaabsorbowany pisaniem – tego właśnie, jak teraz przypuszczam,

manuskryptu.

Powiedział mi wówczas, że chce, jeżeli mu się coś przytrafi, abym zaopiekował się jego posiadłością. Wręczył mi klucz do skrytki w szafie pancерnej stojącej w jego gabinecie, w której miałem znaleźć testament i pewne osobiste instrukcje. Wymógł na mnie uroczystą przysięgę, że wszystkie ściśle wypełnię.

Tego dnia, udając się na spoczynek, zauważyłem go z okna mego pokoju. Stał w promieniach księżyca na zwróconym ku rzece urwisku, z rękami wyciągniętymi ku niebu, jakby błagał o litość. Pomyślałem wówczas, że się modli i zdziwiłem się nieco, bowiem nigdy nie uważałem go za człowieka religijnego. W kilka miesięcy po powrocie do domu, chyba pierwszego marca 1886 roku, otrzymałem telegram, w którym prosił, abym natychmiast do niego przyjechał. Byłem zawsze jego ulubieńcem wśród młodszej generacji Carterów, więc niezwłocznie pospieszyłem.

Przybyłem na małą stację, oddaloną o blisko milę od jego posiadłości, rankiem czwartego marca 1886 roku. Czekał na mnie służący. Gdy mu poleciłem jechać do domu kapitana, powiedział, że jeżeli jestem przyjacielem jego pana, ma dla mnie bardzo złe wiadomości. Tego ranka, krótko po wschodzie słońca, stróż sąsiedniej posiadłości znalazł kapitana Cartera martwego. Z jakiejś przyczyny ta wiadomość wcale mnie nie zaskoczyła, pojechałem jednak najszybciej, jak to było możliwe, by zająć się pogrzebem i sprawami, które mi zostawił.

W małym salonie zastałem szefa lokalnej policji, kilku mieszkańców miasta oraz stróża, który opowiedział szczegóły, związane ze znalezieniem ciała. Gdy się na nie natknął było jeszcze ciepłe. Leżało w śniegu, z rękami wyciągniętymi ku krawędzi urwiska, w pozycji jak sobie uświadomiłem, identycznej z tą, w jakiej widywałem kapitana w owe noce, gdy zdawał się błagać niebo o łaskę.

Ciało nie nosiło żadnych śladów przemocy i koroner, przy pomocy miejscowego lekarza, szybko wydał orzeczenie o śmierci na skutek zawału serca. Gdy wreszcie zostałem sam, otworzyłem kasę pancerną i opróżniłem szufladę, w której, jak mi mówił, znajdę przeznaczone dla mnie instrukcje. Były one istotnie dość osobliwe, ale wypełniłem je do ostatniego szczegółu, najuczciwiej jak potrafiłem.

Kapitan polecił mi przewieźć swoje ciało do Wirginii bez balsamowania i złożyć w otwartej trumnie w grobowcu, który poprzednio wybudował. Jak się później przekonałem, grobowiec posiadał bardzo dobrą wentylację. W instrukcjach było zawarte żądanie, abym osobiście dopilnował ścisłego wykonania wszystkich poleceń, zachowując tajemnice, jeśli okaże się to konieczne. Majątkiem zadysponował w sposób następujący: przez 25 lat miałem otrzymywać wszystkie płynące z niego dochody, po czym przechodził na moją wyłączną własność. Dalsze wskazówki dotyczyły rękopisu. Przez jedenaście lat miał pozostać w takim stanie, w jakim go znalazłem, nie czytany i nie rozpieczętowany. Publicznie ogłosić jego treść mogłem dopiero po upływie 21 lat od śmierci kapitana.

Dziwną rzeczą w grobowcu, w którym jego dało ciągle spoczywa jest to, iż masywne drzwi zaopatrzone są w wielki, złożony zamek sprężynowy, który otwiera się tylko od wewnątrz.

Szczerze oddany
Edgar Rice Burroughs

Na wzgórzach Arizony

Jestem bardzo starym człowiekiem – sam nie wiem ile mam lat. Być może sto, może więcej. Nie potrafię, powiedzieć, gdyż nigdy nie starzałem się tak, jak inni ludzie. Nie pamiętam również swego dzieciństwa. Jak daleko sięgnę pamięcią zawsze byłem mężczyzną lat około trzydziestu. Wyglądam dzisiaj tak, jak wyglądałem czterdzieści i więcej lat temu, a mimo to wiem, że nie będę żył wiecznie, że któregoś dnia przyjdzie po mnie śmierć, ta prawdziwa, po której już się nie zmartwychwstaje. Nie widzę powodu, dla którego miałbym się obawiać śmierci – ja, który umarłem już dwukrotnie i ciągle żyje. A jednak jest we mnie ten sam strach przed nią, co u was, którzy nigdy nie umarliście. I, jak przypuszczam, ten właśnie strach zrodził we mnie przekonanie, że ja również jestem śmiertelny. Zmusza mnie ono do opisania dziejów mego życia i moich śmierci. Nie potrafię wyjaśnić tego fenomenu, mogę jedynie w prostych słowach szeregowego żołnierza fortuny podać kronikę dziwnych przygód, które mi się przytrafiły w ciągu dziesięciu lat, podczas których moje martwe ciało leżało, przez nikogo nie odnalezione, na dnie pieczary w Arizonie. Nigdy nie opowiadałem tej historii. Żaden też śmiertelny człowiek nie ujrzy tego rękopisu, dopóki rzeczywiście nie przekroczę progu wieczności. Wiem, że umysł przeciętnego człowieka nie uwierzy w to, czego nie może dotknąć i zobaczyć. Dlatego nie mam zamiaru stawać pod pręgierzem opinii publicznej, kościoła i prasy i być poczytywanym za gigantycznego łgarza tylko dlatego, że mówię czystą prawdę, która pewnego dnia zostanie potwierdzona przez naukę. Być może doświadczenia, które stały się moim udziałem na Marsie i wiedza, jaką mogę przekazać w tej kronice pomogą we wcześniejszym zrozumieniu tajemnic naszej siostrzanej planety – tajemnic dla was, ale już nie dla mnie.

Nazywam się John Carter, jednak bardziej jestem znany jako kapitan Jack Carter z Wirginii. Gdy Wojna Domowa dobiegła końca stwierdziłem, że posiadam kilkaset tysięcy bezwartościowych dolarów (konfederackich), stopień kapitana kawalerii w armii, która już nie istnieje i jestem sługą kraju, który znikł wraz z nadziejami Południa. Bez dowódców, bez grosza, pozbawiony jedyne źródła utrzymania – walki, postanowiłem udać się na południowy zachód i spróbować odzyskać utraconą fortunę, poszukując złota.

Blisko rok prowadziłem, wraz z innym oficerem armii konfederackiej, kapitanem Powellem z Richmond, roboty poszukiwawcze. Mieliśmy wyjątkowe szczęście, gdyż zimą 1865 roku natknęliśmy się, po wielu wysiłkach i wyrzeczeniach, na żyłę złotonośnego kwarcu, która swoim bogactwem przewyższała nasze najśmielsze marzenia. Powell, który z wykształcenia był inżynierem-górnikiem, stwierdził, że odkryliśmy kruszec wartości ponad miliona dolarów, możliwy do wydobycia w ciągu zaledwie trzech miesięcy.

Ponieważ nasze wyposażenie było wyjątkowo ubogie, zdecydowaliśmy, że jeden z nas musi wrócić do cywilizacji, kupić potrzebne urządzenia i najać wystarczającą liczbę ludzi, by rozpocząć eksploatację kopalni.

Powell znał zarówno okolice, jak i techniczne potrzeby przedsięwzięć górniczych, postanowiliśmy więc, że to on uda się na te wyprawę. Ja zgodziłem się zostać i bronić naszego prawa własności przed ewentualnymi, jednak mało prawdopodobnymi zakusami jakiegoś innego

poszukiwacza, który mógłby zawędrować w pobliże.

Trzeciego marca 1866 roku zapakowaliśmy zapasy na drogę na dwa z naszych mułów. Powell powiedział mi do widzenia, wskoczył na konia i ruszył w dół, ku dolinie, przez którą prowadził pierwszy etap jego podróży. Poranek tego dnia był, jak niemal wszystkie poranki w Arizonie, piękny i czysty. Mogłem obserwować Powella i jego juczne zwierzęta, wybierających najlepszą drogę w dół zbocza. Aż do trzeciej po południu, gdy zanurzyli się w cień łańcucha gór, leżącego po przeciwnej stronie doliny, od czasu do czasu widziałem ich, wspinających się na jakieś wzgórze lub pokonujących wyniesienie.

Około trzeciej trzydzięci spojrziałem przypadkowo w dolinę i zdziwiłem się, widząc trzy małe punkty niemal w tym samym miejscu, w którym po raz ostatni dostrzegłem Powella i jego dwa muły. Nie jestem skłonny do zbytecznych obaw, lecz im bardziej próbowałem się przekonać, że z Powellem nic złego się nie stało, a dostrzeżone punkty to antylopy lub dzikie konie, tym większy mnie ogarniał niepokój.

Ponieważ od czasu, gdy znaleźliśmy się w tej okolicy nie zauważyliśmy ani śladu wrogo nastawionych Indian, nie podjęliśmy żadnych środków ostrożności. Miedzy bajki włożyliśmy zasłyszane opowieści o wielkiej liczbie tych okrutnych włóczęgów, jakoby grasujących w pobliżu, mordujących i torturujących każdą grupę białych, która wpadnie w ich bezlitosne szpony.

Wiedziałem, że Powell był dobrze uzbrojony i ponadto miał doświadczenie w walce z Indianami. Jednak ja również spędziłem wiele lat wśród Siouxów na Północy i wiedziałem, że jego szansę w starciu z oddziałem przebiegły Apaczów są bardzo niewielkie. W końcu nie mogłem dłużej znieść niepewności i, uzbroiwszy się w dwa rewolwery Colta, karabin oraz dwa pasy z nabojami osiodłałem konia i pojechałem w dół drogą, którą Powell przebył tego ranka.

Natychmiast, gdy znalazłem się na stosunkowo równym terenie zmusiłem konia do galopu. Jechałem tak aż do chwili, gdy krótko przed zmierzchem zauważyłem ślady trzech niepodkutych, galopujących koni, łączące się ze śladami, pozostawionymi przez Powella.

Ruszyłem za nimi najszybciej, jak mogłem. Jednak wkrótce zapadające ciemności zmusiły mnie do zatrzymania się w oczekiwaniu na wschód księżyca. Dało mi to możliwość gruntownego przemyślenia całej sytuacji. Być może niebezpieczeństwo istniało tylko w mojej wyobraźni, uroiłem, je sobie jak stara, przesadna kobieta i gdy wreszcie dogonię Powella mój niepokój stanie się tylko tematem do żartów.

Jednak, jakkolwiek nie jestem sentymentalny, przez całe życie uważałem poczucie obowiązku, gdziekolwiek miałoby mnie ono prowadzić, za rodzaj fetysza. Dzięki niemu dostąpiłem zaszczytów w trzech republikach, zyskałem odznaczenia i przyjaźń starego, potężnego cesarza oraz kilku pomniejszych królów, w których służbie ostrze mojej szabli niejednokrotnie barwiło się czerwienią.

Około dziewiątej światło księżyca było wystarczająco silne, abym mógł jechać dalej. Nie miałem trudności w szybkim podążaniu za tropem – stępa, a niekiedy nawet kłusem. Około pomocy dotarłem do małego stawu, przy którym Powell miał nadzieję nocować. Było tam zupełnie pusto, nie znalazłem żadnych śladów obozowiska.

Zauważyłem, że trzech jeźdźcy zatrzymali się nad wodą jedynie na chwile, prawdopodobnie by napić konie, i pojechali za Powellem, starając się utrzymać taką samą prędkość, z jaką jechał mój przyjaciel.

Teraz już byłem przekonany, że są to Apacze i mają zamiar schwytać Powella żywcem, by dostarczyć sobie szatańskiej przyjemności zadawania mu tortur. Pognałem konia naprzód nie zważając na niebezpieczeństwo. Miałem nadzieję dognać tych czerwonych rozbójników, zanim go zaatakują.

Dalsze moje rozmyślenia zostały przecięte jak nożem dalekim odgłosem dwóch strzałów. Wiedziałem, że teraz Powell potrzebuje mojej pomocy bardziej niż kiedykolwiek. Pognałem konia, zmuszając go do najszybszego galopu, na jaki mógł się zdobyć na wąskiej i trudnej górskiej ścieżce.

Przebyłem około mili, lub nawet więcej, nie słysząc dalszych odgłosów walki, gdy nagle ścieżka zagubiła się w małej, otwartej przestrzeni w pobliżu grzbietu przełęczy. Widok, jaki ujrzałem przeraził mnie.

Niewielki obszar płaskiego gruntu był biały od indiańskich wigwamów, a około pięciuset czerwonych wojowników zebrało się wokół jakiegoś obiektu w centrum obozu. Byli tak pochłonięci tym, co się tam znajdowało, że zupełnie mnie nie zauważyli. Mógłbym zawrócić i uciec, kryjąc się bezpiecznie w ciemnościach. Jednak taka myśl przyszła mi do głowy dopiero następnego dnia, gdy wspominałem całe wydarzenie.

Nie wierze, że jestem z tej samej gliny, z której ulepiani są wielcy bohaterowie. Wśród setek przygód, w jakie się angażowałem stając twarzą w twarz ze śmiercią, nie przypominam sobie ani jednej, w trakcie której przyszłaby mi do głowy myśl, że mógłbym się zachować inaczej, niż to akurat czyniłem. Dopiero wiele godzin później dostrzegałem inne możliwości. Widocznie mój umysł jest tak skonstruowany, że podświadomie kieruje mnie na ścieżkę obowiązku, bez zagłębiania się w niepotrzebne i męczące dywagacje. Jednak, jakkolwiek by to było, jestem zadowolony, że tchórzostwo nie jest jedną z cech mego charakteru.

Byłem oczywiście świadomy, że tym centrum zainteresowania jest Powell. Nie pamiętam, jaka była moja pierwsza myśl ani co najpierw zrobiłem, ale mgnienie oka później pędziłem ku armii wojowników z rewolwerami w dłoniach, nieprzerwanie strzelając i wrzeszcząc jak opętany. Nie mogłem wybrać lepszej taktyki, gdyż Indianie, przekonani, że szarżuje na nich co najmniej pułk regularnego wojska, rozbiegli się na wszystkie strony w poszukiwaniu swoich łuków, strzał i strzelb. Widok, jaki ujrzałem po ich ucieczce, napełnił mnie smutkiem i wściekłością. W czystym świetle księżyca leżał Powell, dosłownie naszpikowany strzałami. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że jest już martwy. Zaprzagnąłem jednak uchronić jego ciało przed profanacją z rąk Apaczów, równie mocno jak przedtem chciałem uratować mu życie.

Podjechałem, schyliłem się i nie zeskakując z siodła chwyciłem za pas z nabojami, owinięty wokół jego bioder. Podniosłem ciało w górę i położyłem na koniu przed sobą. Jeden rzut oka wystarczył, by się zorientować, że powrót drogą, którą tu przybyłem będzie bardziej ryzykowny niż jazda na wprost, przez łąkę. Wbiłem ostrogi w boki mojego biednego wierzchowca i skierowałem się ku przełęczy.

Indianie już zdążyli się zorientować, że jestem sam i zaczęli mnie zasypywać przekleństwami, strzałami z łuków i kulami. W niepewnym świetle księżyca trudno jednak było dokładnie wycelować, poza tym Indianie byli jeszcze wytrąceni z równowagi nagłym sposobem, w jaki pojawiłem się między nimi, a ja byłem celem raczej szybko się przesuającym. Wszystko to uchroniło mnie przed trafieniem oraz pozwoliło skryć się w cieniach okolicznych szczytów zanim został zorganizowany regularny pościg.

Praktycznie nie kierowałem koniem, gdyż przypuszczałem, że łatwiej niż ja odnajdzie wiodącą na przełęcz ścieżkę. Stało się jednak tak, iż koń poszedł w stronę grzbietu górskiego, a nie przełęczy, za którą miałem nadzieje odnaleźć naszą bezpieczną dolinę. Jest jednak możliwe, że tej właśnie okoliczności zawdzięczam życie oraz niezwykle doświadczenia i przygody, jakie stały się moim udziałem w ciągu następnych dziesięciu lat.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że znajduje się na niewłaściwej drodze, gdy okrzyki ścigających mnie Indian zaczęły oddalać się i słabnąć daleko po mojej lewej stronie. Zrozumiałem,

że przy postrzępionych skałach, które spoczywały na skraju łąki skierowali się na lewo, gdy tymczasem mnie i martwe ciało Powella koń poniósł na prawo.

Wspiąłem się na niewielki wzgórek, z którego otwierał się widok na okolice i zobaczyłem, że ścigająca mnie grupa dzikich znika, zakręcając za sąsiedni szczyt. Wiedziałem, że Indianie wkrótce odkryją, iż się pomylili i rozpoczną poszukiwania na nowo, tym razem we właściwym kierunku.

Przejechałem jeszcze niewielką odległość i natknąłem się na wysoką skałę, obok której wiodła w górę, w kierunku, w którym chciałem jechać równa i stosunkowo szeroka dróżka. Po mojej prawej stronie wyrastała na kilkaset stóp w górę skała, zaś po lewej – opadało w dół, aż do dna skalistego jaru, gładkie i niemal pionowe urwisko. Przejechałem tą dróżką być może sto jardów, a potem ostry zakręt w prawo skierował mnie ku wylotowi dużej pieczary. Miał on około czterech stóp wysokości i trzy do czterech stóp szerokości. Dróżka kończyła się tuż przed nim. Był już ranek i nagle, niemal bez ostrzeżenia, z tak charakterystycznym dla Arizony brakiem świtu i jego półcieni, zalało mnie jasne światło dzienne.

Zeskoczyłem z konia i ułożyłem Powella na ziemi, ale nawet staranne badanie nie pozwoliło mi odnaleźć w nim najmniejszej isierki życia.. Usiłowałem wlać wodę z manierki w jego martwe usta, zwilżałem mu twarz, rozcierałem ręce. Trudziłem się w ten sposób przez blisko godzinę, nie bacząc na to, iż wiedziałem, że już dawno nie żyje.

Darzyłem Powella ogromną sympatią. Był człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, prawdziwym gentlemanem z Południa, moim szczerym i oddanym przyjacielem, toteż daremne starania nad przywróceniem go do życia porzuciłem wreszcie z uczuciem najgłębszego żalu.

Zostawiłem ciało Powella na półeczce skalnej i wpełzłem do pieczary, by się nieco rozejrzeć. Miała ona około stu stóp średnicy i trzydzieści lub czterdzieści wysokości. Gładka i wydeptana podłoga oraz inne szczegóły świadczyły, że była kiedyś, w jakichś odległych czasach, zamieszkana. Tylne ściany gubiła się w tak gęstym mroku, że nie byłem w stanie stwierdzić, czy istniały w niej jakieś przejścia do innych pomieszczeń. W trakcie przeszukiwania pieczary nagle zacząłem czuć ogarniającą mnie przyjemną senność. Przypisałem ją zmęczeniu długą i wyczerpującą jazdą oraz reakcji organizmu na napięcie, wywołane walką i ucieczką. Czułem się tutaj stosunkowo bezpiecznie, gdyż wiedziałem, że na dróżce, którą przyjechałem, jeden człowiek mógłby się z powodzeniem bronić przeciw całej armii.

Wkrótce już byłem tak senny, że tylko nadzwyczajnym wysiłkiem woli powstrzymywałem się od ułożenia na podłodze pieczary na krótki odpoczynek. Nie wolno mi było tego zrobić, gdyż oznaczało to pewną śmierć z rąk moich czerwonych przyjaciół, którzy lada chwila mogli się tu zjawić. Zacząłem iść w stronę wyjścia, ale tylko zatoczyłem się jak pijany i upadłem na podłogę.

Ucieczka umarłego

Ogarnęło mnie uczucie niemocy, mięśnie rozluźniły się i już byłem skłonny poddać się pragnieniu snu, lecz usłyszałem zbliżające się konie. Spróbowałem podnieść się na nogi i z przerażeniem stwierdziłem, że mięśnie nie słuchają rozkazów woli. Byłem całkowicie rozbudzony, ale zupełnie niezdolny do poruszenia choćby palcem, jakbym się nagle obrócił w kamień. I wtedy właśnie po raz pierwszy zauważyłem lekką mgiełkę, wypełniającą pieczarę. Była niezmiernie delikatna i widoczna jedynie przy wejściu, przez które wpadało światło słońca. Jednocześnie poczułem nikły, gryzący zapach i zdałem sobie sprawę, że zostałem poddany działaniu jakiegoś gazu. Jednak w dalszym ciągu nie rozumiałem dlaczego zachowując pełnię władz umysłowych nie jestem w stanie się poruszyć.

Leżałem twarzą ku wyjściu, przez które widziałem krótki odcinek drogi między pieczarą a skałą. Hałas zbliżających się koni umilkł, prawdopodobnie Indianie zaczęli się skradać ku memu grobowi za życia. Pamiętam, że miałem wtedy nadzieję, iż zadadzą mi szybką śmierć, bowiem perspektywa niezliczonej ilości rzeczy, które by mogli ze mną robić, gdyby spłynęło na nich natchnienie nie uśmiechała mi się. szczególnie.

Nie musiałem długo czekać na chwile, w której zgłuszony dźwięk przekonał mnie o ich bliskości. Wkrótce zza skały wysunęło się wymalowane barwami wojennymi oblicze i dzikie oczy spojrzały wprost na mnie. Byłem całkowicie pewny, że Indianin mnie wyraźnie widział, gdyż byłem oświetlony padającymi poprzez wejście promieniami porannego słońca. Zamiast jednak podejść, po prostu stał i gapił się okrągłymi ze zdumienia oczami. Potem ukazała się następna twarz i trzecia, i czwarta, i piąta. Każda z nich wychylała się ponad ramionami kolegów, gdyż ze względu na niewielką szerokość przejścia Indianie nie mogli wysunąć się przed stojącego na czele. Wszystkie wyrażały strach i grozę, jednak nie wiedziałem, co wzbudziło takie uczucia. Ta zagadka została wyjaśniona dopiero dziesięć lat później. Fakt, iż ci, którzy byli na czele, przekazywali szeptem jakieś wiadomości do tyłu wskazywał, że za skałą kryli się następni wojownicy.

Nagle z głębi jaskini dobiegł cichy, lecz wyraźny jęk. Usłyszawszy go Indianie zaczęli się w popłochu wycofywać. Tak gwałtownie starali się uciec od nieznaney rzeczy za moimi plecami, że jeden z nich runął z występu skalnego wprost na skały w dole. Przez pewien czas ich dzikie okrzyki odbijały się echem od ścian kanionu, a później znów zapanowała cisza.

Dźwięk, który ich tak przeraził nie powtórzył się więcej, ale nawet ten jeden raz wystarczył, abym zaczął snuć domysły na temat upiora, który czaił się w cieniu za moimi plecami. Strach jest pojęciem względnym i dlatego moje ówczesne odczucia mogę mierzyć tylko tymi wrażeniami, jakich doznawałem zarówno wcześniej, jak i później w innych niebezpiecznych sytuacjach. Mogę jednak powiedzieć, że jeżeli uczucie, które mną zawładnęło w ciągu następnych kilku minut było strachem, to niech Bóg ma litość dla tchórz, gdyż strach jest sam w sobie karą aż nadto dostateczną.

Dla człowieka, który zawsze zwykł walczyć o swoje życie z całą energią, jaka kryła się w jego silnym ciele, zaiste przerażająca była sytuacja, w której leżał sparaliżowany, odwrócony tyłem do nieznanego niebezpieczeństwa, potrafiącego jednym dźwiękiem zmusić do beładnej ucieczki srogich indiańskich wojowników, jakby byli stadem owiec, zaatakowanych przez wilka.

Kilkakrotnie wydawało mi się, że słyszę za sobą słabe dźwięki, jakby ktoś poruszał się ostrożnie, lecz w końcu i one umilkły. Mogłem już bez zakłóceń oddać się kontemplacji mego położenia. Domyślałem się zaledwie, jaka jest przyczyna paraliżu i mogłem mieć jedynie nadzieję, że minie on równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Późnym popołudniem mój koń, stojący dotychczas przed pieczarą z puszczonej wolno cugłami, poszedł powoli w dół dróżki, najwyraźniej w poszukiwaniu pożywienia i wody. Zostałem sam na sam z tajemniczym, nieznanym towarzyszem i martwym ciałem przyjaciela, leżącym akurat na skraju mego pola widzenia.

Od tej chwili aż do pomocy panowała cisza – cisza umarłych. Potem nagle usłyszałem ten sam przeraźliwy jęk, a z mrocznego cienia dobiegł odgłos poruszeń i jakby szelest zwiędłych liści. Był to straszny wstrząs dla moich, już i tak nadwerżonych nerwów. Nadludzkim wysiłkiem usiłowałem zerwać straszne, obezwładniające mnie więzy. Nie był to wysiłek fizyczny, gdyż nie byłem w stanie poruszyć nawet małym palcem, a wysiłek umysłu, woli, nerwów, jednak wcale przez to nie mniejszy. I nagle coś trzasnęło, jak zbyt naprężony stalowy drut. Poczułem chwilowe mdłości i znalazłem się przy ścianie pieczary, oparty o nią plecami, stojąc twarzą do mego nieznanego nieprzyjaciela.

Światło księżyca zalało pieczarę i zobaczyłem siebie, leżącego przede mną, tak jak leżałem przez te wszystkie godziny, z oczyma zwróconymi w stronę wyjścia i rękami rozrzuconymi bezsilnie na podłodze. Z zupełnym zamętem w głowie spojrzałem na moje pozbawione życia ciało na podłodze pieczary, a potem na siebie. Tam leżałem w pełni ubrany, a tutaj stałem nagi, jak w momencie narodzenia. Zmiana była tak nagła i tak nieoczekiwana, że przez chwile zapomniałem o wszystkim innym, poza moją dziwną metamorfozą. Pierwsza myśl – „Czy to właśnie jest śmierć? Czy naprawdę przekroczyłem już na zawsze próg tego drugiego życia?” Nie mogłem w to uwierzyć, gdyż czułem serce, tłukące się w piersi po wysiłku, włożonym w uwolnienie się z paraliżu. Mój oddech był krótki i szybki, pot występował mi na ciało wszystkimi porami, a po przeprowadzeniu znanego doświadczenia z uszczypnięciem się doszedłem do wniosku, że na pewno nie jestem duchem.

Do rzeczywistości przywołał mnie ponowny jęk, dobiegający z głębi pieczary. Rewolwery tkwiły u pasa przy moim pozbawionym życia ciele. Z jakiejś nieznannej przyczyny nie mogłem się przemóc, aby go dotknąć. Karabin został w olstrze przy siodle i oddalił się wraz z koniem. W ten sposób zostałem bezbronny. Jediną szansą zdawała się być ucieczka i zdecydowałem się na nią dość szybko, zwłaszcza że szeleszczące dźwięki zaczęły się powtarzać, a ciemności pieczary i moja wybujała wyobraźnia podsunęły mi obraz czegoś czołgającego się ukradkiem w moim kierunku.

Niezdolny dłużej opierać się chęci ucieczki z tego straszego miejsca, wybiegłem szybko przez otwór w czystą, gwiazdzistą noc. Rzeńskie górskie powietrze podziało na mnie jak środek wzmacniający i poczułem, że moje ciało wypełnia nowe życie i nowa odwaga. Siedząc na krawędzi skały robiłem sobie wyrzuty, że się poddałem, jak się teraz wydawało, zupełnie nieuzasadnionym obawom. Tłumaczyłem sobie, że przecież leżałem w pieczarze przez wiele godzin zupełnie bezradny i nie stało mi się nic złego. Teraz, przemyślawszy wszystko dokładnie, doszedłem do wniosku, że hałasy, które słyszałem musiały być spowodowane czysto naturalnymi i nieszkodliwymi przyczynami. Prawdopodobnie ukształtowanie pieczary było takie, że dźwięki, które słyszałem, mogły być powodowane, nawet lekkimi, podmuchami wiatru.

Postanowiłem zbadać te hipotezy, lecz najpierw uniosłem głowę, by dać płucom możliwość głębokiego oddychania czystym, orzeźwiającym górskim powietrzem. Zobaczyłem daleko w dole wspaniałą perspektywę skalistego wąwozu i płaską, porośniętą kaktusami równinę, srebrzoną blaskiem księżyca. Był to zapierający dech w piersiach widok.

Niewiele słynnych cudów Zachodu może się równać z krajobrazem Arizony, skąpanym w świetle

księżycą. Posrebrzane, dalekie góry, dziwne światła i cienie na grzbietach wzgórz i w rozpadlinach, groteskowe kształty sztywnych, a jednak pięknych kaktusów – wszystko to tworzyło czarujący i budzący natchnienie obraz, tak różny od wszystkich innych, jakie można zobaczyć na naszej Ziemi, że miało się wrażenie, jakby się po raz pierwszy zajrzało w jakiś tajemniczy, umarły i dawno zapomniany świat.

Stałem tak, rozmyślając, a później uniosłem wzrok ku niebu, na którym niezliczone ilości gwiazd tworzyły piękny baldachim, odpowiadający wspaniałością krajobrazowi na Ziemi. Szybko moją uwagę przykuła duża, czerwona gwiazda, wisząca nisko nad dalekim horyzontem. Patrzyłem, zafascynowany jej pięknem – to był Mars, bóg wojny, a ja – człowiek, którego żywiołem była walka, zawsze znajdowałem się pod jego nieodpartym urokiem.

Patrzyłem na niego w czasie tej dawno zagubionej w przeszłości nocy i wydawało mi się, że słyszę jego wołanie, że przyzywa mnie z nieskończonej dali, że przyciąga mnie, jak magnes przyciąga okruch żelaza.

Moja tęsknota wybuchnęła z siłą, której się nie mogłem przeciwstawić. Zamknąłem oczy, wyciągnąłem ręce ku bogu mego zawodu. Poczulem, że lecę z szybkością myśli przez bezmiar przestrzeni. Potem już było tylko przejmujące zimno i kompletna ciemność.

Przybycie na Marsa

Gdy otworzyłem oczy ujrzałem dziwny, niezemski krajobraz. Zrozumiałem, że jestem na Marsie. Nie postawiłem sobie pytania, czy moje zmysły są w porządku czy też śnie. Nie spałem, nie było potrzeby sprawdzać tego szczypaniem. Wewnętrzna świadomość mówiła mi tak wyraźnie, że jestem na Marsie, jak wasze świadome mózgi mówią wam, że jesteście na Ziemi. Nie kwestionujecie tego faktu, ja również nie zaprzeczyłem temu, co czułem.

Leżałem na dywanie żółtawej, podobnej do mchu roślinności, rozciągającej się wokół mnie aż po horyzont. Znajdowałem się na dnie głębokiej, okrągłej kotliny, na której skraju mogłem zauważyć pasmo niskich, nieregularnych wzgórz.

Było południe, promienie słoneczne grzały dość intensywnie moje nagie ciało, ale upał nie był większy niż byłby w podobnych okolicznościach na pustyni w Arizonie. Tu i ówdzie widniały niewielkie, odsłonięte płaszczyzny kwarconosnej, pobłyskującej w słońcu skały. Około stu jardów w lewo stały czterostopowej może wysokości ściany, zamykające niewielki obszar. Nie zauważyłem nawet śladu wody ani też innej roślinności poza mchem, a ponieważ zaczynało mi dokuczać pragnienie postanowiłem się nieco rozejrzeć po okolicy.

Gdy wstawałem spotkała mnie pierwsza na Marsie niespodzianka. Wysilek mięśni, który na Ziemi zaowocowałby tylko podniesieniem się na nogi, tutaj sprawił, że wyskoczyłem w powietrze na wysokość około trzech jardów. Opadłem z powrotem łagodnie, bez żadnych zauważalnych wstrząsów. Usiłując zrobić kilka kroków wykonałem serie ewolucji, która nawet dużo później wydawała mi się niezmiernie komiczna. Zrozumiałem, że muszę się od nowa nauczyć chodzić. Siła, którą wkładałem na Ziemi w bezpieczne i łatwe poruszanie się, na Marsie płała mi dziwaczne psikusy. Zamiast poruszać się przyzwoicie i z godnością podskakiwałem w najróżniejszy sposób, lądując niemal za każdym razem na twarzy lub plecach. Moje mięśnie, znakomicie przystosowane i przyzwyczajone do grawitacji ziemskiej, na Marsie płały mi figle, mając po raz pierwszy do czynienia z niniejszą siłą przyciągania i niższym ciśnieniem atmosferycznym.

Byłem jednak zdecydowany bliżej się przyjrzeć niskiej budowli, która stanowiła jedyny w polu widzenia dowód na to, że okolica jest zamieszkana, uciekłem się więc do zastosowania najwcześniej poznawanej przez człowieka metody poruszania się, czyli do pełzania. Poszło mi to całkiem sprawnie i po kilku chwilach dotarłem do niskiego, zamykającego niewielką przestrzeń muru.

Nie zauważyłem żadnych drzwi ani okien, ale mur był dostatecznie niski, abym mógł, stanąwszy na nogi, zajrzeć do środka ponad nim. Ujrzałem najdziwniejszy widok, jaki dotychczas dane mi było oglądać. Dach budowli był wykonany z masywnego szkła o grubości trzech albo czterech cali, a pod nim spoczywało kilkaset dużych, doskonale okrągłych, białych jaj. Były one niemal jednakowej wielkości – ich średnica wynosiła około dwóch i pół stopy. Z sześciu czy siedmiu wyległy się już jakieś groteskowe, mrugające oczami w ostrych promieniach słońca stwory, których wygląd sprawił, że zwątpiłem w niezawodność moich zmysłów. Składały się one niemal z samej głowy, osadzonej na długiej szyi, łączącej się z małym, kościstym ciałem. Każde z nich miało sześć nóg, a właściwie, jak się później dowiedziałem, dwie ręce, dwie nogi i dodatkową parę kończyn, której używały, w

zależności od potrzeby, jako nóg lub jako rąk. Oczy były osadzone na przeciwnych stronach głowy, nieco powyżej jej środka w taki sposób, że mogły spoglądać w przód lub w tył, a także niezależnie od siebie w obu kierunkach naraz. Pozwalało to temu cudacznemu zwierzęciu widzieć wszystko wokół bez konieczności odwracania głowy. Uszy o kształcie filiżanek, umieszczone nieco powyżej oczu i trochę bliżej siebie, sterczały nie wyżej niż na cal. Nos był tylko podłużnym rozcięciem w centrum twarzy, w połowie odległości między ustami a uszami.

Bezwłosa skóra miała lekki żółtozielony odcień. Jak wkrótce się dowiedziałem, wraz z wiekiem kolor ten zmieniał się w oliwkową zieleń, ciemniejszą u osobników męskich. Poza tym dorosłe stwory nie miały już tak nieproporcjonalnie wielkiej głowy w stosunku do reszty ciała.

Tęczówka oka była czerwona, jak u albinosów, źrenica czarna, zaś sama gałka oczna czysto biała, podobnie jak zęby. Te ostatnie nadawały jeszcze drapieżniejszy wygląd i tak okrutnemu i budzącemu przerażenie obliczu, gdyż ostre, zakrzywione dolne kły sięgają aż tam, gdzie u człowieka znajdują się oczy. Biel tych zębów nie jest bielą kości słoniowej, lecz ma śnieżny, błyszczący odcień chińskiej porcelany. Kontrastuje w uderzający sposób z ciemną, oliwkową skórą, sprawiając, że kły wydają się bronią jeszcze groźniejszą, niż są w rzeczywistości.

Większość z tych szczegółów zauważyłem dopiero później, gdyż na razie dano mi niewiele czasu na zastanawianie się nad osobliwością mego odkrycia. Zapatrzony w proces wykluwania się tych obrzydliwych małych potworków, nie zauważyłem że z tyłu zbliża się do mnie grupa może dwudziestu w pełni dorosłych Marsjan. Idąc po miękkim, tłumiącym dźwięki mchu, który pokrywa niemal całą powierzchnię Marsa, poza biegunami i nielicznymi obszarami uprawnymi, mogli mnie z łatwością schwytać. Jednak ich zamiary były znacznie groźniejsze.

Moje życie wisiało na włosku. Do dziś się zdumiewam, że udało mi się tak łatwo uciec i rozważam przypadek, który mnie w porę ostrzegł przed niebezpieczeństwem. Gdyby strzelba prowadzącego oddział nie wysunęła się z zapinek z tyłu siodła i to w taki sposób, że uderzyła w koniec niesionej przez niego długiej, metalowej dzidy prawdopodobnie zginąłbym, nie wiedząc nawet, że umieram. Jednak cichy dźwięk za plecami sprawił, że się odwróciłem. Nie dalej niż dziesięć stóp od mojej piersi ujrzałem ostry, połyskujący wypolerowanym metalem koniec dzidy o długości przynajmniej czterdziestu stóp. Trzymała ją przy boku siedząca na jakimś wierzchowcu replika tych małych potworków, którym się przed chwilą przyglądałem.

Ale jakże słabo i niewinnie wyglądały one w porównaniu z tym ogromnym i przerażającym wcieleniem nienawiści, okrucieństwa i śmierci. Mężczyzna, mogę go chyba tak nazywać, miał pełne piętnaście stóp wzrostu i na Ziemi ważyłby zapewne około czterystu funtów. Siedział na swym wierzchowcu tak, jak my siedzimy na koniu, obejmując go dolnymi kończynami. Dłonie obu prawych rąk trzymały ogromną dzidę nisko przy boku wierzchowca, zaś obie lewe ręce były wyciągnięte w bok w celu utrzymania równowagi. Zwierze, na którym jechał nie miało żadnych cugli, które mogłyby służyć do kierowania.

A ten wierzchowiec! Jakie słowa zdołają go opisać! Miał dziesięć stóp wysokości, po cztery nogi z każdej strony i płaski ogon, szerszy u końca niż u nasady, który podczas biegu trzymał sztywno wyprostowany. Rozwarta paszcza przecinała łeb aż po długą, potężną szyję.

Podobnie jak jego pan, zwierze było całkowicie pozbawione włosów. Skórę miało ciemnoszarą, bardzo gładką i lśniącą, białą na brzuchu, zaś kolor nóg zmieniał się od ciemnobłękitnego przy ramionach i biodrach do jaskrawożółtego przy stopach, które miały poduszkowate podeszwy i były całkowicie pozbawione pazurów, co powodowało, że zwierze poruszało się całkowicie bezszelestnie. Było to, wraz z dużą liczbą kończyn, charakterystyczne dla niemal całej marsjańskiej fauny. Jedynie dwa gatunki istniejących na Marsie ssaków – człowiek i jeszcze jedno zwierze –

miały dobrze wykształcone paznokcie. Zwierząt kopytnych nie spotykało się w ogóle.

Z tyłu, za tym pierwszym demonem, jechało dziewiętnastu innych, podobnych do niego w każdym szczególe, jakkolwiek, jak się później dowiedziałem, każdy z nich miał indywidualne cechy, pozwalające im odróżniać się nawzajem, tak jak my różnimy się między sobą, chociaż ogólny kształt jest podobny. Te zmaterializowane zmyry nocne zrobiły na mnie piorunujące wrażenie.

Instynkt samozachowawczy podsunął mi, nagiemu i nieuzbrojonemu, jedyne możliwe wyjście z tej sytuacji, polegające na natychmiastowym usunięciu się z drogi zbliżającego się ostrza dzidy. W konsekwencji wykonałem zupełnie ziemski i jednocześnie nadludzki skok, za pomocą którego chciałem się znaleźć na dachu tej budowli, którą słusznie zacząłem uważać za marsjański inkubator. Mój wysiłek został uwieńczony sukcesem, który zaskoczył mnie samego nie mniej niż marsjańskich wojowników. Uniosłem się bowiem w powietrze na trzydzieści stóp i wylądowałem po drugiej stronie inkubatora w odległości co najmniej stu stóp od moich prześladowców. Opuściłem się na mech łagodnie, bez żadnych przykrych konsekwencji i odwróciwszy się zobaczyłem moich wrogów stojących przy tej ścianie, przy której i ja przed chwilą się znajdowałem. Niektórzy z nich przyglądali mi się w sposób, który jak się później przekonałem, wyrażał kompletne zaskoczenie, a inni zdawali się być zadowoleni, że nie skrzywdziłem ich potomstwa. Rozmawiali niskimi gipsami, gestykulując i wskazując w moim kierunku. Gdy zauważyli, że nie zrobiłem nic złego ich małym i że jestem nagi i nieuzbrojony zaczęli spoglądać na mnie nieco mniej dziko, ale najbardziej przemówił na moją korzyść mój niewiarygodny podskok.

Marsjanie są ogromni, ich kości są bardzo grube, a mięśnie rozwinęły się tylko w stopniu wystarczającym do przewycięzania panującej na ich planecie grawitacji. W związku z tym są o wiele mniej zręczni i silni, w stosunku do wagi, od człowieka urodzonego na Ziemi. Wątpię czy któryś z nich nagle przeniesiony na Ziemię, zdołałby podnieść się na nogi, a właściwie jestem przekonany, że nie.

Sztuczka, którą pokazałem, była więc na Marsie czymś równie cudownym, jak byłaby na Ziemi i sprawiła, że zrezygnowali z zamiaru natychmiastowego zgładzenia mnie, a zamiast tego postanowili mnie schwytać i pokazać swoim współplemioncom jako dziwaczny wybryk natury.

Czas, jaki zyskałem dzięki tej nieoczekiwanej zręczności pozwolił mi zastanowić się nad sposobami dalszej obrony i przyrzeć się dokładniej wojownikom. Uparcie kojarzyli mi się oni z tymi, którzy prześladowali mnie zaledwie dzień wcześniej.

Zauważyłem, że każdy z nich posiadał, oprócz ogromnej dzidy, również kilka innych rodzajów uzbrojenia. Bronią, która zmusiła mnie do rezygnacji z zamiaru ucieczki długimi skokami był jakiś rodzaj strzelby. Czulem, że bardzo sprawnie potrafią się nią posługiwać.

Strzelba była wykonana z białego metalu, osadzonego w drewnie, które, jak się później dowiedziałem, było niezwykle lekkie i bardzo twarde. Pochodziło z gatunku drzewa wysoko cenionego na Marsie, a zupełnie nieznanego na Ziemi. Lufa była odlana ze stopu, składającego się głównie z aluminium i stali, którą nauczyli się hartować do wytrzymałości znacznie przewyższającej te, do której myśmy przywykli.

Ta stosunkowo lekka strzelba, o bardzo długiej lufie i niewielkim kalibrze, do której używają eksplodujących, wykonanych z radu kul, jest orężem niezwykle śmiercionośnym, na dodatek niosącym na odległość, która na Ziemi byłaby nie do pomyślenia. Jej teoretyczna nośność wynosi trzysta mil, a praktycznie, wyposażona w specjalny celownik czy lornetę, daje bardzo dobre wyniki do dwustu mil z okładem.

Marsjanie po krótkiej rozmowie odwrócili się i odjechali w kierunku, z którego przybyli. Przy murze został tylko jeden z nich. Po przebyciu około dwustu jardów zatrzymali się i odwrócili swoje

wierzchowce, patrząc na wojownika, który został przy inkubatorze.

Był to ten sam, którego włócznia niemal mnie przebiła, a który najwyraźniej był ich dowódcą, jako że on właśnie rozkazał im, aby się oddalili. Teraz, gdy jego oddział się zatrzymał, zeskoczył z wierzchowca, odrzucił broń i zaczął się ku mnie zbliżać, okrążywszy inkubator, nagi i bezbronny jak ja. Jedyne jego ubiór stanowiły ozdoby na głowie, ramionach i piersi.

Gdy był w odległości około pięćdziesięciu stop zdjął z ramienia ogromną metalową bransoletę i wyciągnął ją ku mnie na otwartej dłoni. Przemawiał przy tym w języku, którego, co jest oczywiste, nie mogłem rozumieć. Potem się zatrzymał, nastawiając miseczkowate uszy i wlepiając we mnie dziwne oczy, jakby oczekiwał na moją odpowiedź.

Cisza się przedłużała i stawała niemal nieznośna, postanowiłem więc zaryzykować i coś mu odpowiedzieć. Jak przypuszczałem, swoim zachowaniem chciał mi dać do zrozumienia, że ma pokojowe zamiary – odrzucenie broni i wycofanie swego oddziału na dość dużą odległość wszędzie na Ziemi zrozumiane by zostało jasno i właśnie w ten sposób. Dlaczego więc na Marsie miałyby oznaczać coś innego.

Położyłem rękę na sercu i ukłoniwszy się Marsjaninowi powiedziałem, że jakkolwiek nie rozumiem języka, w którym przemawia, jego czyny świadczą o pokojowych i przyjacielskich zamiarach, a pokój i przyjaźń są w obecnej chwili bardzo drogie mojemu sercu. Oczywiście moja przemowa, z której nie rozumiał ani słowa mogła mu się wydać bełkotem, jednak na pewno pojął znaczenie tego, co zrobiłem natychmiast po niej.

Podszedłem do niego, wyciągając ręce, wziąłem z jego dłoni bransoletę i zapiąłem ją sobie na ramieniu, tuż powyżej łokcia. Potem uśmiechnąłem się i stanąłem, czekając. Jego szerokie usta również rozciągnęły się w uśmiechu, ujął mnie jedną ze swych środkowych kończyn za rękę i poprowadził w stronę swego wierzchowca. Jednocześnie dał znak pozostałym wojownikom, by się zbliżyli. Runęli ku nam dzikim pędem, jednak on gestem ręki nakazał im zwolnić. Najwyraźniej obawiał się, że jeśli się znów poważnie przestraszę, mogę w ogóle wyskoczyć z zasięgu ich wzroku.

Zamienił kilka słów ze swoimi ludźmi, wskazał mi, że będę jechał z jednym z nich i dosiadł swego wierzchowca. Wyznaczony wojownik wyciągnął ku mnie dwie lub trzy ręce i pomógł mi usadowić się za sobą na lśniącym grzbiecie zwierzęcia. Potem cały oddział zawrócił i ruszył galopem w stronę mającego na horyzoncie łańcucha wzgórz.

Uwięziony

Ujechaliśmy może dziesięć mil, gdy grunt zaczął się bardzo gwałtownie wznosić. Zbliżaliśmy się, jak się później dowiedziałem, do skraju wyschniętego morza, a mój pierwszy kontakt z Marsjanami nastąpił na jego dnie.

Niedługo potem dojechaliśmy do podnóża gór i po przejściu wąskiego wąwozu znaleźliśmy się w rozległej dolinie. Daleko przed nami kończyła się. ona płaskowyżem, na którym zauważyłem ogromne miasto. Pognaliśmy w jego kierunku. Dotarliśmy wkrótce do niezwykle szerokich schodów, które prowadziły na płaskowyż i po wejściu na nie wjechaliśmy do miasta czymś, co wydawało się być zniszczoną i zaniedbaną szosą.

Przyglądając się bliżej mijanym budynkom zauważyłem, że były one puste i chociaż niezbyt zniszczone, wyglądały tak, jakby nie były zamieszkane przez całe lata, a może nawet wieki.

W centrum miasta znajdował się duży plac. Na nim oraz w budynkach bezpośrednio do niego przyległych zauważyłem kilkuset osobników, należących do tej samej rasy, co ci, którzy mnie uwięzili. Byłem pewien, że jestem więźniem, mimo uprzejmości dowódcy oddziału.

Wszyscy byli nadzy, nosili tylko ozdoby. Kobiety niewiele różniły się wyglądem od mężczyzn, jedynie ich kły były znacznie dłuższe w stosunku do wzrostu, w niektórych przypadkach nawet zakręcone przy uszach. Ciała miały nieco mniejsze i jaśniejsze, a palce u nóg i rąk nosiły ślady paznokci, których mężczyźni byli zupełnie pozbawieni. Dorosłe kobiety miały od dziesięciu do dwunastu stóp wzrostu.

Dzieci miały jasną skórę, jaśniejszą nawet niż kobiety. Wydawało mi się, że wszystkie są takie same, a jedyną różnicą, jaką wśród nich dostrzegłem był wzrost. Nie zauważyłem osobników w sposób widoczny starych. Marsjanie nie zmieniają się prawie w ogóle od momentu osiągnięcia dojrzałości, to znaczy od około czterdziestego roku życia aż do starości w wieku prawie tysiąca lat, kiedy to dobrowolnie podejmują swoją ostatnią, dziwną pielgrzymkę w dół rzeki Iss. Żaden żyjący Marsjanin nie wie dokąd ona prowadzi ani żaden z niej jeszcze nie powrócił. Co więcej, nie pozwolono by żyć takiemu, któremu udałoby się wrócić po tym, jak popłynął w dół ciemnych, zimnych wód rzeki.

Tylko jeden Marsjanin na tysiąc umiera na skutek choroby, a prawdopodobnie około dwudziestu podejmuje dobrowolną pielgrzymkę. Pozostałych dziewięciuset siedemdziesięciu dziewięciu ginie gwałtowną śmiercią w pojedynkach, na polowaniach, w żegludze powietrznej lub na wojnie. Ale dotychczas największe żniwo śmierci zbiera wśród dzieci, gdyż olbrzymia ilość małych Marsjan pada ofiarą wielkich, białych małp.

Przeciwny Marsjanin spodziewa się przeżyć po osiągnięciu wieku dojrzałości jeszcze około trzystu lat. Prawdopodobnie wszyscy przeżyliby nawet tysiąclecie, gdyby nie gwałtowna śmierć, zabierająca większość z nich wcześniej. Malejące ciągle zasoby planety sprawiają, że stało się konieczne przeciwdziałanie długowieczności, będącej wynikiem ich znakomitej wiedzy medycznej. Dlatego też życie ludzkie na Marsie jest bardzo tanie, czego dowodzą niebezpieczne rozgrywki sportowe oraz niemal nieustanne wojny między różnymi plemionami.

Jest wiele naturalnych przyczyn, powodujących zmniejszanie się populacji Marsjan, ale przede wszystkim przyczynia się do tego fakt, iż wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, zawsze noszą przy sobie broń.

Natychmiast, gdy zauważono moją obecność w zbliżającej się do placu grupie, zostaliśmy otoczeni przez setki tych stworów, wyraźnie zamierzających ściągnąć mnie z grzbietu wierzchowca. Dowódca oddziału jednym słowem ostudził ich zapał i niespiesznie przejechaliśmy przez plac ku wejściu do budynku tak wspaniałego, na jakim nie spoczywało jeszcze oko śmiertelnika.

Budynek był niski, ale pokrywał sobą bardzo rozległą przestrzeń. Zbudowany z lśniącego białego marmuru, wysadzanego złotem i drogimi kamieniami, błyszczał i iskrzył się w promieniach słońca. Główne wejście miało około stu stóp szerokości, a ponad nim olbrzymi baldachim tworzył ocieniony przedsionek. Schody zastępowała lekko pochyła, prowadząca na parter płaszczyzna, łącząca się z podłogą ogromnej, otoczonej galeriami sali. Jej wnętrze wypełniały wspaniałe rzeźbione drewniane biurka i krzesła, a w centrum umieszczono rozległe podwyższenie, wokół którego skupiło się czterdziestu lub pięćdziesięciu Marsjan płci męskiej. Na tym podwyższeniu siedział z godnością ogromny wojownik, gęsto obładowany metalowymi ozdobami i różnokolorowymi piórami, ubrany w piękny skórzany strój, wysadzany drogimi kamieniami. Na ramionach miał krótki płaszcz z białego futra, podbitego lśniącym, purpurowym jedwabiem.

Zaskoczył mnie fakt, że ten hol i zgromadzeni tu Marsjanie pozostawali w wyraźnej dysproporcji w stosunku do biurek, krzeseł i innych mebli, których rozmiary dostosowane były do wzrostu takich jak ja. Tymczasem Marsjanie tylko z najwyższą trudnością mogliby usiąść na zbyt małych krzesłach czy też schować długie nogi pod blatem biurek. Najwyraźniej Mars posiadał jeszcze innych mieszkańców, poza tymi dzikimi i groteskowymi stworami, w których łapy wpadłem. Pokrywająca wszystko wokół wyraźna patyna niezliczonych wieków świadczyła, że budowniczowie tych budynków mogli należeć do jakiejś wymarłej i zagubionej w mroku dziejów rasy.

Nasza grupa zatrzymała się przy wejściu. Na znak dowódcy zostałem zestawiony na podłogę. Chwycono mnie za ramię i poprowadzono w głąb sali audiencyjnej, w stronę platformy. Marsjanie rozstępowali się przed nami, robiąc przejście. Wódz wstał i wymówił imię mojego strażnika, a ten zatrzymał się i powiedział głośno imię wodza wraz ze wszystkimi należnymi mu tytułami.

Cała ta ceremonia i wypowiedane podczas niej słowa nic wówczas dla mnie nie znaczyły, ale później dowiedziałem się, że było to zwyczajowe powitanie zielonych Marsjan. Jeżeli mężczyźni byliby sobie obcy i nie mogli wypowiedzieć swoich imion, wymieniliby się w milczeniu ozdobami, jeżeli spotkanie miało charakter pokojowy – jeśli nie, wymieniliby strzały ze strzelb lub przedstawiliby się sobie za pomocą jakiegokolwiek innej broni.

Marsjanin, który mnie schwytał nazywał się Tars Tarkas i był drugą pod względem ważności postacią w tym plemieniu. Wyróżniał się wielkimi zdolnościami jako dyplomata i wojownik.

Potem, jak przypuszczałem, opowiedział krótko zdarzenia, jakie zaszły podczas właśnie zakończonej ekspedycji. Gdy skończył, wódz zwrócił się do mnie z dość rozwlekłą przemową.

Odpowiedziałem w naszej starej angielskiej mowie, by mu udowodnić, że żaden z nas nie może zrozumieć drugiego. Zauważyłem, że gdy, kończąc, uśmiechnąłem się lekko, on zrobił to samo. Ten fakt, a także podobne zdarzenie podczas mojej pierwszej rozmowy z Tars Tarkasem przekonały mnie, że mamy przynajmniej tyle wspólnego, iż jesteśmy zdolni się uśmiechać, a więc również śmiać, czyli mamy poczucie humoru. Jednak później przekonałem się, że ich uśmiech jest tylko pozorem, a śmiech może przyprawić najodważniejszego mężczyznę o drżenie ze strachu.

Poczucie humoru zielonych Marsjan również znacznie różni się od naszego. Agonia jakiegoś ich współplemieńca jest dla tych dziwnych istot powodem do dzikiej wesołości, zaś ulubioną rozrywką

ich wodza jest zadawanie śmierci wymyślnymi i strasznymi sposobami jeńcom wojennym.

Zebrani w sali wojownicy i dowódcy przyjrzeni mi się dokładnie, obmacując mięśnie i dotykając skóry. Potem naczelny wódz wyraził chęć obejrzenia pokazu moich umiejętności i, wskazując gestem abym szedł za nim, skierował się wraz z Tars Tarkasem ku wyjściu z budynku.

Od czasu pierwszej, nieudanej próby nie odważyłem się chodzić z wyjątkiem tych, odcinków, które pokonywałem ściskany mocno za ramię, przez Tars Tarkasa. Tak więc teraz, mając zamiar zrobić krok, zacząłem skakać i fruwać między biurkami i krzesłami jak jakiś ogromny konik polny. Potłukłem się boleśnie, co wywołało u Marsjan wyraźną wesołość i w związku z tym postanowiłem znów uciec się do pełzania. Jednak Marsjanom wyraźnie to nie odpowiadało i zostałem brutalnie szarpnięty w górę przez osobnika, który uprzednio śmiał się z moich niefortunnych przygód najszczerzej.

Gdy opuszczał mnie w dół, abym stanął na nogach, jego twarz znalazła się na wprost mojej i zrobiłem jedyną rzecz, jaką gentlemen może zrobić, stykając się, z brutalnością, grubiaństwem i brakiem poszanowania praw innych osób. Rąbnąłem go pięścią prosto w pysk, a on zwałił się jak ogłuszony byk. W czasie, gdy się osuwał na podłogę odbiłem się od niego stopami i zrobiłem salto do tyłu w kierunku najbliższego biurka, spodziewając się, że koledzy uderzonego Marsjanina będą chcieli natychmiast zemścić się na mnie. Zdecydowany byłem, zanim oddam życie; stoczy tak dobrą walkę, na jaką pozwoli, mi nierówny stosunek sił.

Moje obawy były jednak bezpodstawne, gdyż inni Marsjanie, w pierwszej chwili ogromnie zaskoczeni, ryknęli w końcu dzikim śmiechem pokrzykując coś przy tym. Oczywiście wtedy nie wiedziałem, że okrzyki oznaczają aplauz, ale później, gdy poznałem ich zwyczaje, zrozumiałem że było to coś co jest u nich rzadkością – szczerą manifestacją aprobaty.

Osobnik, którego uderzyłem leżał tam, gdzie upadł, i nikt do niego nie podszedł. Tars Tarkas zbliżył się do mnie, ujął mnie za ramię i tak wyszliśmy bez dalszych przygodna plac. Nie znałem oczywiście przyczyny, dla której wyszliśmy na otwartą przestrzeń, ale wkrótce miałem zostać oświecony. Najpierw powtórzyli kilkakrotnie słowo „sak”, a potem Tars Tarkas wykonał kilka podskoków, powtarzając ten wyraz przed każdym z nich. Gdy następnie to odwrócił się do mnie i powiedział „sak”, zrozumiałem o co mu chodzi i zebrawszy się w sobie „saknąłem” tak wspaniale, że; przeleciałem przynajmniej sto pięćdziesiąt stóp. Tym razem nie straciłem równowagi, lecz pewnie wylądowałem na stopach. Potem wróciłem łatwymi dwudziestopięć-trzydziestostopowymi skokami ku małej grupie wojowników.

Mój pokaz był obserwowany przez kilkuset mniej ważnych Marsjan, którzy natychmiast zaczęli się głośno domagać jego powtórzenia. Wódz rozkazał mi, abym to zrobił. Byłem jednak głodny i spragniony. Zdecydowałem się zażądać od tych stworów spełnienia wymagań mojego żołądka gdyż dobrowolnie na pewno by tego nie zrobili. Ignorowałem więc całkowicie rozkaz „sak” i za każdym razem, gdy go powtarzali przykładalem dłoń do ust i gładziłem się po brzuchu.

Tars Tarkas i wódz zamienili kilka słów, potem przywołali z tłumu młodą kobietę dali jej jakieś instrukcje i wskazali mi abym za nią poszedł. Chwyciłem jej wyciągniętą rękę i przeszliśmy razem przez plac w kierunku dużego budynku po przeciwnej stronie.

Moja towarzyszka mierzyła około ośmiu stóp i zbliżała się do dojrzałości. Jej skóra, lśniaca i gładka miała jasny oliwkowozielony kolor. Jak się później dowiedziałem miała na imię Sola i należała do świty Tars Tarkasa, Wprowadziła mnie do obszernego pomieszczenia w jednym, ze stojących przy placu budynków, które, sądząc po rozłożonym na podłodze jedwabiu i futrach, służyło za sypialnię dla kilku krajowców.

Pomieszczenie było dobrze oświetlone przez kilka okien i ozdobione pięknymi ściennymi

mozaikami i freskami. Wszystko wokół zdawało się nosić na sobie patynę, wieków, co przekonało mnie, że architekci i budowniczowie tych wspaniałych dzieł nie mieli nic wspólnego z okrutnymi półbestiami, które je teraz zamieszkiwały.

Solą wskazała mi, bym usiadł na stercie jedwabiu w centrum pomieszczenia i odwróciwszy się, wydała szczególny, syczący dźwięk, jakby coś sygnalizowała komuś w sąsiednim pokoju. W chwili później zobaczyłem po raz pierwszy jeden z nowych dziwów Marsa. Jakieś stworzenie wpadło na dziesięciu krótkich nóżkach do pomieszczenia i przysiadło przed dziewczyną jak posłuszny szczeniak. Było wielkości szkockiego konika, jego łeb w pewnym stopniu przypominał łeb żaby. Jedyne paszcza była wyposażona w trzy rzędy długich, ostrych zębów.

Wymykam się strażnikowi

Sola spojrzała w złośliwe ślepiea bestii, wymamrotała jedno czy dwa słowa polecenia, wskazała na mnie i wyszła z pomieszczenia. Mogłem się jedynie zastanawiać, co to okrutnie wyglądające monstrum robi, zostawione w tak niedużej odległości od stosunkowo smacznego kawałka mięsa. Jednak moje obawy były bezpodstawne, gdyż bestia, po dokładnym przyjrzeniu się mojej osobie, podeszła do jedyne go wyjścia, które prowadziło na ulicę i ułożyła się na progu.

Takie było moje pierwsze doświadczenie z marsjańskim psem-strażnikiem. Jednak nie było to jednocześnie doświadczenie ostatnie, gdyż zwierzę pilnowało mnie przez cały czas mego pobytu wśród tych zielonych ludzi, dwukrotnie ocaliło mi życie i nigdy dobrowolnie nie odstępowało mnie nawet na chwilę.

Wykorzystałem nieobecność Soli na dokładniejsze przyjrzenie się pomieszczeniu, w którym zostałem uwięziony. Naścienne malowidła przedstawiały sceny o rzadkim pięknie - góry, rzeki, jezioro, ocean łąkę, drzewa i kwiaty, kretę drogi, skąpane w promieniach słońca ogrody. Obrazy te mogłyby przedstawiać ziemskie krajobrazy, gdyby nie inne kolory roślinności. Ich nastrój był tak subtelny, technika wykonania tak doskonała, że na pierwszy rzut oka można było poznać, iż wyszły spod ręki prawdziwego mistrza. Jednak na żadnym z nich nie zauważyłem przedstawiciela fauny – ani człowieka, ani zwierzęcia, który by mi dał wyobrażenie o wyglądzie tych innych i prawdopodobnie wymarłych mieszkańców Marsa.

Gdy pozwalałem mojemu umysłowi snuć najróżniejsze przypuszczenia na temat możliwych wyjaśnień tych dziwnych anomalii, z którymi się dotychczas na Marsie zetknąłem, wróciła Solą, niosąc pożywienie. Postawiła je na podłodze obok mnie, a sama usiadła nieco dalej i zaczęła mi się intensywnie przyglądać. Jedzenie składało się z około funta gęstej, niemal pozbawionej smaku substancji o konsystencji sera, zaś napój był najwyraźniej mlekiem jakiegoś zwierzęcia. Nie było ono nieprzyjemne w smaku, jakkolwiek nieco kwaśne, i w krótkim czasie nauczyłem się cenić je bardzo wysoko. Nie pochodziło, jak się później zorientowałem, od żadnego ssaka, gdyż na Marsie był tylko jeden, niezwykle przy tym rzadki gatunek zwierząt ssących. Uzyskiwało się je z wysokich roślin, które potrafiły rosnąć na bezwodnym praktycznie obszarze i zdawały się wytwarzać spore ilości mleka wyłącznie ze składników pobieranych z gleby, atmosfery oraz z promieni słonecznych. Jedna taka roślina potrafiła dać osiem do dziesięciu kwart mleka dziennie.

Po posiłku poczułem się znacznie wzmocniony, ale jednocześnie dało o sobie znać zmęczenie. Wyciągnąłem się na kawałkach jedwabiu i wkrótce usnąłem. Spałem prawdopodobnie kilka godzin, gdyż kiedy się obudziłem panował już mrok. Było mi bardzo zimno. Zauważyłem, że ktoś narzucił na mnie futro, jednak się ono częściowo zsunęło i w ciemnościach nie mogłem sobie dać rady z wciągnięciem go na siebie z powrotem. Nagle czyjaś dłoń poprawiła je starannie, a potem dorzuciła jeszcze jedno.

Przypuszczałem, że moją opiekunką była Solą i nie myliłem się. Jedyne ta dziewczyna, spośród wszystkich zielonych Marsjan, z którymi się zetknąłem okazywała mi sympatie, uprzejmość, a nawet pewne przywiązanie. Dbała o zaspokajanie moich potrzeb cielesnych bardzo starannie, a jej

troskliwa opieka oszczędziła mi wielu cierpień.

Jak się miałem wkrótce przekonać marsjańskie noce są bardzo zimne, a ponieważ prawie nie ma świtu ani zmierzchu, skoki temperatury są gwałtowne i bardzo nieprzyjemne, podobnie jak szybkie przejścia od jasnego dnia do ciemności. Noce są jasne i rozświetlone albo bardzo ciemne. Jeżeli na niebie nie ma akurat żadnego z dwóch księżyców, cienka warstwa atmosfery nie rozprasza światła gwiazd w wystarczającym stopniu i panują kompletne ciemności. I przeciwnie – jeśli oba księżyce wiszą na niebie powierzchnia planety jest oświetlona bardzo jasno.

Oba księżyce Marsa są znacznie bliżej swej macierzystej planety niż nasz Księżyc Ziemi – bliższy z nich znajduje się w odległości około pięciu tysięcy mil, natomiast dalszy w niewiele większej niż czternaście tysięcy, podczas gdy nasz Księżyc oddziela od Ziemi prawie ćwierć miliona mil. Bliższy księżyc obiega Marsa w nieco ponad siedem i pół godziny, więc każdej nocy można go widzieć dwu- lub trzy-krotnie, jak przemyka po niebie niczym ogromny meteor. Dalszy księżyc zamyka swoją drogę wokół planety w trzydzieści godzin i piętnaście minut i wraz ze swym bratnim satelitą powoduje, że nocny krajobraz Marsa odznacza się szczególnym pięknem. Dobrze się stało, że natura postanowiła tak intensywnie rozjaśniać mroki nocy, gdyż zieloni Marsjanie, będący rasą koczowników o niezbyt wysoko rozwiniętym intelekcie, mają bardzo skąpe i prymitywne sposoby sztucznego oświetlenia. Posługują się przede wszystkim pochodniami, świecami i osobliwymi lampami naftowymi, wytwarzającymi gaz i płonącymi bez knota, które dają wyjątkowo jasne, białe światło. Jednak ze względu na to, że zdobycie nafty wiąże się z pewnym wysiłkiem przy jej wydobywaniu, a poza tym miejsca, w których ona występuje są nieliczne i rozrzucone w dużej od siebie odległości, lampy te są rzadko używane.

Gdy Solą poprawiła okrywające mnie futra, usnąłem znowu i obudziłem się dopiero po nadejściu dnia. Pozostali mieszkańcy pokoju, pięć kobiet, jeszcze spali, przykryci pstrymi stertami jedwabiu i futer. W poprzek progu leżała w tej samej pozycji, w jakiej zostawiłem ją poprzedniego dnia, pilnująca mnie bestia-wartownik. Najwyraźniej nie drgnęła nawet w ciągu ostatnich godzin i teraz czujnie wlepiła we mnie ślepią. Zacząłem się zastanawiać, co by mnie spotkało z jej strony, gdybym zdecydował się uciekać.

Zawsze miałem skłonności do poszukiwania przygód, do badania rzeczy, które inni ludzie z ostrożnością obchodzili z daleka, doszedłem więc do wniosku, że najpewniejszym sposobem przekonania się o zamiarach bestii wobec mnie będzie próba opuszczenia pokoju. Byłem pewien, że jeżeli uda mi się wydostać na zewnątrz z łatwością jej ucieknę, posługując się moją zdolnością do dalekich skoków. Co więcej, z niewielkiej długości jej nóg wysnułem wniosek, że nie potrafi ona skakać, a prawdopodobnie także szybko biegać. Powoli i ostrożnie podniosłem się na nogi i zobaczyłem, że mój strażnik zrobił to samo. Zacząłem się przesuwając w jego kierunku, zauważając przy tym, że jeżeli poruszam się nie odrywając stóp od ziemi, jestem w stanie utrzymać równowagę. W miarę, jak się do niego zbliżałem strażnik cofał się ostrożnie do tyłu, a gdy stanąłem w drzwiach, przepuścił mnie, odsuwając się na bok. Wyszedłem na pustą ulicę, a on poszedł za mną, około dziesięć kroków w tyle.

Jego zadanie miało polegać prawdopodobnie tylko na ochranianiu mnie, jednak, gdy doszliśmy do skraju miasta, zagroził mi nagle drogę, wydając dziwne dźwięki i odsłaniając brzydkie, ostre kły. Postanowiłem zabawić się nieco jego kosztem. Ruszyłem naprzód i gdy byłem tuż przed nim, wyskoczyłem w powietrze, lądując daleko za jego plecami i poza obrębem miasta. Odwrócił się błyskawicznie i runął ku mnie z najbardziej zatrważającą szybkością, jaką kiedykolwiek widziałem. Myślałem, że jego krótkie nogi uniemożliwiają mu szybkie poruszanie się, ale gdyby uczestniczył w zawodach z chartami, te ostatnie w porównaniu z nim zdawałyby się stać w miejscu. Jak się później

dowiedziałem, to zwierzę należało do najszybszych stworzeń na Marsie i dzięki swojej inteligencji, wierności i drapieżności było używane w wojnach, na polowaniach i jako obrońca swoich panów, Marsjan.

Zorientowałem się szybko, że nie uda mi się uciec, jeżeli będę skakał wprost przed siebie, więc, gdy pędzący ku mnie stwór był już bardzo blisko, skoczyłem z powrotem. Ten manewr dał mi pewną przewagę i udało mi się osiągnąć miasto chwile wcześniej niż jemu i wskoczyć na jedno z okien budynku około trzydziestostopowej wysokości, stojącego frontem do doliny.

Usiadłem na parapecie, nie zagładając do wewnątrz i patrzyłem w dół na zawiedzione zwierze. Jednak moja radość trwała dość krótko, gdyż w chwili po tym, jak się wygodnie usadowiłem ogromna ręka schwyciła mnie z tyłu za kark i gwałtownie wciągnęła do pokoju. Zostałem rzucony na podłogę i zobaczyłem nad sobą ogromne, podobne do małpy stworzenie, białe i bezwłose z wyjątkiem porastającej łeb kępy najeżonej sierści.

Walka, w której zdobyłem przyjaciół

Istota, bardziej przypominająca ludzi z Ziemi niż tych Marsjan, których widziałem, przygniatała mnie do podłogi ogromną stopą, jednocześnie bełkocąc i gestykulując do czegoś, co się znajdowało poza zasięgiem mego wzroku. To drugie stworzenie, samica, wkrótce podeszło do nas, trzymając w łapie kamienną maczugę, którą z pewnością chciała roztrzaskać mi czaszkę.

Stwory te miały dziesięć lub piętnaście stóp wzrostu w pozycji wyprostowanej oraz, podobnie jak zieloni Marsjanie, dodatkową parę kończyn, umiejscowioną w połowie odległości między kończynami górnymi a dolnymi. Ich oczy były osadzone blisko siebie, w głębi czaszki, uszy sterczały dość wysoko, ale były umieszczone bardziej po bokach niż u Marsjan, zaś pyski i zęby do złudzenia przypominały te, które widziałem u naszych afrykańskich goryli. W sumie nie były brzydsze od zielonych Marsjan.

Maczuga kołysała się niebezpiecznie blisko mojej twarzy i w końcu pewnie by na nią spadła, lecz nagle przez drzwi wbiegło z szybkością kuli armatniej wielonogie straszdyło i rzuciło się wprost na pierś mego niedoszłego kata. Przytrzymująca mnie małpa z okrzykiem strachu wyskoczyła przez okno, lecz druga zwarła się w śmiertelnej walce z moim niespodziewanym obrońcą, którym okazał się być mój strażnik, a którego wciąż nie udawało mi się nazywać w myślach psem. Podniosłem się z podłogi tak szybko, jak potrafiłem i stanąłem pod ścianą, przyglądając się walce. Siły, zręczności i dzikiej zażartości obu tych stworzeń nie można porównać z niczym znanym ziemskiemu człowiekowi. Mój obrońca zdobył z początku pewną przewagę, zatapiając kły głęboko w piersi przeciwnika, ale wkrótce wielkie, muskularne łapy małpy zacisnęły się na jego gardle i zaczęły mu wykręcać łeb do tyłu, tak, że spodziewałem się, iż lada chwila padnie ze skrzyconym karkiem. Małpa wyrywała sobie przy tym ogromny płat skóry na piersiach, trzymany żelaznym chwytem szczek mojego strażnika. Przewrócili się i tarzali po całej podłodze pomieszczenia. Żadne z nich nie wydało przy tym jęku bólu czy strachu. Zobaczyłem, że wielkie ślepie mojego obrońcy wyszły niemal całkowicie z orbit, a z nozdrzy strumieniem cieknie krew. Słabł w sposób widoczny, lecz małpa również goniła resztkami sił i jej ruchy stawały się coraz mniej gwałtowne. Nagle, pchnięty przez ów dziwny instynkt, który zawsze zdawał się wskazywać mi, na czym polega mój obowiązek, schwyciłem kamienną maczugę, porzuconą w ferworze walki na podłodze i z całą siłą moich ziemskich ramion opuściłem ją na czaszkę małpy, która pękła jak skorupa jajka.

W chwili po zadaniu ciosu stanąłem oko w oko z nowym niebezpieczeństwem. Samiec, otrząsnąwszy się z pierwszego strachu wrócił na pole walki przez wnętrze budynku. Zauważyłem go na chwile przed tym, jak stanął w drzwiach do pokoju i zobaczywszy swoją towarzyszkę leżącą bez życia na podłodze, zaryczał z wściekłości, wyszczerzając ku mnie wielkie kły. Musze przyznać, że jego widok napełnił mnie jak najgorszymi przeczuciami.

Jestem zawsze gotów do walki, jeżeli stosunek sił nie przemawia zbyt wyraźnie na moją niekorzyść, ale w tej chwili nie widziałem żadnych szans w przeciwstawieniu mojej, stosunkowo niewielkiej siły żelaznym mięśniom i wściekłemu okrucieństwu tego mieszkańca nieznanego świata. Byłem natomiast przekonany, że jedynym rezultatem takiej walki byłaby moja szybka śmierć. Stałem

blisko okna i wiedziałem, że jeśli uda mi się dotrzeć na plac, zanim ta bestia mnie złapie, będę całkowicie bezpieczny. W ucieczce leżała szansa na uratowanie się, natomiast zostając i podejmując walkę, choć z pewnością byłaby ona zaciekle, skazywałem się na pewną śmierć.

Trzymałem co prawda maczugę, ale co mogłem nią zdziałać przeciwko jego czterem mocnym i długim rękom? Nawet gdybym złamał jedną z nich pierwszym uderzeniem, gdyż prawdopodobnie starałby się zasłonić przed ciosem, schwyciłby mnie i zgniótł pozostałymi, zanim bym zdążył zamierzyć się po raz drugi. Takie myśli przemknęły mi przez głowę, kiedy zwracałem się w stronę okna, ale zanim to uczyniłem zahaczyłem spojrzeniem o ciało mojego dzielnego obrońcy. Ciężko dysząc leżał na podłodze, a z utkwionych we mnie ślepiów wyzierała żalosna prośba o pomoc i ochronę.. Nie mogłem się oprzeć temu spojrzeniu, nie mogłem opuścić mego zbawcy nie walcząc o niego przynajmniej tak, jak on walczył o mnie.

Nie zastanawiając się dłużej odwróciłem się, by stawić czoła atakowi rozjuszonej bestii. Była zbyt blisko mnie, abym mógł użyć maczugi w skuteczny sposób, jednak Udało mi się uderzyć nią w nogi małpy tuż pod kolanami. Wydała ryk bólu i wściekłości i straciła równowagę. Wyciągnęła przed siebie łapy, by złagodzić upadek i zaczęła się na mnie przewracać.

Uciekłem się znów, jak poprzedniego dnia, do ziemskiej taktyki walki i prawą ręką wymierzyłem jej potężny cios w podbródek, po czym natychmiast poprawiłem z całej siły z lewej w żołądek. Rezultat był nadzwyczajny – małpa, gwałtownie chwytając powietrze i porykując z bólu, okręciła się wokół osi i osunęła na podłogę. Przeskoczyłem przez leżące cielsko i, chwyciwszy maczugę, roztrzaskałem jej czaszkę.

Usłyszałem wybuch chrapliwego śmiechu. Odwróciłem się i zobaczyłem Tars Tarkasa, Sole i trzech czy czterech wojowników stojących przy wejściu do pokoju. Gdy moje oczy spotkały się z ich wzrokiem zostałem, już po raz drugi, nagrodzony gorącymi oklaskami.

Solą, obudziwszy się, zauważyła moją nieobecność i zawiadomiła o niej Tars Tarkasa, który wraz z kilkoma wojownikami natychmiast wyruszył na poszukiwania. Gdy zbliżyli się do granicy miasta zauważyli białą małpę z wściekłym rykiem wbiegającą do budynku.

Podążyli za nią, słusznie uważając, że jej akcja ma jakiś związek z moją osobą i byli świadkami mojej krótkiej, lecz śmiertelnej z nią walki. To wydarzenie, łącznie z moim wczorajszym starciem z marsjańskim wojownikiem oraz umiejętnością skakania, sprawiło, że zaczęli mnie darzyć pewnym szacunkiem. Istoty te, najwyraźniej nie znające uczuć wyższego typu jak przyjaźń, miłość czy przywiązanie, wysoko cenią sprawność fizyczną i odwagę. Nikt nie jest zbyt dobry lub zbyt zły na to, by zyskać ich poklask tak długo, póki dostarcza wciąż nowych dowodów swojej siły, umiejętności i odwagi.

Sola, która z własnej woli towarzyszyła poszukującemu mnie oddziałowi, była jedynym członkiem grupy, którego twarz nie była wykrzywiona śmiechem, gdy walczyłem o swoje życie. Przeciwnie, w sposób widoczny niepokoiła się o mnie i natychmiast, gdy dobiłem małpę podeszła do mnie i starannie obejrzała moje ciało, szukając ran lub skaleczeń. Przekonawszy się, że wyszedłem bez szwanku uśmiechnęła się nieznacznie i chwyciła moją dłoń, pociągając mnie w stronę wyjścia.

Tars Tarkas i inni weszli do środka i teraz stali nad szybko wracającym do życia zwierzęciem, które ocaliło mi życie i które, w zamian, ja uratowałem. Zdawali się być pogrążeni w dyskusji, a w końcu jeden z nich powiedział coś do mnie, lecz przypomniał sobie, że nie rozumiem ich języka i znów zwrócił się do Tars Tarkasa. Dowódca wydał mu jakiś rozkaz i poszedł za nami.

W ich stosunku do mojego zwierzęcia była jakaś ukryta groźba i nie chciałem wychodzić z pokoju aż do chwili, gdy dowiem się, na czym ona polega. Dobrze się stało, gdyż wojownik wyjął z kabury jakiś groźnie wyglądający pistolet i najwyraźniej miał zamiar położyć kres życiu zwierzęcia.

Skoczyłem naprzód i podbiłem jego rękę. Kula, uderzywszy w drewniane obramowanie okna eksplodowała, wyrywając w murze pokaźną dziurę.. Ukląłem obok rozglądającego się ze strachem zwierzęcia, podniosłem je na nogi i gestem nakazałem iść za sobą. Zdziwione spojrzenia, jakimi obrzucili mnie Marsjanie były niemal zabawne – sami ich nie znając, nie mogli zrozumieć uczuć wdzięczności i współczucia. Wojownik, któremu podbiłem pistolet spojrzał pytająco na Tars Tarkasa, ale ten nakazał mu zostawić mnie w spokoju. Wróciliśmy więc na plac. Przeszedłem całą drogę trzymając mocno ramie Soli, a moja wielka bestia podążała tuż za mną. Miałem przynajmniej dwoje przyjaciół na Marsie – młodą kobietę, która opiekowała się mną z macierzyńską troskliwością i nieme zwierze, które, jak się później przekonałem, kryło w swoim brzydkim ciele więcej miłości, wierności i wdzięczności niż pięć milionów Marsjan włóczących się po opuszczonych miastach i dnach wyschniętych mórz tej planety.

Wychowywanie dzieci na Marsie

Po śniadaniu, dokładnie takim samym, jak posiłek, który spożyłem poprzedniego dnia oraz jak wszystkie następne posiłki, zjedzone w czasie pobytu u zielonych Marsjan, Solą zaprowadziła mnie na placu na którym niemal wszyscy mieszkańcy miasta zajęci byli pilnowaniem słoniopodobnych zwierząt lub zaprzęganiami ich do trójkołowych wozów. Naliczyłem około dwustu pięćdziesięciu wehikułów, każdy ciągnięty przez jedno zwierze, które mogło, sądząc z wyglądu, pociągnąć kilkuwagowy, w pełni załadowany pociąg.

Wozy były wielkie, wygodne i pięknie zdobione. W każdym z nich siedziała marsjańska kobieta obwieszona metalowymi ozdobami i klejnotami, okryta jedwabiem i futrami, a na grzbiecie każdego ciągnącego wóz zwierzęcia ulokował się w wysokim siodle młody woźnica. Podobnie jak wierzchowce, których używali wojownicy i te pociągowe zwierzęta nie miały lejców ani uzd i były kierowane wyłącznie za pomocą telepatii.

Marsjanie mają znakomicie rozwinięte zdolności telepatyczne, czego rezultatem jest znaczna prostota ich języka oraz sposób prowadzenia dyskusji, w czasie których, choćby były bardzo długie, pada stosunkowo niewiele słów. Telepatia jest uniwersalnym językiem na Marsie, za pomocą którego zamieszkujące tę planetę paradoksów różnego typu istoty mogą porozumiewać się w mniejszym lub większym zakresie, w zależności od rozwoju intelektualnego i indywidualnych zdolności.

Gdy kawalkada ustawiła się w kolumnę marszową. Solą wciągnęła mnie do pustego wozu i ruszyliśmy w kierunku miejsca, przez które wjechałem wczoraj do miasta. Na czele podążało około dwustu wojowników, podobna liczba zamykała pochód, zaś dwudziestu pięciu lub trzydziestu osłaniało nas z każdego boku.

Wszyscy oprócz mnie, mężczyźni, kobiety i dzieci, byli uzbrojeni po zęby, a za każdym wozem biegł marsjański pies. Mój własny podążał tuż za naszym wehikułem i od tej pory nie opuścił mnie dobrowolnie przez całe dziesięć lat, które spędziłem na Marsie. Nasza droga wiodła przez dolinę i wzgórza na dno wyschniętego morza, w kierunku inkubatora, od którego rozpocząłem moją podróż. Celem podróży tego dnia był, jak się okazało, właśnie inkubator i już wkrótce go dostrzegliśmy, a cała kawalkada puściła się ku niemu dzikim galopem.

Po zatrzymaniu się Marsjanie zaparkowali wozy z wojskową precyzją, otaczając z czterech stron niską budowlę. Połowa wojowników, w tym Tars Tarkas i kilku mniej ważnych dowódców, prowadzana przez ogromnego wodza poszła w jej kierunku. Zauważyłem, że Tars Tarkas tłumaczy coś wodzowi, którego imię brzmiało Lorquas Ptomel, Jed – przy czym „Jed” było jego tytułem.

Wkrótce się dowiedziałem jaki był temat ich rozmowy, gdyż Tars Tarkas krzyknął do Soli, aby mnie do niego przysłała. Opanowałem już sztukę chodzenia w warunkach marsjańskiej grawitacji i, podporządkowawszy się jego poleceniu, szybko poszedłem ku tej ścianie inkubatora, przy której stali wojownicy.

Gdy byłem już blisko zauważyłem, że niemal ze wszystkich jaj wyległy się, rojące się teraz wewnątrz inkubatora małe potworki. Ich wzrost zawierał się pomiędzy trzema a czterema stopami.

Niezmordowanie krążyły wewnątrz zamkniętej ścianami przestrzeni, jakby w poszukiwaniu pożywienia.

Zatrzymałem się przed Tars Tarkasem, a on wyciągnął rękę ponad budowlę i powiedział „sak”. Zrozumiałem, że chce abym powtórzył dla Lorquasa Ptomela wykonany tu wczoraj skok, a ponieważ moje umiejętności dawały mi niemało satysfakcji, więc skoczyłem, przelatując ponad ustawionymi po przeciwnej stronie inkubatora wozami. Gdy wróciłem Lorquas Ptomel zamruczał coś do mnie, a potem zwrócił się do wojowników z kilkoma słowami komendy dotyczącej inkubatora. Nie zwracali na mnie więcej uwagi, postanowiłem więc zostać i przyglądać się ich czynnościom, które miały na celu wybicie dziury w dachu inkubatora; dostatecznie dużej, aby mógł się przez nią wydostać nowo wykluty Marsjanin.

Z obu stron tego otworu kobiety uformowały ze swych ciał dwa szczelne mury, wiodące poprzez rząd wozów na równinę; poza nimi, między którymi biegali dziko mali Marsjanie. Pozwalano im przebiec całą długość murów, a na końcu byli łapani przez kobiety i starsze dzieci. Ostatnia Marsjańska w rzędzie chwyciła pierwsze dziecko, jakie do niej dobiegło, stojąca naprzeciw niej – następne i tak dalej, aż wszystkie małe stworki opuściły inkubator i zostały złapane przez jakąś kobietę lub kogoś z młodzieży. Kobiety, które już złapały dziecko wracały z powrotem do swoich wozów. Dziecko, które wpadło w ręce młodego Marsjanina płci męskiej było później oddawane jakiejś kobiecie.

Zobaczyłem, że ceremonia, jeśli to, co się działo można tak określić, została zakończona i wróciłem do mojego wozu. Zastałem w nim Sole, tulącą do siebie małego potworka.

Praca nad wychowaniem młodych Marsjan polegała wyłącznie na nauczaniu ich mówienia oraz posługiwania się bronią. Obie te nauki pobierają równocześnie od pierwszych dni życia. Wychodzą z jaj, w których leżały przez pięcioletni okres inkubacji całkowicie ukształtowane, z wyjątkiem wzrostu. Zupełnie nieznane swoim rzeczywistym matkom, które z kolei tylko w ogromnym przybliżeniu mogą określić ojca, są zwykle dziećmi całego plemienia. Ich wychowanie spoczywa zatem na tych kobietach, które je złapały po wyjściu z inkubatora. Wychowawczynie nawet mogą nie mieć własnych jaj w inkubatorze, jak to było w przypadku Soli. Jednak to wszystko jest rzeczą zupełnie zwykłą wśród zielonych Marsjan, którzy nie znają uczuć dziecka do rodziców i rodziców do dziecka, w takim sensie jak u nas na Ziemi. Przypuszczam, że to ten straszny, trwający od wieków system, jest bezpośrednią przyczyną utraty wszelkich uczuć wyższego rzędu i instynktów humanitarnych przez te biedne stworzenia. Od urodzenia nie znają miłości macierzyńskiej ani ojcowskiej, nie wiedzą, co oznacza pójście „dom rodzinny”. Uczy się, że zasługują na życie dopiero wtedy, gdy rozwojem fizycznym i okrucieństwem dowiodą, że są do tego przystosowane. Dzieci ułomne lub niedostatecznie sprawne są bezlitośnie zabijane i nikt nie uroni nad ich losem nawet jednej łzy.

Nie twierdzą, że dorośli Marsjanie okazują młodym niepotrzebne i zamierzone okrucieństwo, ale na tej umierającej planecie, której naturalne zasoby osiągnęły taki punkt, w którym każde dodatkowe życie oznacza ograniczenie dla społeczności, walka o przetrwanie jest twarda i bezlitosna. Dokonywany jest staranny wybór i wychowaniu podlegają tylko najsilniejsze jednostki, a liczba urodzeń jest regulowana z ponadnaturalną dalekowzrocznością przez przewidywaną liczbę zgonów. Każda dorosła kobieta składa przeciętnie trzynaście jaj rocznie i spośród nich tylko te, które odpowiadają wymogom pod względem ciężaru i rozmiarów są umieszczane w podziemnych lochach, w których temperatura jest zbyt niska, aby nastąpiła inkubacja. Każdego roku te jaja są starannie badane przez komisje złożoną z dwudziestu dowódców i wszystkie, oprócz stu najlepszych są niszczone. Pod koniec każdego pięciu lat z tysięcy jaj, które zostały w tym okresie złożone, zostaje

tylko około pięciuset. Są one składane w szczelnie zamkniętych inkubatorach, gdzie przez następne pięć lat leżą, poddane działaniu promieni słonecznych. Wydarzenie, którego dzisiaj byliśmy świadkami było typowe dla całego procesu – z niemal wszystkich jaj wykluły się mali Marsjanie. Jeżeli z tych nielicznych, które pozostały wykluły się później marsjańskie dzieci – ich los już nikogo nie obchodził. Były niepożądane, gdyż mogłyby przynieść ze sobą umocnienie się i rozszerzenie tendencji do opóźnienia w wykluwaniu, a to mogłoby zakłócić system, który utrzymuje się od wieków i pozwala starszym Marsjanom określić właściwy na udanie się ku inkubatorom czas z dokładnością niemal do godziny.

Inkubatory są budowane w odległych miejscach, gdzie istnieje małe prawdopodobieństwo, że zostaną odnalezione przez inne plemiona. Rezultatem takiego katastrofalnego wydarzenia byłby brak dzieci w społeczności przez następne pięć lat. Miałem później stać się świadkiem odkrycia obcego inkubatora. Grupa Marsjan, z którą związał mnie los stanowiła część plemienia O liczebności około trzydziestu tysięcy osób. Zajmowali ogromny obszar jałowej i półjałowej ziemi, rozciągający się między czterdziestym a osiemdziesiątym stopniem szerokości geograficznej południowej, ograniczony od wschodu i zachodu przez dwa duże pasy ziemi uprawnej. Ich główne siedziby leżały na południowo-zachodnim krańcu tego obszaru, w pobliżu przecięcia dwóch tzw. kanałów marsjańskich.

Ponieważ inkubator został umieszczony daleko na północ od obszaru, na którym żyli, w miejscu nie zamieszkanym i prawdopodobnie przez nikogo nie odwiedzanym, czekała nas bardzo długa podróż na południe, po której, rzecz jasna, nie wiedziałem czego się spodziewać.

Po powrocie do umarłego miasta przeżyłem kilka dni na względnym próżniactwie. Następnego dnia wszyscy wojownicy wyjechali gdzieś wczesnym rankiem i wrócili dopiero tuż przed nastaniem nocy. Jak się później dowiedziałem byli w podziemnych lochach, przenieśli wszystkie jaja do inkubatora i zabezpieczyli go na następne pięć lat, podczas których najprawdopodobniej nie będzie odwiedzany.

Lochy, w których były przechowywane jaja, są położone wiele mil na południe od inkubatora i są odwiedzane corocznie przez komisje, złożoną z dwudziestu dowódców i wodzów. Dlaczego nie zdecydowali się zbudować tych lochów i inkubatorów bliżej swoich siedzib pozostało dla mnie tajemnicą nierozwiązywalną przy użyciu ziemskich pojęć i zwyczajów, jak wiele innych marsjańskich tajemnic.

Obowiązki Soli uległy teraz podwojeniu, gdyż musiała się opiekować zarówno mną, jak i małym Marsjaninem, ale żaden z nas nie wymagał specjalnej troski, a ponieważ obaj byliśmy jednakowo zaawansowani w wiedzy o tym świecie, postanowiła wychowywać nas razem.

Marsjański wychowanek miał około czterech stóp wzrostu, był bardzo silny i doskonale rozwinięty pod względem fizycznym. Uczył się szybko i bawiliśmy się znakomicie, przynajmniej ja, rywalizacją w zdobywaniu wiedzy. Jezyk marsjański, jak już zaznaczyłem, jest niesłychanie prosty i już po tygodniu mogłem wypowiedzieć wszystko to, co chciałem i rozumiałem niemal wszystko, co do mnie mówiono. Podobnie rozwinąłem, pod kierunkiem Soli, moje umiejętności telepatyczne i wkrótce mogłem już odczuwać praktycznie wszystko, co się wokół mnie działo.

Sole niezwykle dziwił fakt, że podczas gdy ja mogłem odbierać od innych telepatyczne przesłania, nawet te nie przeznaczone dla mnie, to nikt w żadnych okolicznościach nie mógł przeczytać nawet ułamka moich myśli. Na początku trochę mnie to złościło, lecz wkrótce byłem bardzo z tego zadowolony, gdyż dawał mi on niezaprzeczną przewagę nad Marsjanami.

Piękna niewolnica z niebios

Trzeciego dnia po ceremonii przy inkubatorze wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Zaledwie jednak czoło pochodu weszło na otwartą przestrzeń za miastem, wydano rozkaz natychmiastowego i spieszego powrotu. Marsjanie, od lat ćwiczeni w wykonywaniu tego typu manewrów, zniknęli jak mgła w obszernych wejściach do najbliższych budynków i w trzy minuty później nie było już nawet śladu po wozach, pociągowych zwierzętach i jeźdźcach.

Sola i ja weszliśmy do budynku na skraju miasta, tego samego, w którym stoczyłem walkę z małpami. Chcąc dowiedzieć się, co spowodowało taki nagły odwrót, wszedłem na wyższe piętro. Stamtąd wyjrzałem przez okno w stronę doliny i położonych dalej wzgórz i zobaczyłem przyczynę, dla której Marsjanie tak nagle zaczęli szukać ukrycia. Ogromny statek powietrzny, długi, płaski, pomalowany na szaro przepływał wolno nad grzbietem najbliższego wzgórza. Za nim ukazał się następny i jeszcze jeden, i jeszcze, aż w końcu dwadzieścia statków szybowało nisko nad ziemią, powoli i majestatycznie zbliżając się do miasta. Wzdłuż każdego z nich, od dziobu po rufę, były przewieszane dziwne sztandary, na których wymalowano jakieś napisy, połyskujące w słońcu i wyraźnie widoczne nawet z dużej odległości. Na pomostach i pokładach statków zauważyłem tłoczące się postacie. Nie wiedziałem czy widziały nas, czy tylko przyglądały się opuszczonemu miastu, w każdym jednak przypadku spotkały się z bardzo nieuprzejmym przyjęciem. Nagle i bez ostrzeżenia wojownicy otworzyli z okien budynków gwałtowny ogień, zasypując pociskami spokojnie wpływające w dolinę statki.

Widok zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – pierwszy statek ruszył szybko w naszym kierunku i odpowiedział strzałami na nasz ogień, potem zawrócił, najwyraźniej mając zamiar zakreślić wielkie koło i znów zbliżyć się do nas na odległość strzału. Pozostałe statki podążyły za nim, zasypując nas pociskami, gdy tylko znalazły się na dogodnej pozycji. Intensywność ognia z naszej strony nie zmniejszyła się nawet na chwilę i wątpię czy niecelnych pocisków było więcej niż dwadzieścia pięć procent. Nigdy jeszcze nie dane mi było widzieć tak straszliwej celności – wydawało się, że każdy strzał powoduje upadek drobnej sylwetki na którymś ze statków. Sztandary i nadbudówki stanęły w płomieniach, nie mogąc się oprzeć niszycielskiej sile naszych pocisków.

Ogień ze statków był prawie całkowicie nieskuteczny, czego przyczyną było, jak się później dowiedziałem, całkowite zaskoczenie i gwałtowność pierwszych salw zielonych Marsjan, które zniszczyły odsłonięte aparaty celownicze ciężkiej broni.

Jak się wydaje, każdy z zielonych wojowników ma z góry określone cele, na które ma kierować swój ogień w relatywnie takich samych warunkach bojowych. Na przykład, pewna grupa, zazwyczaj najlepsi strzelcy, ostrzeliwuje wyłącznie bezprzewodową aparaturę celowniczą i wykrywającą, zamontowaną na ciężkiej broni. Inny oddział zajmuje się tylko bronią o mniejszym kalibrze. Jeszcze inny skupia się na nękanii strzelców pokładowych czy oficerów. Pozostali koncentrują swoją uwagę na członkach załogi statków nie zaangażowanych bezpośrednio w walkę na urządzeniach sterujących, napędzie czy nadbudówkach.

W dwadzieścia minut od otwarcia ognia flota zaczęła się wycofywać w kierunku, z

którego przybyła. Kilka statków było wyraźnie uszkodzonych i zdziesiątkowanej załodze z najwyższym trudem udawało się utrzymać je na kursie. Statki całkowicie zaprzestały ognia i zdawały się koncentrować całą energię na ucieczce. Nasi wojownicy weszli na dachy budynków i posyłali wycofującej się flocie grad kul.

Jednakże stopniowo statki, jeden po drugim, znikwały za grzbietami wzgórz. W zasięgu wzroku pozostał tylko jeden, najbardziej zniszczony. Uprzednio skupiła się na nim znaczna część naszego ognia i zdawało się, że na pokładzie nie pozostał ani jeden żywy członek załogi. Stopniowo zbaczał z kursu i w końcu niepewnie i chwiejnie leciał z powrotem w naszym kierunku. Wojownicy przerwali ogień, gdyż było zupełnie oczywiste, że ten statek jest całkowicie bezradny i nie może już stanowić dla nas żadnego zagrożenia.

Gdy zbliżył się do miasta wojownicy wyszli mu na spotkanie, jednak wciąż unosił się zbyt wysoko, by mogli wejść na jego pokład. Z mojego punktu obserwacyjnego widziałem porzucane po pokładach ciała załogi, ale wciąż nie mogłem określić jakiego typu są to istoty. Statek płynął powoli w kierunku południowo-wschodnim, popychany łagodnym wiatrem, a ja nie mogłem dostrzec na nim żadnego ruchu czy innego znaku życia.

Unosił się około pięćdziesięciu stóp nad ziemią, a za nim, dołem, szli wszyscy wojownicy, poza setką tych, którzy zostali wysłani z powrotem na dachy jako ubezpieczenie na wypadek powrotu floty. Wkrótce stało się jasne, że statek uderzy w któryś z budynków około mile na południe od naszych pozycji. Część wojowników w pogoni pojechała naprzód i weszła do budynku, z którym statek prawdopodobnie miał się zderzyć. Gdy statek zbliżył się, wojownicy wystawili przez okna swoje ogromne dzidy i podparli go w ten sposób, że uniknął gwałtownego wstrząsu przy zderzeniu z budynkiem. Chwile później rzucili nań zakończone hakami liny i statek został zakotwiczony do ziemi przez tych, którzy zostali na zewnątrz budynku. Potem wojownicy wspięli się na pokład i dokładnie go przeszukali. Widziałem, że przyglądają się zabitym żeglarzom, poszukując w nich znaków życia, a jednocześnie zauważyłem, że kilku wyłoniło się z dolnego pokładu, ciągnąc kogoś za sobą. Ta istota była co najmniej dwukrotnie niższa od otaczających ją zielonych Marsjan i poruszała się, jak mogłem zauważyć, wyprostowana, na dwóch kończynach. Doszedłem do wniosku, że jest to jeszcze jedno dziwne marsjańskie monstrum, nieznane mi dotychczas.

Postawili swego jeńca na ziemi, a potem rozpoczęli systematyczne łupienie statku. Zajęło im to kilka godzin, aż wreszcie łup, składający się z broni, amunicji, jedwabiu, futer, biżuterii, dziwnie rzeźbionych kamiennych naczyń, dużej ilości pożywienia, w tym także wielu beczek wody, którą ujrzałem po raz pierwszy od mego przybycia na Marsa, załadowano na przysłane wozy.

Opróżniony statek wojownicy odciągnęli daleko w dolinę. Kilku z nich weszło na pokład i zajęło się, jak mi się wydawało z odległości, w jakiej się znajdowałem, wylewaniem zawartości różnego kształtu naczyń na ciała poległych, na pokłady i urządzenia statku. Po zakończeniu tych czynności opuścili się po linach na ziemię. Ostatni wojownik odwrócił się, wrzucił coś do środka i chwile czekał na rezultat. Gdy z miejsca, w którym upadła rzucona przez niego rzecz zaczął rozszerzać się płomień, przeskoczył szybko barierkę i wkrótce znalazł się na ziemi. Liny zostały jednocześnie wypuszczone i wielki statek, lżejszy po stracie ładunku, wzbił się majestatycznie w górę, a jego pokłady i nadbudówki pochłaniał szalejący płomień.

Powoli odpływał na południowy wschód, wzbijając się coraz wyżej, w miarę jak pożar trawił drewniane części i zmniejszał jego wagę. Wszedłem na dach i przez kilka godzin patrzyłem za oddalającym się statkiem, aż w końcu znikł mi z oczu w mgiełce nad horyzontem. Był to przygnębiający widok – ogromny, latający stos pogrzebowy, dryfujący bezwładnie przez pustynie marsjańskiego nieba – wypełniony śmiercią, zniszczony wrak, jakby symbolizujący życie tych

dziwnych i okrutnych stworzeń, w których nieprzyjazne ręce rzucił go los.

Zgnębiony zszedłem powoli na ulice. Miałem takie wrażenie, jakbym był świadkiem kieski i unicestwienia sił zbrojnych, należących do pokrewnej mi rasy, a nie zniszczenia przez zielonych wojowników hordy wrogich, ale podobnych im stworów. Nie mogłem zrozumieć skąd się wzięło to wrażenie, ale jednocześnie nie mogłem się go pozbyć. Gdzieś w głębi mej duszy narodziło się dziwne współczucie dla tych nieznanymi wrogów, a także nadzieja, że flota wróci i wystawi rachunek zielonym wojownikom, którzy ją tak bezlitośnie i okrutnie zaatakowali.

Wyszedłem na ulice, a pies Woola biegi tuż za mną, na swoim już zwykłym miejscu. Wkrótce dogoniła mnie Solą. Karawana wozów wracała na plac. Wymarsz w stronę domu nie został podjęty na nowo ani tego dnia, ani przez cały następny tydzień ze względu na obawę przed powrotem powietrznej floty. Lorquas Ptomel był zbyt przebiegłym i doświadczonym żołnierzem, aby dać się złapać na otwartej przestrzeni z mało ruchliwymi wozami, obciążonymi na dodatek lupami i dziećmi. Pozostaliśmy więc w opuszczonym mieście do czasu, aż, jak się zdawało, niebezpieczeństwo minęło.

Gdy Solą i ja weszliśmy na plac ujrzałem widok, który napełnił mnie mieszaniną nadziei, strachu, radości i smutku, a nad tym wszystkim dominowało uczucie ulgi i szczęścia. Dwie kobiety brutalnie ciągnęły w kierunku wejścia do najbliższego budynku jeńca ze statku powietrznego. Była to dziewczyna, podobna w każdym szczególe do kobiet z Ziemi. W pierwszej chwili mnie nie zauważyła, ale gdy przekraczałem drzwi do budynku, który stać się miał jej więzieniem, odwróciła głowę i jej oczy spotkały się z moimi. Miała bardzo piękną, owalną twarz o delikatnie rzeźbionych rysach, wielkie, błyszczące oczy i czarne jak węgiel włosy, ułożone w dziwny, a jednocześnie bardzo do niej pasujący sposób. Zaróżowione policzki i wspaniale ukształtowane usta pięknie kontrastowały ze skórą o lekko czerwononiedzianym odcieniu. Podobnie jak prowadzące ją zielone Marsjanki nie nosiła żadnej odzieży, oprócz delikatnie wykonanych ozdób, ale żadna szata nie mogłaby bardziej podkreślić piękna jej doskonałej figury.

Gdy mnie dostrzegła jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, a potem wykonała swobodną ręką jakiś mały gest, znaczenia którego, oczywiście, nie mogłem się domyślić. Przez chwile patrzyliśmy na siebie i wraz z upływem sekund wyraz nadziei i nowej odwagi, który rozświetlił jej twarz, gdy mnie ujrzała, zmieniał się w rozczarowanie, spod którego przebijała niechęć i pogarda. Zrozumiałem, że było to wynikiem tego, że nie odpowiedziałem na jej sygnał. Przy całej swej ignorancji marsjańskich obyczajów intuicyjnie czułem, że gestem tym prosiła mnie o pomoc i opiekę. Potem zniknęła mi z oczu w głębi opuszczonego gmachu.

Uczę się języka

Gdy otrząsnąłem się z wrażenia, spojrzałem na Solę, która była świadkiem spotkania i zdumiał mnie dziwny wyraz jej zwykle obojętnej twarzy. Nie wiem o czym myślała, nie mogłem o to spytać, gdyż dotychczas opanowałem język marsjański w stopniu wystarczającym tylko na wyrażenie najprostszych, codziennych potrzeb.

U drzwi budynku, w którym mieszkaliśmy spotkała mnie dziwna niespodzianka. Podszedł do mnie wojownik i podał mi broń, ozdoby i pozostały rynsztunek, noszony przez jego rasę. Powiedział do mnie kilka niezrozumiałych słów, zachowując się z szacunkiem, a zarazem jakby grożąc mi. Solą, korzystając z pomocy kilku innych kobiet, przerobiła później to wszystko tak, by pasowało do moich mniejszych rozmiarów.

Odtąd Solą zaczęła wprowadzać mnie w tajniki posługiwania się różnymi rodzajami broni i wraz z młodym Marsjaninem spędzaliśmy codziennie kilka godzin na placu, doskonaląc swoje umiejętności. Nie potrafiłem jeszcze równie sprawnie posługiwać się każdym rodzajem broni, ale moja doskonała znajomość wszelkich typów oręża, używanego na Ziemi, czyniła ze mnie bardzo pojętego, robiącego szybkie postępy ucznia.

Ćwiczenia, zarówno moje, jak i młodych Marsjan, przeprowadzały wyłącznie kobiety. Do ich obowiązków należy nie tylko doskonalenie młodzieży w sztuce indywidualnej obrony i ataku, ale i wytwarzanie przedmiotów, potrzebnych zielonym Marsjanom. Produkują proch, naboje, broń palną – praktycznie wszystkie potrzebne przedmioty na Marsie robione są przez kobiety. W czasie działań wojennych tworzą one oddziały rezerwowe i, w razie potrzeby, walczą z większą nawet inteligencją i zaciekłością niż mężczyźni. Ci natomiast ćwiczą się w bardziej skomplikowanych zagadnieniach – w strategii, w sztuce dowodzenia dużymi oddziałami. Tworzą także prawa, za każdym razem inne, w zależności od sprawy, w której mają być użyte. Ich wymiar sprawiedliwości nie opiera się na starych zasadach, ma też za nic wszelkie precedensy. Zwyczaje utrwały się przez wieki, z pokolenia na pokolenie, ale karę za ich naruszenie ustala się w oparciu o indywidualne podejście do każdej sprawy. Kara ta jest nakładana przez sąd, złożony z wojowników równych rangą przestępcy, i muszę powiedzieć, że rzadko bywa niesprawiedliwa. Marsjanie mają szczęście przynajmniej pod jednym względem – nie wiedzą co to zawodowy prawnik.

Nie widziałem uwięzionej dziewczyny przez kilka następnych dni, a potem widziałem ją zaledwie przez moment, gdy była prowadzona do wielkiej sali audiencyjnej, tej samej, w której po raz pierwszy miałem okazję spotkać się z Lorquas Ptomelem. Nie mogłem nie zauważyć brutalności, z jaką strażnicy się z nią obchodzili, tak różnej od niemal macierzyńskiej troski, którą otaczała mnie Solą oraz od okazywanego mi szacunku przez tych zielonych Marsjan, którzy w ogóle zadawali sobie trud, by mnie dostrzec.

Zarówno za pierwszym jak i drugim razem, gdy ją widziałem zwróciłem uwagę na to, że uwięziona zamienia kilka słów ze strażnikami. Wyciągnąłem z tego wniosek, że mówi ona tym samym językiem, co zieloni Marsjanie, a w każdym razie potrafi się z nimi porozumieć. Wobec tego nalegałem na Solę, bardzo tym faktem zdziwioną aby uczyła mnie języka w sposób bardziej

intensywny i w ciągu kilku dni opanowałem go na tyle, by móc prowadzić w miarę urozmaiconą rozmowę, rozumiałem zaś niemal wszystko, co było do mnie czy wokół mnie mówione.

W pomieszczeniu, które zajmowaliśmy, sypiały teraz oprócz mnie, Soli, jej wychowanka i psa Woola, trzy czy cztery kobiety wraz z dziećmi. Dorośli mieli zwyczaj wymieniać przed udaniem się na spoczynek kilka przypadkowych uwag i teraz, znając już język, przysłuchiwałem się im z ciekawością, mimo że sam nigdy się nie wtrącałem. Wieczorem tego dnia, w którym uwięziona została doprowadzona do sali audiencyjnej rozmowa wreszcie skupiła się wokół niej. Momentalnie zamieniłem się w słuch. Uprzednio obawiałem się wypytywać Solę o pięknego jeńca, gdyż ciągle tkwił mi w pamięci dziwny wyraz jej twarzy po moim pierwszym spotkaniu z dziewczyną. Nie wiedziałem, co oznaczał, jednak, wciąż oceniając wszystko z punktu widzenia człowieka z Ziemi, uważałem, że będzie bezpieczniej okazać obojętność, dopóki nie dowiem się, jakie uczucia Sola naprawdę żywi wobec przedmiotu mojego zainteresowania.

Sarkoja, jedna ze starszych kobiet, dzielących z nami pomieszczenia, była obecna w sali audiencyjnej jako strażniczka pojmanej i do niej właśnie były kierowane wszystkie pytania.

- Kiedy wreszcie - spytała jedna z kobiet - będziemy się radowali śmiertelnymi mękami Czerwonej? A może Lorquas Ptomel zamierza wymienić ją na okup?

- Zdecydowano zabrać ją do Thark - odpowiedziała Sarkoja - i poddać męczarniom w czasie Wielkich Igrzysk, aby również Tal Hajus mógł się cieszyć jej agonią.

- W jaki sposób zostanie uśmiercona? - spytała Sola. - Jest bardzo drobna i piękna. Sądziłam, że zostanie wymieniona na okup.

Sarkoja i inne kobiety oburzyły się, że Sola daje dowód słabości.

- Szkoda Solo, że nie urodziłaś się milion lat temu - powiedziała Sarkoja złośliwie - gdy wszystkie zagłębienia w ziemi były wypełnione wodą, a ludzie mieli charaktery miękkie jak ciecze, po której pływali. Dzisiaj jesteśmy już na tyle rozwinięci, że zdajemy sobie sprawę, iż tego typu sentymenty oznaczają tylko słabość i atawizm. Nie byłoby dla ciebie dobrze, gdyby Tars Tarkas dowiedział się, że hodujesz w sobie tak zdegenerowane uczucia. Wątpię czy by ci pozwolił wypełniać w dalszym ciągu obowiązki matki.

- Nie widzę nic złego w moim zainteresowaniu losem tej kobiety - odpowiedziała Solą. - Nigdy nas nie skrzywdziła i przypuszczam, że nie wyrządziłaby nam żadnej krzywdy, gdybyśmy wpadli w jej ręce. Tylko mężczyźni jej rasy prowadzą z nami wojnę i zawsze uważałam, że ich stosunek do nas jest odbiciem, na dodatek nikłym, naszego stosunku do nich. Żyją w przyjaźni ze wszystkimi swoimi sąsiadami, chyba że obowiązek wzywa ich do walki, podczas gdy my walczymy bez przerwy i ze wszystkimi, zarówno z czerwonymi, jak i z własną rasą. Nawet w obrębie plemion stale są toczony walki między poszczególnymi wojownikami. Całe nasze życie jest znaczone przelaną krwią, od chwili gdy przebijemy skorupkę jajka, aż do momentu, w którym powierzamy się tajemniczemu wodom rzeki Iss, unoszącym nas ku nieznanemu, ale na pewno nie bardziej przerażającemu i okrutnemu przeznaczeniu. Szczęśliwy jest ten, kogo śmierć zabiera w młodości! Powiedz Tars Tarkasowi co ci się podoba, nie wymyśli on dla mnie nic gorszego niż to straszne życie, które teraz jest naszym udziałem.

Ta nieoczekiwana i gwałtowna tyrada tak zaskoczyła i zbiła z tropu pozostałe kobiety, że nie zdobyły się na nic ponad kilka słów ogólnej reprymendy. Potem zapadły w długie, milczenie, a wkrótce posnęły. Ten incydent przekonał mnie, że Sola nie żywi wobec dziewczyny wrogich uczuć oraz, że miałem wyjątkowe szczęście dostając się w jej ręce, a nie w ręce, które są z pozostałych kobiet.

Wiedziałem, że mnie lubi, a teraz, gdy usłyszałem, że nienawidzi okrucieństwa i barbarzyństwa,

zaczęłam żywić nadzieje, iż mogę liczyć na jej pomoc w zorganizowaniu ucieczki, zakładając oczywiście, że taka ucieczka była możliwa.

Nie wiedziałem czy na Marsie jest jakieś lepsze dla mnie miejsce, ale jeśli nawet nie, to wolałem raczej ryzykować życie wśród podobnych mi ludzi niż zostać dłużej wśród potwornych, krwiożerczych zielonych istot.

Zwycięzca i wódz

Następnego ranka wstałem bardzo wcześnie. Pozostawiono mi względną swobodę – Sola powiedziała mi, że póki nie próbuje opuścić miasta, wolno mi wychodzić i wracać kiedy mi się podoba. Ostrzegła mnie jednocześnie, abym nie oddalał się zbyt daleko bez broni, gdyż w tym mieście, podobnie jak we wszystkich opuszczonych metropoliach starej marsjańskiej cywilizacji, często spotyka się jak już tego doświadczyłem, wielkie białe małpy. Dodała przy tym, że Woola nie dopuści, abym wyszedł poza granice miasta i bardzo stanowczo uprzedziła przed igraniem z krwiożerczą naturą zwierzęcia, to znaczy niezwracaniem uwagi na jego ostrzeżenia po zbyt bliskim podejściu do obszarów, na które nie wolno mi wchodzić. Gdybym próbował mu się przeciwstawić przywłókłby mnie z powrotem do miasta żywego albo umarłego. „Najprawdopodobniej umarłego” – dodała.

Tego rana byłem zajęty badaniem nieznannej mi dotąd ulicy i nieoczekiwanie znalazłem się blisko granicy miasta. Przynajmniej przed mną leżało pasmo niskich wzgórz, poprzecinane wąskimi wąwozami. Zapalałem chęcią zbadania okolicy i przyjrzenia się krajobrazowi, który krył się poza zasłaniającymi mi widok wzgórzami.

Zauważyłem także, że jest to znakomita okazja do sprawdzenia jak zachowa się Woola. Byłem pewien, że mnie lubi, dostarczył mi na to więcej dowodów niż jakakolwiek inna marsjańska istota. Miałem nadzieję, że wdzięczność za dwukrotne uratowanie mu życia przeważy nad obowiązkiem, nałożonym na niego przez jego okrutnych panów. Gdy podchodziłem do granicy miasta Woola biegał nerwowo przede mną, od czasu do czasu ocierając się o moje nogi. Wygląd miał raczej smutny niż drapieżny, nie obnażał wielkich kłów ani nie warczał ostrzegawczo. Pozbawiony przyjaźni i towarzystwa istot, należących do mego gatunku, obdarzałem dość dużą życzliwością Woola i Solę, gdyż pochodzący z Ziemi człowiek musi znaleźć ujście dla swych naturalnych uczuć. Zdecydowałem się, że będę polegał na podobnym instynkcie tej wielkiej bestii i miałem nadzieję, że się nie rozczaruje.

Nigdy go nie głaskałem ani się z nim nie bawiłem, ale teraz usiadłem na ziemi, objąłem ramionami jego grubą szyję i zacząłem przemawiać nowo nauczonym językiem, tak jakbym przemawiał do mego ziemskiego psa. Reakcja była taka, jakiej się spodziewałem – otworzył pysk najszerzej jak mógł, pokazując przy tym cały komplet zębów i marszcząc skórę, w której niemal całkowicie zginęły jego ślepia. Jeśli widzieliście kiedykolwiek uśmiechającego się szkockiego owczarka, to macie pewne wyobrażenie o tym, jak w tej chwili wyglądał Woola.

Przewrócił się na grzbiet i wesoło tarzał tuż przy moich stopach, potem nagle skoczył, przewracając mnie swoim ciężarem na ziemię, wreszcie zaczął się kręcić i podskakiwać, jak mały, domagający się pieśczoł szczeniak. Jego zachowanie było tak zabawne, że nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem szczerym śmiechem, po raz pierwszy od dnia, w którym Powell opuścił nasz obóz. Niespodziewany wybuch mojej wesołości przestraszył Woola. Przestał podskakiwać i tarzać się. i spuścił łeb zerkając na mnie błagalnie. Podszedł nieśmiało i położył mi głowę na kolanach. Przypomniałem sobie wtedy, co oznacza śmiech na Marsie – tortury, cierpienia, śmierć.

Umilkłem i przez kilka minut poklepywałem go, głaskałem i przemawiałem do niego. Potem podniosłem się. i stanowczym tonem poleciwszy mu, aby szedł za mną, ruszyłem w stronę wzgórz.

Posłuchał mnie i od tej chwili był już moim oddanym niewolnikiem, a ja jego jedynym i niezaprzeczalnym panem. Po kilku minutach marszu dotarłem do wzgórz i nie znalazłem tam nic, co by mnie szczególnie zainteresowało. Zbocza wąwozów porośnięte były dużą ilością kolorowych i dziwnie ukształtowanych kwiatów, a ze szczytu pierwszego wzgórza zobaczyłem, że pasmo ciągnie się ku północy, coraz wyżej, aż wtapia się w łańcuch gór, które wydały mi się bardzo wysokie. Potem dowiedziałem się, że tylko kilka szczytów na Marsie sięga czterech tysięcy stóp wysokości – okazuje się, że również pojęcie wielkości jest względne.

Jednak mój poranny spacer miał dla mnie ogromne znaczenie, gdyż jego rezultatem było całkowite porozumienie z Woolem, który z polecenia Tars Tarkasa miał być moim strażnikiem. Teraz już wiedziałem, że chociaż wciąż – teoretycznie – więziony, jednak w praktyce byłem wolny. Starałem się jak najszybciej dotrzeć z powrotem do miasta, zanim nieposłuszeństwo zwierzęcia zostanie dostrzeżony przez jego byłych panów. Postanowiłem nie opuszczać wyznaczonych mi granic do czasu, aż będę gotów, by je opuścić na zawsze. Takie wycieczki, gdyby je zauważono Woola mógł przypłacić życiem, a ja utratą tej swobody, która się dotychczas cieszyłem.

Kiedy wróciłem na plac, po raz trzeci ujrzałem dziewczynę. Stała w towarzystwie strażników przed wejściem do sali audiencyjnej, a gdy podszedłem bliżej rzuciła mi wyniosłe spojrzenie i odwróciła się plecami. Jej zachowanie było tak kobiece, w znaczeniu ziemskim, że jakkolwiek moja godność własna została urażona, serce wypełniało mi ciepłe uczucie wspólnoty. Dobrze było wiedzieć, że ktokolwiek na Marsie poza mną ma właściwe cywilizowanym ludziom odruchy, mimo że sposób ich okazania był dla mnie tak przykry.

Gdyby zielona kobieta chciała okazać niechęć czy niezadowolenie, prawdopodobnie by to zrobiła za pomocą miecza lub pociągnięcia za spust. Jednak tylko bardzo poważna obraza mogłaby wywołać w nich taką reakcję, gdyż są one całkowicie pozbawione uczuć. Sola, muszę to zaznaczyć, stanowiła pod tym względem wyjątek. Nigdy nie zauważyłem, aby komukolwiek okazała okrucieństwo czy też była nieuprzejma lub surowa. Rzeczywiście miała, jak to powiedziały kobiety z jej plemienia, charakter swoich zdolnych do uczuć przodków.

Widząc, że uwięziona dziewczyna jest centrum powszechnego zainteresowania, zatrzymałem się, by być świadkiem tego, co miało nastąpić. Wkrótce nadszedł Lorquas Ptomel wraz z towarzyszącą mu świtą dowódców i gestem nakazał straży wprowadzić dziewczynę do sali. Postanowiłem wejść za nimi, mając nadzieję że nie zostanę wyrzucony. Dotychczas okazywano mi pewne względy, a poza tym Marsjanie nie wiedzieli, że znam ich język. Uprosiłem Sole, by zachowają to na razie w tajemnicy, mówiąc, że nie chce być zmuszany do rozmów z mężczyznami, póki nie nabiorę wprawy w posługiwaniu się językiem marsjańskim.

Marsjanie usadowili się na stopniach podwyższenia, a więziona dziewczyna w towarzystwie dwóch strażników stała przed nimi. Zauważyłem, że jedną ze strażniczek była Sarkoja. Jej zachowanie w stosunku do dziewczyny było szczególnie okrutne i obraźliwe. Trzymała ją, zatapiając w skórze swoje pazury lub też boleśnie wykręcając jej ramie. Gdy przechodziły z jednego miejsca w inne, ciągnęła ją brutalnie bądź poszturchiwała i popychała przed sobą. Wydawało się, że chce skupić na tej biednej, bezbronnej istocie całą nienawiść, złość i okrucieństwo, z jakimi się stykała w ciągu dziewięćuset lat swego życia, dodając do tego długie tysiąclecia doświadczeń swych dzikich, brutalnych przodków.

Druga strażniczka była mniej okrutna, ale było jej absolutnie wszystko jedno, co się z dziewczyną działo. Gdyby zostawiono więzioną tylko pod jej strażą, a na szczęście tak było w nocy, nie

zadawałaby jej bólu, ale również byłaby obojętna na wszelkie jej potrzeby.

Lorquas Ptomel podniósł oczy, by się zwrócić do więźniarki i zauważył moją obecność w sali. Powiedział coś do Tars Tarkasa, robiąc przy tym wrażenie zniecierpliwionego, ale gdy Tars Tarkas mu odpowiedział, niestety zbyt cicho, bym mógł usłyszeć, uśmiechnął się i nie zwracał odtąd na mnie najmniejszej uwagi.

- Jak się nazywasz? - spytał dziewczynę.

- Dejah Thoris, córka Mors Kajaka z Helium.

- Jaki był cel waszej wyprawy?

- Była to czysto naukowa ekspedycja - odpowiedziała dźwięcznym, cichym głosem - wysłana przez ojca mego ojca, Jedaka z Helium w celu sporządzenia mapy prądów powietrznych i przeprowadzenia badań gęstości atmosfery. Byliśmy całkowicie nie przygotowani do walki - kontynuowała - gdyż nasza misja miała pokojowy charakter, na co wskazywały chorągwie i kolor naszych statków. Praca, którą wykonywaliśmy dotyczy was w takim samym stopniu jak nas, gdyż wiecie doskonale, że bez naszych wysiłków i badań naukowych Mars stałby się martwą planetą, powietrza i wody nie wystarczyłoby nawet na podtrzymanie życia jednej istoty. Od wieków zapewniamy ich stały dopływ, a z waszej strony spotykamy się wyłącznie z brutalnymi napaściami i ciągłymi przeszkodami! Dlaczego nie nauczycie się żyć z nami w przyjaźni? Czy koniecznie musicie kroczyć drogą, która sprowadza was do poziomu nie wiele wyższego niż poziom tych głupich zwierząt, które wam służą? Jesteście narodem nie znającym pisanego języka, nie znającym sztuki, domów, miłości, obciążonym tysiącletnimi straszliwych zwyczajów. Posiadając wszystko wspólnie, nawet żony i dzieci, nie posiadacie nic. Nienawidzicie się wzajemnie, nienawidzicie wszystkich, oprócz siebie. Powróćcie na drogę, którą kroczyli nasi wspólni przodkowie, na drogę wzajemnego poszanowania i przyjaźni. Jest ona dla was otwarta, czerwoni ludzie gotowi są wam pomóc ją odnaleźć. Wspólnie możemy działać znacznie skuteczniej, możemy uratować naszą umierającą planetę. Wnuczka największego i najpotężniejszego z czerwonych jeddaków prosi was o to. Czy wysłuchacie tej prośby?

Lorquas Ptomel i wojownicy siedzieli przez chwile w milczeniu, uważnie przyglądając się dziewczynie. Nikt nie wie, jakie myśli przepływały przez ich głowy, ale jestem pewien, że byli głęboko poruszeni. Gdyby znalazł się wtedy wśród nich jeden, który byłby dostatecznie silny, aby wystąpić przeciw utartym zwyczajom, ta chwila mogłaby oznaczać dla Marsa początek nowej, wspaniałej ery.

Zauważyłem, że Tars Tarkas podnosi się, by przemówić. Jego twarz miała wyraz, jakiego nigdy przedtem nie widziałem u zielonego wojownika. Odbijało się na niej wewnętrzne, potężne zmaganie z samym sobą, z utartymi obyczajami, ze spuścizną wieków, a gdy otworzył usta, by mówić - jego straszliwe, okrutne oblicze rozświetliło się na chwile odcieniem łagodności i dobroci.

Jednak słowa, które chciał wypowiedzieć nigdy nie padły. Jeden z młodszych wojowników, najwidoczniej czując w jakim kierunku podążają myśli starszyny, zeskoczył ze stopnia podwyższenia i uderzył z całej siły dziewczynę w twarz. Upadła na podłogę, a on oparł stopę na jej ciele i potoczył je w stronę siedzących wojowników, wybuchając straszonym, pozbawionym wesołości śmiechem.

Przez moment myślałem, że Tars Tarkas natychmiast położy go trupem. Wyraz twarzy Lorquas Ptomelą również nie był dla zuchwalca życzliwy, jednak nastrój prysł, ich dawne charaktery i nawyki wzięły górę i twarze wykrzywiły się w uśmiechu. Znamienne było jednak, że nie wybuchnęli głośnym śmiechem, mimo że czyn młodego wojownika odpowiadał dokładnie ich wyobrażeniom o dobrej zabawie.

Fakt, iż poświęciłem kilka chwil na opisanie tego, co nastąpiło po zadanym dziewczynie ciosie

nie oznacza wcale, iż wtedy przez tak długi czas przyglądałem się temu biernie i bezczynnie. Myślę, że musiałem przeczuwać bieg wydarzeń, gdyż w chwili, gdy wojownik dopiero podnosił rękę do uderzenia, byłem sprężony jak do biegu i ledwo ręka opadła na policzek dziewczyny pokonałem już połowę dzielącej mnie od nich drogi.

Znalazłem się przy nim w momencie, gdy zaczynał się śmiać. Miał przynajmniej dwanaście stóp wzrostu i był uzbrojony po zęby, ale ogarnęła mnie taka wściekłość, że byłem gotowy walczyć z całym światem. Słyszając mój wrzask odwrócił się, a ja wyskoczyłem w powietrze i z całej siły rąbnąłem go pięścią w pysk. Zatoczył się, wyciągnął krótki miecz. Wyciągnąłem swój i skoczyłem na niego, opierając stopę na rękojeści jego pistoletu, zaś lewą ręką trzymając się olbrzymiego kła, prawą raz za razem zatapiałem ostrze miecza w jego piersi.

Nie mógł użyć swego miecza, gdyż byłem zbyt blisko niego, ani wyciągnąć pistoletu, co zresztą chciał zrobić, łamiąc tym samym zwyczaj, który wymaga, aby w pojedynku używać tylko takiej broni, jaką walczy przeciwnik. Nie mógł właściwie zrobić nic innego, jak tylko starać się mnie odepchnąć. Mimo swoich rozmiarów był jednak niewiele, jeśli w ogóle, ode mnie silniejszy i po chwili osunął się bez życia na podłogę, krwawiąc obficie. Dejah Thoris przyglądała się walce rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Gdy wreszcie uwolniłem się od zielonego wojownika, wziąłem ją na ręce i zaniósłem ku jednej ze stojących z boku ławek.

Zaden z Marsjan mi nie przeszkodził. Oderwałem kawałek jedwabiu z mego płaszcza i starałem się zatamować płynącą z jej nosa krew. Wkrótce krwotok, będący na szczęście jedynym odniesionym przez nią obrażeniem, ustał i mogła już mówić. Położyła dłoń na moim ramieniu i spytała, patrząc mi w oczy:

- Dlaczego to zrobiłeś? Ty, który odmówiłeś mi swej przyjaźni podczas naszego pierwszego spotkania? A teraz ryzykujesz życie i zabijasz w mojej obronie jednego ze swych towarzyszy. Nie mogę tego zrozumieć. Jesteś dziwną istotą - przebywasz wśród zielonych ludzi, a jednocześnie wyglądasz tak, jak mężczyźni mojej rasy, tylko skórę masz jasną, jedynie trochę ciemniejszą niż białe małpy. Kim jesteś? Człowiekiem, czy może kimś więcej niż człowiekiem?

- Moja historia - odpowiedziałem - jest zbyt długa, bym ci ją teraz mógł opowiedzieć i tak dziwna, że sam z trudnością w nią wierze. Obawiam się, że nikt inny nie uzna jej za prawdziwą. Na razie powiem tylko, że jestem twóilri przyjacielem i, o ile pozwolą na to ci, którzy nas uwięzili, obrońcą i sługą.

- Wiec ty również jesteś więźniem? Ale w takim razie, dlaczego nosisz broń i insygnia tharkijskiego dowódcy? Jak się nazywasz? Skąd pochodzisz?

- Tak, ja również jestem więźniem. Nazywam się John Carter, a pochodzę z Wirginii w Stanach Zjednoczonych Ameryki, to znaczy z Ziemi. Nie wiem dlaczego pozwolono mi nosić broń, nie miałem także pojęcia, że ozdoby, które nosze, są insygniami dowódcy.

W tym momencie musieliśmy przerwać rozmowę, gdyż podszedł do nas jeden z wojowników, niosąc broń, ekwipunek i ozdoby. Nagle uzyskałem odpowiedź na jedno z pytań, zadanych przez Dejah Thons. Zobaczyłem, że z martwego ciała mojego niedawnego przeciwnika zdjęto wszystko, co na nim i przy nim było, a w zachowaniu wojownika, który przyniósł mi te trofea dostrzegłem groźbę, ukrytą pod wyraźnym szacunkiem, podobnie jak u tego, który przedtem przyniósł mi takie samo wyposażenie. Zrozumiałem, że pierwsza walka, ta, którą stoczyłem w sali audiencyjnej w dniu mego tutaj przybycia, skończyła się śmiercią mojego przeciwnika.

Teraz już była jasna przyczyna, dla której traktowano mnie tak uprzejmie. Na podstawie ściśle przestrzeganych zwyczajów, które, nawiasem mówiąc, skłoniły mnie do nazwania Marsa planetą paradoksów, obdarzony zostałem honorami, należnymi zwycięzcy – tytułami, wyposażeniem i

pozycją wojownika, którego zabiłem. Rzeczywiście uznawano mnie za równego dowódcom i dzięki temu, jak się później dowiedziałem, miałem względną swobodę i tolerowano moją obecność w sali audiencyjnej.

Odwróciłem się, by odebrać wyposażenie zmarłego wojownika i zauważyłem, że Tars Tarkas i inni Marsjanie patrzą na mnie z wyraźnym podziwem. Podeszli do nas i Tars Tarkas powiedział:

- Jak na kogoś, kto jeszcze niedawno był głuchy i niemy mówisz bardzo płynnie językiem Baarsomian. Gdzie się tego nauczyłeś, Johnie Carter?

- To twoja zasługa, Tars Tarkasie - odpowiedziałem - gdyż dałeś mi znakomitą nauczycielkę, Solę. To

właśnie jej zawdzięczam znajomość waszego języka.

- Sprawiała się bardzo dobrze - powiedział - ale twoja wiedza w innych dziedzinach wymaga jeszcze poważnych uzupełnień. Czy wiesz, ile by cię kosztowała twoja niezwykła odwaga, gdyby nie udało ci się zabić któregoś z tych dwóch dowódców, których odznaki teraz nosisz?

- Przypuszczam - odpowiedziałem z uśmiechem - że ten, którego bym nie zdołał zabić zabiłby mnie.

- Nie, mylisz się. Marsjanin zabija jeńca tylko w obronie własnej i to jedynie w razie ostatecznej konieczności. Zachowujemy ich do innych celów. - Wyraz jego twarzy mówił aż zbyt wyraźnie, na czym te cele polegały.

- Teraz tylko jedna rzecz może cię uratować - kontynuował. - Jeżeli, wzięwszy pod uwagę twoje zalety, waleczność i odwagę Tal Hajus uzna cię za godnego wstąpienia na jego służbę możesz zostać przyjęty do naszego plemienia i stać się pełnowartościowym Tharkianinem. Jest wolą Lorquas Ptomeła, abyś do czasu naszego przybycia do siedziby Tal Hajusa był traktowany z szacunkiem, jaki sobie zdobyłeś swymi czynami. Będziemy cię uważać za tharkiańskiego dowódcę, ale nie zapominaj, że każdy z nas, który jest równy ci rangą, ponosi odpowiedzialność za dostarczenie cię przed oblicze naszego potężnego i najsurowszego władcy. Skończyłem.

- Przyjmuje to do wiadomości - odpowiedziałem. - Jak wiesz, nie pochodzę z Barsoomu, wasze drogi nie są moimi drogami. W przyszłości mogę postępować tylko tak, jak postępowałem w przeszłości – zgodnie z moim sumieniem i kierując się zasadami obowiązującymi moją rasę. Powiedz swemu plemieniu, by każdy Barsoomianin, z którym będę miał do czynienia uszanował moje prawa jako obcego, gdyż w przeciwnym wypadku będzie musiał ponieść konsekwencje swojego postępowania. I jeszcze jedną rzecz chciałbym postawić jasno – bez względu na to, co ostatecznie macie zamiar zrobić z tą nieszczęsną młodą kobietą, jeżeli ktokolwiek w przyszłości skrzywdzi ją lub obrazi, musi być świadom, że wystawie mu za to dokładny rachunek. Wiem, że macie za nic uczucia wspaniałomyślności i dobroci, ale ja je cenie bardzo wysoko. Zapewniam was jednak, że w najmniejszym stopniu nie zmniejszają one mojej zdolności do walki i umiejętności posługiwania się bronią.

Wygłaszanie długich przemówień nie leży w moim zwyczaju, nigdy też tego nie robiłem, lecz domyślałem się, jakiego tonu należy używać wobec zielonych Marsjan. Moja elokwencja zrobiła na nich duże wrażenie i odtąd w ich zachowaniu wobec mnie dostrzegałem jeszcze większy niż poprzednio szacunek.

Tars Tarkas wydawał się być zadowolony z tonu i treści mojej odpowiedzi, ale jedyny komentarz, jakim ją opatrzył był nieco zagadkowy.

- Wydaje mi się, że znam Tal Hajusa, Jeddaka Tharku - powiedział.

Zająłem się Dejah Thoris, pomogłem jej wstać i poprowadziłem do wyjścia, nie zwracając uwagi na wierzące się niezdecydowanie strażniczki i na badawcze spojrzenia dowódców. Teraz ja

również byłem dowódcą i mogłem wziąć na siebie odpowiednie obowiązki. Nie przeszkadzano nam i w ten sposób Dejah Thoris, księżniczka Helium i John Carter, gentleman z Wirginii z towarzyszącym im wiernie Woola wyszli wśród grobowej ciszy z sali audiencyjnej Lorąuas Ptomeła, Jeda Tharków z Barsoomu.

Z Dejah Thoris

Obie strażniczki wybiegły za nami, jakby chciały na nowo objąć swe funkcje. Biedna dziewczyna przytuliła się do mnie, obejmując moje ramie obiema rękami. Odesłałem kobiecie, oświadczając im, że odtąd jeńcem będzie się zajmowała Solą. Ostrzegłem jednocześnie Sarkoje, by nie próbowała w jakikolwiek sposób skrzywdzić dziewczyny, gdyż pociągnie to za sobą szybką i surową karę.

Moje zachowanie było nieco niefortunne i w rezultacie sprowadziło na Dejah Thoris więcej złego niż dobrego, gdyż, jak się później dowiedziałem, na Marsie mężczyźni nie zabijają kobiet ani też kobiety mężczyzn. Sarkoja obrzuciła nas złym spojrzeniem i odeszła, aby nas oczernić i snuć intrygi.

Odnalazłem Sole i poinformowałem ją, że chce, aby opiekowała się Dejah Thoris z troską równą tej, jaką okazywała mnie, ponadto by znalazła pomieszczenia, w których nie byłyby niepokojone przez Sarkoję i w końcu stwierdziłem, że ja przenoszę się do mężczyzn.

Sola spojrzała na trzymaną przeze mnie broń i na insygnia na mojej piersi.

- Jesteś teraz wielkim dowódcą - powiedziała - i muszę wykonywać twoje polecenia, ale robię to z prawdziwą przyjemnością. Człowiek, którego ozdoby nosisz był młodym lecz mimo to wielkim wojownikiem. Swoimi czynami wywalczył sobie pozycje nieco tylko ustępującą Tars Tarkasowi, który, jak wiesz, zajmuje w hierarchii drugie miejsce po Lorquas Ptomelu. Ty jesteś teraz jedenasty wśród wszystkich Tharkian, tylko dziesięciu wojowników przewyższa cię rangą.

- A gdybym zabił Lorquas Ptomela? - spytałem.

- Byłbyś pierwszy, Johnie Carter. Ale wyzwać go mógłbyś tylko za zgodą całej rady. Gdyby on ciebie zaatakował, a ty zabiłbyś go w obronie własnej jego miejsce należałoby do ciebie.

Zaśmiałem się i zmieniłem temat. Nie miałem wcale ochoty zabijać Lorquas Ptomela, a jeszcze mniejszą być jednym z Tarkian.

Towarzyszyłem Soli i Dejah Thoris w poszukiwaniu nowego pomieszczenia. Znaleźliśmy je w budynku o znacznie bardziej wyszukanej architekturze, położonym bliżej sali audiencyjnej. Natknęliśmy się w nim na prawdziwe pokoje sypialne, zaopatrzone w stare, wykonane w metalu łoża, podwieszane pod marmurowym sufitem na grubych, złotych łańcuchach. Dekoracje ścian były dopracowane w ostatnim szczególe i w odróżnieniu od fresków w innych budynkach, które odwiedziłem, przedstawiały grupy ludzi w różnych ujęciach. Byli to ludzie bardzo do mnie podobni, o skórze jaśniejszej niż u Dejah Thoris. Ubrani byli w pełne gracji, powiewne szaty, bogato zdobione metalem i drogimi kamieniami, a ich włosy miały piękny złoto- lub czerwono-brązowy kolor. Mężczyźni nie mieli zarostu i tylko kilku z nich było uzbrojonych. Sceny przedstawiały głównie różne rodzaje zabaw.

Dejah Thoris, widząc te wspaniałe dzieła sztuki, stworzone przez dawno zmarłych mistrzów, aż klasnęła w dłonie z zachwytu. Solą natomiast nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi. Zdecydowaliśmy, że Dejah Thoris i Solą zajmą pokój położony na drugim piętrze, z oknami zwróconymi w stronę placu, natomiast przyległe do niego pomieszczenia w głębi budynku będą służyć za kuchnię i spizarnie. Potem wysłałem Sole po potrzebne rzeczy oraz po żywność, mówiąc,

że do czasu jej powrotu będą pilnował Dejah Thoris.

Gdy Solą wyszła, dziewczyna powiedziała do mnie z lekkim uśmiechem:

- A dokąd to uciekłaby uwięziona, gdybyś ją zostawił samą? Mogłaby jedynie pójść za tobą, prosząc o opiekę i przebaczenie za to, że tak źle o tobie myślała przez ostatnich kilka dni.

- Masz racje - odpowiedziałem. - Dla żadnego z nas nie ma stąd ucieczki, chyba że pójdziemy razem.

- Słyszałam to, co mówiłeś temu stworowi, nazywającemu się Tars Tarkas i myślę, że rozumiem twoją sytuację tutaj, wśród tych ludzi. Nie mogę jednak zrozumieć dlaczego powiedziałeś, że nie pochodzisz z Barsoomu. Skąd w takim razie przybyłeś? Jesteś tak podobny do ludzi mojej rasy, a jednocześnie jakby inny. Mówisz moim językiem, a przecież słyszałam, że dopiero niedawno nauczyłeś się nim posługiwać. Wszyscy na Barsoomie używają tego samego języka, mimo iż sposób jego zapisywania czasem się różni. Tylko w dolinie Dor, gdzie rzeka Iss łączy swoje wody z zaginionym morzem Korus, używany jest podobno inny język. Jednak nie ma żadnych świadectw, poza legendami naszych przodków, aby ktokolwiek stamtąd przybył. Nie mów mi tylko, że jesteś jedną z tych tajemniczych istot! Gdyby to była prawda zabiliby cię natychmiast, nie mógłbyś znaleźć bezpiecznego miejsca na całej planecie! Jej oczy wypełnione były błagalnym oczekiwaniem na zaprzeczenie.

- Nie znam waszych zwyczajów - powiedziałem - ale w moim kraju, w Wirginii, gentleman nie kłamie, by ratować własną skórę. Nie pochodzę z Dor, nigdy nie widziałem tajemniczej Iss, zaginione morze Korus jest dla mnie jeszcze większą zagadką niż dla was. Wierzysz mi?

Nagle złapałem się na tym, że bardzo pragnę, aby mi uwierzyła. Nie dlatego, abym się obawiał o mój los, gdyby wszyscy zaczęli sądzić, że wróciłem z barsoomiańskiego piekła, czy też nieba, czymkolwiek była dolina Dor. A więc dlaczego? Dlaczego tak bardzo mi zależy na tym, co ona sobie o mnie myśli? Spojrzałem na piękną, zwróconą ku mnie twarz i gdy nasze oczy się spotkały, zrozumiałem dlaczego – i zadrżałem. Przez jej głowę zdawały się przepływać podobne myśli. Odsunęła się ode mnie z westchnieniem i, ciągle patrząc mi w oczy, szepnęła:

- Wierze ci. Nie wiem co znaczy słowo „gentleman” ani nigdy nie słyszałam o Wirginii, na Barsoomie jednak żaden mężczyzna nie kłamie. Jeśli nie chce powiedzieć prawdy, milczy. Gdzie leży Wirginia, twój kraj, Johnie Carter? - spytała, a mnie się wydało, że nazwa mojej ojczyzny nigdy nie zabrzmiała tak pięknie.

- Pochodzę z innego świata - odpowiedziałem - z planety, którą nazywamy Ziemią. Obiega ona nasze wspólne słońce po orbicie, leżącej wewnątrz orbity Barsoomu, który znamy pod nazwą Mars. Nie mogę ci powiedzieć jak tu przybyłem, gdyż sam tego nie wiem. Ale jestem tutaj, a ponieważ fakt ten pozwala mi być sługą Dejah Toris, jestem z tego bardzo zadowolony.

Patrzyła na mnie w zamyśleniu, długo i badawczo. Wiedziałem dobrze, że trudno jej uwierzyć w moją opowieść i nie spodziewałem się tego od niej, mimo iż bardzo mi zależało na jej zaufaniu i szacunku. Wolałbym raczej nic jej o sobie nie mówić, jednak żaden mężczyzna patrząc w jej oczy nie mógłby oprzeć się życzeniu, które by wyraziła. W końcu uśmiechnęła się. i wstając powiedziała:

- Muszę ci wierzyć, mimo iż nic nie rozumiem. Jestem gotowa przyjąć, że nie pochodzisz z Barsoomu, a w każdym razie nie z takiego, jakim jest dzisiaj. Niby jesteś taki jak my, a jednak inny. Po co jednak mam obarczać moją biedną głowę takimi zagadkami, skoro serce mi mówi, że wierze, gdyż chce wierzyć!

To było logiczne – dobry przykład ziemskiej, kobiecej logiki. Jeżeli była z niej zadowolona, nie widziałem powodów, dla których miałbym poddawać ją krytyce. Prawdę powiedziawszy był to jedyne rozwiązanie, który można było zastosować, próbując rozwiązać mój problem. Potem

zaczęliśmy rozmawiać na tematy ogólne i zadaliśmy sobie wzajemnie wiele pytań. Była bardzo ciekawa ziemskich obyczajów i wykazała znakomitą znajomość naszej historii. Gdy zacząłem ją wypytywać, skąd pochodzą wiadomości na temat rzeczy dziejących się na Ziemi, zaśmiała się i powiedziała:

- Każdy uczeń na Barsoomie zna geografie waszej planety i ma niemal tak obszerne wiadomości o jej faunie, florze i historii, jak o mieszkańcach, geografii i historii własnej planety. Czyż nie możemy wiedzieć wszystkiego, co się na Ziemi, jak ją nazywasz, dzieje, czy nie wisi ona na niebie dostępna dla każdego oczu?

Musze przyznać, że zaskoczyło mnie to w równym stopniu, jak moja opowieść zaskoczyła ją. Gdy o tym powiedziałem, wyjaśniła, że przyrządy, których jej lud używał i które doskonalił przez całe wieki pozwalają wychwycić, a następnie wyświetlają na ekranach wszystko, co się dzieje na każdej planecie i na wielu gwiazdach. Wyświetlane obrazy, gdy się je sfotografuje i powiększy są tak doskonałe, że można na nich rozróżnić obiekty wielkości źdźbła trawy. Później, w Helium, widziałem wiele z tych obrazów oraz przyrządy, za pomocą których się je uzyskuje.

- Dlaczego w takim razie - spytałem - skoro wiesz tak dokładnie o wszystkim, co się dzieje na Ziemi, nie poznałaś, że jestem jej mieszkańcem?

Uśmiechnęła się znowu, jak do zadającego naiwne pytanie dziecka.

- Ponieważ na każdej planecie, posiadającej zblizoną do barsoomskiej atmosferę - odpowiedziała - rozwijają się formy życia niemal identyczne jak ty czy ja. Ponadto ludzie na Ziemi, niemal bez wyjątków, przykrywają swoje ciała dziwnymi, nieprzezroczystymi ubiorami, a głowy wstrętnymi nakryciami, których przeznaczenia nie udało nam się wyjaśnić. Natomiast ty, gdy znaleźli się tharkijscy wojownicy, byłeś nagi. Fakt, iż nie miałeś na sobie żadnych ozdób świadczy, że nie pochodzisz z Barsoomu, natomiast brak ubioru może zaprzeczyć twemu ziemskiemu pochodzeniu.

Opowiedziałem jej szczegóły mojego rozstania z Ziemią, wyjaśniając, że moje ciało zostało tam, ubrane w dziwny dla niej, lecz kompletny strój mieszkańca Ziemi. W tym momencie wróciła Sola, niosąc wszystkie nasze rzeczy oraz prowadząc młodego wychowanka, który musiał oczywiście mieszkać razem z nimi.

Sola spytała nas czy mieliśmy gością podczas jej nieobecności i bardzo się zdziwiła, gdy odpowiedzieliśmy, że nie. Wracając spotkała na schodach schodzącą Sarkoje, która w takim razie musiała nas podsłuchiwać. Ponieważ jednak nie mówiliśmy o niczym, co chcielibyśmy ukryć, potraktowaliśmy ten wypadek obojętnie, obiecując sobie zachowywać większą ostrożność w przyszłości.

Potem Dejah Thoris i ja poszliśmy przyjrzeć się bliżej architekturze i dekoracjom ścian budynku, który zajmowaliśmy. Powiedziała mi, że największą potęgę przedstawiona na freskach rasa osiągnęła przypuszczalnie około stu tysięcy lat temu. Byli to jej dalecy przodkowie. Później wymieszali się z rasą, mającą zupełnie czarny kolor skóry oraz z trzecią, żółtoczerwoną. Ich rozkwit nastąpił mniej więcej w tym samym okresie. Te trzy rasy zawarły potężny sojusz, gdy wysychanie mórz zmusiło je do poszukiwania stosunkowo nielicznych i ciągle zmniejszających się terenów uprawnych, gdzie musieli się bronić przed dzikimi hordami zielonych ludzi.

Wieki wspólnego życia i mieszanych małżeństw zaowocowały powstaniem rasy czerwonych ludzi, do której należała Dejah Thoris. Wiele osiągnięć starożytnych cywilizacji, wiele budowli i dzieł sztuki uległo zniszczeniu w ciągu długich wieków wyrzeczeń i nieustannych wojen z zielonymi ludźmi. Jednak czerwona rasa osiągnęła taki stopień rozwoju, który pozwolił na dokonanie nowych odkryć i zbudowanie cywilizacji bardziej praktycznej, lepiej dostosowanej do obecnych warunków Marsa.

Starożytni Marsjanie posiadali bardzo wysoko rozwiniętą kulturę, jednak w wyniku trwającego całe stulecia zamętu, spowodowanego przystosowywaniem się do nowych warunków życia, nie tylko zatrzymali się w rozwoju, ale również zaprzepaścili ogromną część swego kulturowego dziedzictwa.

Dejah Thoris opowiedziała mi mnóstwo legend i faktów, dotyczących tych szlachetnych i dobrych ludzi. Powiedziała, że miasto, w którym teraz obozujemy było prawdopodobnie handlowym i kulturalnym centrum, znanym jako Korad. Zostało zbudowane nad piękną zatoką, naturalnym portem, oddzielonym od morza łańcuchem wzgórz. Objęła mnie, że dolina, która biegnie na zachód od miasta, to pozostałość morskiej zatoki, a przejście przez wzgórza ku wyschniętemu morzu było kanałem, przez który wpływały statki.

Brzegi dawnych mórz były usiane takimi miastami, a posuwając się w stronę dawnych oceanów można znaleźć mniejsze i rzadziej położone osady, gdyż ludzie przenieśli się w ślad za cofającymi się wodami. Wreszcie konieczność zmusiła ich do wybudowania czegoś, co ich uratowało, to znaczy tak zwanych marsjańskich kanałów.

Byliśmy tak zajęci badaniem gmachu i zatopieni w rozmowie, że nie zauważyliśmy, że zbliża się już noc. Do rzeczywistości przywołał nas posłaniec Lorquas Ptomela z poleceniem, abym jak najprędzej stawiał się przed jego obliczem. Powiedziawszy Soli i Dejah Thoris dobranoc i zostawiwszy Woola na straży, poszedłem do sali audiencyjnej. Zostałem w niej Lorquas Ptomela i Tars Tarkasa, siedzących na stopniach podwyższenia.

Potężny więzień

Wszedłem i pozdrowiłem obu wodzów, a Lorquas Ptomel dał mi znak, abym się zbliżył. Potem wbił we mnie wzrok i powiedział:

- Przebywasz z nami zaledwie kilka dni, ale już zdążyłeś, dzięki waleczności, zdobyć wśród nas wysoką pozycję. Mimo to nie jesteś jednym z nas i nie masz obowiązku być nam posłuszny. Znajdujesz się w bardzo szczególnej sytuacji. Jesteś więźniem, a możesz wydawać rozkazy, które muszą być spełniane. Jesteś obcy, a jednak jesteś tharkijskim dowódcą. Masz bardzo mizerną postać, a możesz zabić silnego wojownika jednym uderzeniem pięści. Teraz doniesiono nam, że układasz plany ucieczki z więźniem, który należy do innej niż ty rasy, z więźniem, który, według jego własnych słów, niemal wierzy, że wróciłeś z doliny Dor. Każde z tych oskarżeń jest wystarczającą podstawą, aby cię zabić. Jesteśmy jednak sprawiedliwym narodem i po naszym powrocie do Tharku staniesz przed sądem, jeżeli Tal Hajus będzie sobie tego życzył. – Jednak - ciągnął dalej gardłowym głosem - jeżeli uda ci się uciec z tą czerwoną dziewczyną ja poniosę za to odpowiedzialność. Będę musiał walczyć z Tars Tarkasem i albo udowodnię, że mam prawo być wodzem, albo insygnia zostaną zdjęte z mojego martwego ciała i przekazane lepszemu wojownikowi. Taki jest zwyczaj wśród Tharków. Nie mam zatargów z Tars Tarkasem, razem rządzą najliczniejszym plemieniem wśród zielonych ludzi i nie chcemy ze sobą walczyć. Byłbym więc bardzo zadowolony widząc cię martwym, Johnie Carter. Bez rozkazu Tal Hajusa możemy cię zabić tylko w dwóch przypadkach: w samoobronie, gdybyś zaatakował kogoś z nas, albo przy próbie ucieczki. W imię prawdy muszę cię ostrzec, że z niecierpliwością czekamy na którąś z tych okazji, by pozbyć się ciężającej na nas odpowiedzialności. Bezpieczne dostarczenie czerwonej dziewczyny do Tal Hajusa jest sprawą ogromnej wagi. Od tysiąca lat Tharkowie nie wzięli do niewoli takiego jeńca. To wnuczka największego z czerwonych jeddaków, który jest jednocześnie naszym najbardziej zaciętym wrogiem. Uprzedziłem cię. Czerwona dziewczyna twierdzi, że jesteśmy pozbawieni prawdziwie ludzkich uczuć, ale mówimy zawsze prawdę i jesteśmy sprawiedliwi. Możesz odejść.

Odwróciłem się i wyszedłem z sali. Tak więc Sarkoja już zaczęła nas prześladować. Nikt inny nie mógł tak szybko podać Lorquas Ptomelowi takich informacji. Przypomniałem sobie teraz te fragmenty naszej rozmowy, w czasie których wspominaliśmy o ucieczce i o moim pochodzeniu.

Sarkoja była w tym czasie najstarszą i najbardziej zaufaną z kobiet Tars Tarkasa. Miała więc potężny wpływ na władcę, gdyż nikt nie cieszył się takim zaufaniem Lorquas Ptomela, jak Tars Tarkas.

Jednak audiencja miała na mnie wpływ odwrotny od zamierzonego – nie tylko nie zrezygnowałem z ucieczki, ale skoncentrowałem na obmyśleniu jej planu całą moją inteligencję i doświadczenie. Teraz, w stopniu znacznie większym niż przedtem, byłem przekonany o absolutnej konieczności ucieczki, gdyż wiedziałem, że w siedzibie Tal Hajusa Dejah Thoris na pewno nie spotka się z miłym przyjacielem. Sola opowiadała mi o ich władcy i sądząc z jej słów, był on prawdziwym potworem, uosobieniem zła, okrucieństwa, brutalności. Zimny, przebiegły, wyrachowany, był również, w odróżnieniu od większości swoich współplemieńców, niewolnikiem dzikich namiętności, żądy

rozmnazania się, która wraz z powolną śmiercią planety wygasła w piersiach Marsjan i już niemal całkowicie znikła.

Oblewałem się zimnym potem na myśl, że boska Dejah Thoris mogłaby wpaść w łapy takiego monstrum obarczonego atawistycznymi cechami. Lepiej zachować ostatnie kule dla siebie i strzelić sobie w pierś, tak jak te dzielne kobiety z pogranicznych terenów mojego dalekiego kraju, które wolą śmierć niż niewolę u indiańskich wojowników.

Gdy krążyłem po placu, zatopiony w ponurych rozmyślaniach, zauważyłem, że Tars Tarkas wychodzi z sali audiencyjnej i idzie ku mnie. Jego stosunek do mnie nie uległ zmianie i przywitał mnie z zachowaniem wszelkich form, jakbyśmy się nie widzieli od dłuższego czasu.

- Gdzie jest twoja kwatera, Johnie Carter? - spytał po chwili.

- Jeszcze nie wybrałem - odpowiedziałem. - Wydaje mi się, że byłoby najlepiej gdybym zamieszkał sam lub z innymi wojownikami. Czekałem właśnie odpowiedniej chwili, by cię zapytać o radę. Jak wiesz, - uśmiechnąłem się - nie znam jeszcze wszystkich waszych zwyczajów.

- Chodź ze mną - powiedział i poszliśmy przez plac ku budynkowi, który, jak z zadowoleniem zauważyłem, przylegał do zajmowanego przez Solę i jej podopiecznych.

- Mój pokój mieści się na parterze tego budynku - powiedział. - Pierwsze piętro jest również zajęte nocują tam inni wojownicy, ale wyższe są puste. Możesz wybrać któreś z nich. - Rozumiem - kontynuował - że oddałeś swoją kobietę czerwonej dziewczynie. Możesz robić co ci się podoba, wywalczyłeś sobie do tego prawo, ale jako dowódca powinieneś mieć kogoś, kto by ci usługiwał. Zgodnie z naszymi zwyczajami możesz wybrać jedną lub nawet wszystkie kobiety, należące przedtem do wojowników, których insygnia teraz nosisz. Podziękowałem mu i dodałem, że doskonale mogę się obejść bez posługaczki, potrzebny mi jest jedynie ktoś, kto by mi przygotowywał posiłki. Obiecał mi przysłać kobiety, które się tym zajmą, a także będą dbały o moją bron i wyrabiały amunicję, która, jak twierdził, może być mi wkrótce potrzebna. Dodałem, że mogłyby przynieść również cześć jedwabi i futer, które służyły zabitym przeze mnie wojownikom za posłanie, gdyż noce są zimne, a własnych nie posiadam.

Obiecał wydać odpowiednie polecenia i odszedł. Pozostawiony samemu sobie, poszedłem krętym korytarzem na wyższe piętra, by poszukać odpowiedniego pomieszczenia. Piękno innych budynków znajdowało odbicie również w tym i, jak zwykle, wkrótce pochłonięty byłem całkowicie odkrywaniem i badaniem nowych dzieł sztuki.

Wybrałem w końcu frontowy pokój na drugim piętrze, gdyż chciałem w ten sposób znaleźć się bliżej Dejah Thoris. Zajmowała ona pomieszczenia na pierwszym piętrze przyległego budynku i przyszło mi do głowy, że moglibyśmy ustalić jakiś sposób porozumiewania się na wypadek, gdyby potrzebowała mojej pomocy lub opieki.

Na piętrze, które zająłem, znajdowało się około dziesięciu pokoiów – łazienki, garderoby, sypialnie i salony. Okna wewnętrznych pomieszczeń wychodziły na ogromne podwórze, które stanowiło wnętrze czworoboku, utworzonego przez budynki, stojące przy czterech pobliskich ulicach. Podwórze to stanowiło teraz miejsce, w którym przebywały najróżniejsze zwierzęta, należące do zajmujących budynki wojowników. Porośnięte było żółtą, podobną do mchu rośliną, która pokrywała niemal całą powierzchnię tej planety. Jednak liczne fontanny, rzeźby, ławki i pergole dawały wyobrażenie o jego pięknie w tych zamierzchłych czasach, gdy przechadzali się po nim uśmiechnięci ludzie o lśniących włosach. Ludzie, których bezlitosne prawa natury wyгнаły nie tylko z ich domów, ale w ogóle zewsząd i po których pozostały tylko niejasne legendy, powtarzane przez ich dalekich potomków.

Moje rozmyślania zostały przerwane przez przyjście kilku młodych kobiet, obładowanych bronią,

jedwabiem, futrami, ozdobami, przyborami kuchennymi oraz beczułkami z jedzeniem i napojami. Lwia część tych rzeczy była łupem ze statku. Wszystko to, jak się zdaje, należało do obu dowódców, których zabiłem i teraz, zgodnie ze zwyczajem Tharków, przeszło na moją własność. Kobiety ułożyły przyniesione rzeczy w pokojach w głębi budynku, a potem wyszły po drugi ładunek, stanowiący resztę mego majątku. Wróciły w towarzystwie dziesięciu czy piętnastu innych kobiet i dzieci, które stanowiły świtę obu wojowników.

Nie były to ich rodziny, żony czy służba – ich wzajemny stosunek był dość szczególny i tak niepodobny do wszystkiego, do czego my przywykliśmy, że trudno mi go określić. Wśród zielonych Marsjan niemal wszystko jest własnością całej społeczności. Wyjątek stanowi broń, ozdoby oraz jedwab i futra, którymi Marsjanin nakrywa się w nocy – tylko te rzeczy może nazywać swoją prywatną własnością, jednak nie może ich zgromadzić więcej niż naprawdę potrzebuje do zaspokojenia bieżących potrzeb. Nadwyżki musi przekazywać w razie konieczności młodszemu wojownikom. Kobiety i dzieci, stanowiące orszak, można porównać do oddziału wojskowego. Wojownik jest całkowicie odpowiedzialny za wychowanie, dyscyplinę i zaspokojenie codziennych potrzeb tego oddziału, a także za jego bezpieczeństwo w czasie wędrówek i ciągłych starć z innymi plemionami oraz z czerwonymi Marsjanami. Kobiety nie mogą być w żadnym przypadku uważane za jego żony. Jezyk Marsjan nie ma w ogóle odpowiednika tego słowa. Ich kojarzenie się w pary ma na celu wyłącznie dobro całej społeczności i wszelkie naturalne skłonności nie mają tu nic do rzeczy. Rada starszych każdego plemienia kontroluje przebieg całego procesu tak dokładnie, jak właściciel stajni wyścigowej, naukowymi metodami dokonujący doboru odpowiednich koni w celu uzyskania jak najlepszego potomstwa.

W teorii może to brzmieć wcale nieźle, ale tak zwykle bywa z teoriami. Jednak rezultatem całych wieków tych nienaturalnych praktyk, których jedynym celem jest uzyskanie potomstwa, stało się powstanie plemienia zimnego i okrutnego, pędzącego życie pozbawione radości, miłości i spokoju. To prawda, że Marsjanie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, z wyjątkiem takich degeneratów jak Tal Hajus, są bezwzględnie cnotliwi, jednak o ileż lepsze i przyjemniejsze są ludzkie zwyczaje, nawet jeśli ich ceną jest czasem przypadkowa utrata niewinności.

Zdawałem sobie sprawę, że muszę, czy chce czy nie, wziąć na siebie odpowiedzialność za te kobiety i dzieci. Wobec nich, w ramach tej odpowiedzialności, poleciłem im poszukać sobie kwatery na wyższych piętrach, a drugie zostawić w całości dla mnie. Jedną z dziewcząt obarczyłem obowiązkiem przygotowywania pożywienia dla mnie, reszcie zaś kazałem pozostać przy dotychczasowych obowiązkach.

Odtąd rzadko je widywałem, ale też nie bardzo mi na tym zależało.

Miłość na Marsie

Przez kilka następnych dni po walce z powietrznym statkiem całe plemię pozostawało w mieście, rezygnując z wymarszu w stronę swoich siedzib do czasu upewnienia się, że statki nie powrócą. Nawet dla tak wojowniczego narodu, jak zieloni Marsjanie perspektywa walki w otwartym polu, przy ciężającej na barkach odpowiedzialności za całą kawalkadę wozów z kobietami i dziećmi, była niezbyt ponętna. Podczas tego okresu względnej bezczynności Tars Tarkas wprowadził mnie w wiele zwyczajów zielonych Marsjan, przekazał mi dużo wiadomości na temat sztuki wojennej Tharków, a także uczył mnie posługiwania się tymi wielkimi bestiami, które służyły im za wierzchowce. Te zwierzęta, thoaty, są równie niebezpieczne i złośliwe, jak ich panowie, ale po poskromieniu są dla zielonych Marsjan bardzo użyteczne.

Dwa thoaty przeszły na moją własność wraz z resztą dóbr wojowników, których insygnia teraz nosiłem. W krótkim czasie nauczyłem się na nich jeździć równie sprawnie jak tubylcy. Metoda kierowania nimi była bardzo prosta. Jeżeli zwierze nie chciało słuchać dostatecznie gorliwie rozkazów telepatycznych, jeździec walił je z całej siły ręką między uszy, a jeśli i to nie dawało wyników, bił tak długo, aż zwierze usłuchało lub zrzuciło go na ziemię.

W tym drugim przypadku dochodziło zwykle do walki na śmierć i życie między wojownikiem a thoatem. Jeśli Marsjanin potrafił dostatecznie szybko posługiwać się pistoletem miał szansę uratować życie i jeździć znowu, jakkolwiek już na innym zwierzęciu. Jeśli nie – jego poszarpane na strzępy i wdeptane w ziemię ciało było zbierane przez kobiety i palone, zgodnie z tharkijskim zwyczajem.

Doświadczenia z psem skłoniły mnie do podjęcia próby nawiązania kontaktu z thoatami dobrocią i łagodnym traktowaniem. Po pierwsze przekonałem je, że nie zdołają wysadzić mnie z siodła i nawet tłukłem je pistoletem między uszy, aby wyjaśnić raz na zawsze, kto tu jest panem. Później, stopniowo zdobyłem ich zaufanie w ten sam mniej więcej sposób, w jaki zdobywałem sobie zaufanie niezliczonych wierzchowców, których używałem na Ziemi. Zapanowała między nami harmonia i wzajemne zrozumienie, gdyż zawsze, po okresie pierwszych nieporozumień, starałem się traktować zwierzęta łagodnie, a gdyby zaszła taka potrzeba, wolałbym zabrać życie człowiekowi niż zabić biedne, pozbawione rozumu stworzenie.

Po kilku dniach moje thoaty zadziwiały swoim zachowaniem całe plemię. Chodziły za mną jak psy, okazując przywiązanie pocieraniem długich ogonów o moje ciało. Reagowały na każde moje polecenie z taką gotowością i zapałem, że Marsjanie zaczęli mi przypisywać posiadanie jakichś tajemnych sił, przyniesionych z Ziemi, a nieznanym na Marsie.

- Czy rzuciłeś na nie jakiś urok? - spytał mnie Tars Tarkas pewnego dnia, gdy zauważył, że wkładam rękę głęboko w paszczę jednego z thoatów, któremu w czasie, gdy się pasł porastającym dziedziniec mchem, utkwilił między zębami okazałej wielkości kamień.

- Tak, dobroć - odpowiedziałem. - Jak widzisz łagodniejsze uczucia przydają się nawet wojownikowi. Teraz wiem, że moje thoaty będą mi posłuszne zarówno w ogniu walki, jak i w czasie przemarszu i ta świadomość zwiększa moją sprawność bojową. Jestem łagodnym panem i dlatego jestem lepszym wojownikiem. Inni wojownicy również powinni zastosować, w swoim własnym

interesie, moją metodę postępowania. Będzie to z korzyścią zarówno dla nich, jak i dla całego plemienia. Sam mi mówiłeś zaledwie kilka dni temu, że te wielkie bestie przez kapryśność charakteru często zmieniają zwycięstwo w klęskę, zrzucając i rozszarpując wojowników.

- Powiedz mi więc, w jaki sposób osiągnąłeś takie rezultaty - poprosił.

Wy tłumaczyłem mu najdokładniej, jak to było możliwe metodę tresury, jaką zastosowałem wobec moich zwierząt, a później musiałem to jeszcze raz powtórzyć Lorquas Ptomelowi i zgromadzonym wojownikom. Ta chwila oznaczała początek nowego życia dla biednych thotów. Zanim opuściłem plemię Lorquas Ptomela z satysfakcją obserwowałem wynik moich starań - łagodne i nadzwyczaj posłuszne wierzchowce. Ich karność i precyzja w wykonywaniu rozkazów robiły takie wrażenie, że Lorquas Ptomel, w dowód uznania moich zasług dla plemienia, podarował mi masywny, szczerozłoty nagolennik, który zdjął z własnej nogi.

Siódmego dnia po walce ze statkiem Lorquas Ptomel uznał, że niebezpieczeństwo minęło i wyruszyliśmy w drogę do Tharku.

W dni poprzedzające nasz wyjazd rzadko widywałem Dejah Thoris, gdyż byłem zajęty naukami, udzielanymi mi przez Tars Tarkasa oraz wychowywaniem moich thotów. Kilka razy odwiedziłem jej kwaterę i nie zastałem jej, gdyż spacerowała z Solą po ulicach lub zwiedzała budynki, leżące w pobliżu placu. Ostrzegłem je, aby nie oddalały się zbyt daleko, gdyż obawiałem się, że mogłyby się natknąć na wielkie, białe małpy, których okrucieństwo poznałem aż zbyt dobrze. Jednak moje obawy tylko w niewielkim stopniu były usprawiedliwione, gdyż zawsze towarzyszył im Woola, a Sola była bardzo dobrze uzbrojona.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem zauważyłem je, idące wielką aleją, prowadzącą w stronę placu. Wyszedłem im na spotkanie i, powiedziawszy, że biorę na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo Dejah Thoris, odesłałem Solę pod jakimś błahym pretekstem do domu. Lubiłem Solę i miałem do niej zaufanie, ale wolałem zostać sam z Dejah Thoris, która nie tylko była wspaniałą towarzyszką, ale również kojarzyła mi się z tym wszystkim, co zostawiłem na Ziemi. Łączyły nas tak silne więzy wzajemnego zainteresowania, jakbyśmy urodzili się pod tym samym dachem, a nie na różnych planetach, odległych od siebie o czterdzieści osiem milionów mil.

Wiedziałem, że ona odwzajemnia moje uczucia. Gdy zauważyła, że się zbliżam otrząsnęła się z przygnębienia i na jej twarzy zagościła szczerą radość. Przywitała mnie tak, jak się witają czerwoni Marsjanie –położeniem prawej dłoni na lewym ramieniu.

- Sarkoja powiedziała Soli, że stałeś się prawdziwym Tharkiem - powiedziała -i że nie będę cię teraz widywać częściej niż innych wojowników.

- Sarkoja kłamie - odpowiedziałem.

Dejah Thoris uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że nawet gdybyś stał się prawdziwym członkiem ich plemienia, nie przestałbyś być moim przyjacielem. Na Barsoomie mówimy: „Wojownik może zmienić swoje insygnia, ale nie serce”.

Wydaje mi się, że usiłowali nie dopuścić do naszego spotkania - kontynuowała - gdyż ilekroć miałeś wolny czas zawsze któraś ze starszych kobiet z orszaku Tars Tarkasa znalazła pretekst, aby zaprowadzić Solę i mnie gdzieś, gdzie nie mogłeś nas spotkać. Często zatrudniały mnie w podziemiach tego budynku przy mieszaniu tego ich ohydneho prochu z radium lub przy wyrabianiu pocisków. Wiesz, że one muszą być wytwarzane w sztucznym świetle, gdyż wystawienie ich na promienie słoneczne zawsze powoduje wybuch. Czy zauważyłeś, że ich pociski eksplodują po uderzeniu w cel? Zewnętrzna, nieprzezroczysta powłoka łamie się przy uderzeniu, odsłaniając bardzo mocny szklany cylinder, w którego przedniej części umieszczony jest proch z radium. W chwili gdy

docierają do niego promienie słoneczne, nawet rozproszone, wybuchają z siłą, której nie może oprzeć. Jeśli będziesz kiedyś świadkiem walki toczonych w nocy, zauważysz, że wybuchy nie następują. Natomiast następny ranek będzie wypełniony detonacjami wystrzelonych w nocy pocisków, na które padło światło słoneczne. Jednak, z reguły, po zmierzchu używa się pocisków, które nie są wybuchowe.

Jakkolwiek bardzo zainteresowały mnie uzupełnienia, które wносиła Dejah Thoris do mojej wiedzy na temat sztuki wojennej Marsjan, jednak znacznie bardziej zajmowało mnie w tej chwili to, w jaki sposób ona jest traktowana. To, że starali się trzymać ją z daleka ode mnie nie było niespodzianką, ale zdenerwowała mnie bardzo wiadomość o tym, że zmuszają ją do ciężkiej i niebezpiecznej pracy.

- Czy poniżali cię lub traktowali okrutnie? - spytałem, czując jak gorąca krew przodków tętni mi w żyłach.

- Nie, właściwie nie - odpowiedziała. - Starają się jedynie zranić moją dumę. Wiedzą, że pochodzę z rodu jeddaków, liczącego tysiące pokoleń, że mogę prześledzić historie moich przodków aż do budowniczego pierwszego wielkiego kanału i zżera ich zazdrość, ich, którzy nie znają nawet własnej matki. W głębi duszy nienawidzą swego strasznego losu i wylewają niechęć na mnie, symbolizującej wszystko, czego im brak, za czym tęsknią, wiedząc, że jest to dla nich nieosiągalne. Litujmy się nad nimi, mój dowódco, gdyż, gdybyśmy nawet mieli zginać z ich rąk, możemy sobie pozwolić na litość, ponieważ stoimy od nich wyżej i oni o tym wiedzą.

Gdybym wiedział, co oznaczają słowa „mój dowódco” wypowiedziane przez czerwoną kobietę, do mężczyzny, spotkałaby mnie największa w życiu niespodzianka, ale nie wiedziałem ani wtedy, ani jeszcze przez kilka następnych miesięcy. Tak, wiele jeszcze musiałem się nauczyć na Barsoomie.

- Sądzę, że dowodem naszej mądrości będzie, jeśli przyjmiemy nasz los z godnością, Dejah Thoris. Jednak mimo to mam nadzieję, że będę obecny przy tym, gdy następny raz jakiś Marsjanin, wszystko jedno zielony, czerwony, różowy czy fioletowy, ośmieli się choćby na ciebie skrzywić, moja księżniczko.

Usłyszawszy moje ostatnie słowa Dejah Thoris wstrzymała oddech i spojrzała na mnie szeroko rozwartymi oczyma, a potem z dziwnym uśmiechem, przy którym w kącikach jej ust pojawiły się dołeczki, potrząsnęła głową i krzyknęła:

- Co za dziecko! Wielki wojownik, a jednak potykające się, małe dziecko

- Co takiego zrobiłem? - spytałem z pewnym zakłopotaniem.

- Jeżeli uda nam się przeżyć, dowiesz się pewnego dnia, Johnie Carter, ale ja ci tego nie powiem. No proszę, słucham tego bez gniewu, ja, córka Mors Kajaka, syna Tardos Morsa - powiedziała na koniec do siebie.

Wpadła w wesoły radosny nastrój i zaczęła sobie żartować z mojej godności wojownika Tharków, która jej zdaniem była sprzeczna z łagodnością mego charakteru i naturalną uprzejmością

- Przypuszczam, że gdybyś przypadkiem musiał zranić wroga, zabrałbyś go do domu i pielęgnował, aż wróciłby do zdrowia - śmiała się.

- Właśnie w ten sposób postępujemy na Ziemi - odpowiedziałem. - W każdym razie robią tak ludzie cywilizowani.

Znowu wybuchnęła śmiechem. Nie mogłem tego zrozumieć, gdyż, przy całej swej kobiecej łagodności i wdzięku, była jednak Marsjanką, a dla mieszkańca Marsa jedyny dobry wróg to martwy wróg. Każdy zabity nieprzyjaciel oznaczał, że zostaje więcej do podziału dla tych, którzy żyją.

Byłem bardzo ciekawy co takiego w moich słowach chwilę wcześniej tak ją zbulwersowało i rozśmieszyło i nalegałem, aby mi to wyjaśniła.

- Nie - powiedziała - wystarczy, że tak powiedziałeś i że ja to słyszałam. A gdy już wreszcie się dowiesz, Johnie Carter, a ja nie będę żyła, co najprawdopodobniej nastąpi, zanim księżyc dwanaście razy okrąży Barsoom, pamiętaj, że słuchałam tego i śmiałam się.

Wszystko to było dla mnie zupełnie niezrozumiałe, ale im mocniej nalegałem, tym bardziej stanowcze były jej odmowy. W końcu, widząc, że nic nie uzyskam, dałem za wygraną.

Dzień ustąpił już nocy. Spacerowaliśmy szeroką aleją, oświetloną dwoma księżycami, a Ziemia spoglądała na nas swoim błyszczącym, zielonym okiem. Miałem wrażenie, że jesteśmy sami we wszechświecie i było to bardzo przyjemne uczucie.

Chłód marsjańskiej nocy dawał się jednak we znaki, zdjąłem więc jedwabny płaszcz i zarzuciłem go na ramiona Dejah Thoris. Dotknąłem jej przy tym dłonią i poczułem przenikający wszystkie komórki mego ciała dreszcz, tak silny, jakiego jeszcze nigdy nie doznałem. Wydało mi się że skłoniła się lekko ku mnie, ale nie byłem tego pewien. Wiem jedynie, że gdy moja dłoń pozostała na jej ramieniu nieco dłużej niż tego wymagało narzucenie płaszcza, nie odsunęła się, ani nie zareagowała w inny sposób. I tak, w milczeniu, spacerowaliśmy po powierzchni umierającego świata, a w piersiach przynajmniej jednego z nas rodziło się uczucie najstarsze ze wszystkich, chociaż ciągle nowe.

Kochałem Dejah Thoris. To, co czułem dotykając jej ramienia powiedziało mi o tym nieomylnie. Zrozumiałem teraz, że kochałem ją od początku, od momentu gdy nasze oczy spotkały się po raz pierwszy na placu w umarłym mieście Korad.

Śmiertelny pojedynek

Moim pierwszym odruchem była chęć powiedzenia jej o tym, lecz później pomyślałem o beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znajduje, a ja byłem jedyną osobą, która mogła podtrzymywać ją na duchu i zmniejszyć nieco ciężar niewoli, a także służyć obroną w obliczu tysięcy wrogów, którzy ją otoczą po naszym przybyciu do Thark. Nie mogłem narażać jej na dodatkowy ból i przysparzać jeszcze jednego powodu do smutku, wyznając miłość, której prawdopodobnie nie odwzajemniała. Jej sytuacja stałaby się jeszcze bardziej przykra, niż w tej chwili, a przypuszczenie, że mogłaby pomyśleć, iż staram się wykorzystać sytuację, aby zdobyć jej przychyłność, zamknęło mi usta na dobre.

- Dlaczego nic nie mówisz, Dejah Thoris? - spytałem. - Chcesz już może wracać do swojej kwatery?

- Nie – powiedziała. - jestem tutaj szczęśliwa. Nie wiem dlaczego, ale zawsze czuję się. szczęśliwa i zadowolona, gdy ty, obcy człowiek, jesteś ze mną. Wydaje mi się w takich chwilach, że jestem bezpieczna i że wkrótce wrócę, wraz z tobą, na dwór mego ojca, że poczuję objęcie jego silnych ramion i pocałunki mojej matki.

- Czy ludzie na Barsoomie całują? - spytałem, gdy na moją prośbę, wyjaśniła mi znaczenie tego, dotychczas nieznanego mi słowa.

- Tak, rodzice, brat, siostra - odpowiedziała, a potem dodała cichym głosem - i kochankowie.

- A ty, Dejah Thoris, masz rodziców, braci i siostry?

- Tak.

- A... kochanka?

Umilkła, a ja na próżno powtórzyłem pytanie.

- Mężczyzna na Barsoomie - powiedziała w końcu - nie zadaje kobietom osobistych pytań, tylko matce i tej, o którą walczył i zwyciężył.

- Ale ja walczyłem... - zacząłem i ugryzłem się w język, żalując, że mi go ktoś przedtem nie wyrwał. Nie odezwawszy się ani słowem zdjęła z ramion mój płaszcz, oddała mi go i odeszła z dumnie uniesioną głową w stronę placu i swojej kwatery.

Nie próbowałem za nią pójść, patrzyłem jedynie, by się. upewnić czy dotrze bezpiecznie do drzwi swego budynku. Kazałem psu dotrzymać jej towarzystwa, a sam wróciłem do mojej kwatery. Siedziałem potem długie godziny na posłaniu, bardzo przygnębiony i rozmyślałem o dziwnych kapryśkach losu, który zdaje się igrać z nami, biednymi, zagubionymi istotami.

A więc to jest miłość! Udało mi się jej uniknąć przez tyle lat włóczędzy po pięciu kontynentach i otaczających je morzach. Uniknąłem jej, mimo iż poznałem tyle pięknych kobiet i byłem w tylu sprzyjających sytuacjach, mimo iż chciałem ją znaleźć i ciągle poszukiwałem mego ideału. A teraz zakochałem się po uszy w istocie z innego świata, w kimś, kto jest być może do mnie podobny, ale przecież nie identyczny. Szalałem za kobietą, która wylęgła się z jaja, która prawdopodobnie żyje tysiąc lat, której naród posiada dziwne zwyczaje i idee. Zakochałem się w kobiecie, której nadzieje, przyjemności i rozumienie złego i dobrego mogą się tak różnić od moich, jak moje różnią się od tych,

które mają zieloni Marsjanie.

Tak, byłem głupcem, ale byłem zakochany i chociaż cierpiałem bardziej niż kiedykolwiek, nie oddałbym tego cierpienia za wszystkie skarby Barsoomu. Taka jest miłość i tacy są zakochani zawsze i wszędzie.

Dejah Thoris była dla mnie wszystkim, co piękne, szlachetne, dobre, doskonałe. Wierzyłem w to z całego serca, z głębi duszy, zarówno owej nocy, gdy siedziałem na stertach jedwabiu w opuszczonym mieście Korad, a bliższy księżyc Barsoomu wędrował po niebie na zachód, zniżając się ku horyzontowi i rzucając blade światło na stare jak świat mozaiki ze złota, marmuru i drogich kamieni w moim pokoju, jak wierze i teraz, siedząc przy biurku w małym gabinecie, którego okna wychodzą na rzekę Hudson.

Od tej chwili upłynęło już dwadzieścia lat – pierwsze dziesięć żyłem i walczyłem dla Dejah Thoris i jej narodu, a następne - to życie wspomnieniami.

Ranek w dniu naszego odjazdu do Tharku był jasny i gorący, jak wszystkie poranki na Marsie, z wyjątkiem sześciu tygodni, podczas których topnieje lód na biegunach.

Odszukałem Dejah Thoris w tłoku odjeżdżających wozów, ale ona odwróciła się bokiem, nie odzywając się do mnie ani stawem. Zauważyłem, że jej twarz oblała się silnym rumieńcem. Mogłem powiedzieć, że o obraziłem ją nieświadomie, że nie zdawałem sobie sprawy z wagi tego, co mówię, jednak ja również milczałem, z typowym dla miłości brakiem logiki. A być może udałoby mi się wtedy osiągnąć chociaż zawieszenie broni jakąś połowiczną ugodę.

Ponieważ czułem się w obowiązku dbać o jej wygodę spojrzałem do wnętrza wozu i poprawiłem jedwabie i futra, na których siedziała. Zauważyłem przy tym z przerażeniem, że jedna z jej nóg jest przykuta ciężkim łańcuchem do boku wozu.

- Co to znaczy? - krzyknąłem, zwracając się do Soli.

- Sarkoja uważa, że tak jest najlepiej - odpowiedziała z wyrazem twarzy, który świadczył, że jej to wcale się nie podoba.

Przyjrzałem się łańcuchowi i zobaczyłem, że jest zamknięty na potężny sprężynowy zamek.

- Gdzie jest klucz? Daj mi go.

- Sarkoja go zabrała - odpowiedziała Sola.

Nie tracąc czasu odszukałem Tars Tarkasa. Zaprotestowałem gwałtownie przeciwko okrucieństwu, z jakim jest traktowana Dejah Thoris, które, w miarę, jak o nim mówiłem, przybierało w moich zakochanych oczach coraz większe rozmiary.

- Johnie Carter - odpowiedział - jeżeli kiedykolwiek ty i Dejah Thoris zdecydujecie się na ucieczkę, zrobicie to podczas tej podróży. Wiemy, że ty sam, bez niej, nie odejdziesz. Pokazałeś, że jesteś znakomitym wojownikiem i nie chcemy nakładać ci kajdanów, więc postanowiliśmy zatrzymać was oboje w prostszy, ale również zapewniający bezpieczeństwo sposób. Skończyłem.

Widziałem, że jest przekonany o słuszności takiego postępowania i że daremne byłyby próby skłonienia go do zmiany decyzji. Zażądałem jednak, by odebrał klucz Sarkoji i zakazał jej zbliżać się w przyszłości do Dejah Thoris.

- Powinieneś zrobić dla mnie chociaż tyle, Tars Tarkasie, w zamian za uczucie przyjaźni, jakie ku tobie czuję.

- Przyjaźń? - powtórzył. - Nic takiego nie istnieje, Johnie Carter. Jednak zrobię to, o co mnie prosisz. Rozkażę Sarkoji, aby przestała niepokoić dziewczynie i osobiście zaopiekuje się kluczem.

- A może byś obarczył mnie tą odpowiedzialnością? - powiedziałem z uśmiechem.

Patrzył na mnie długo i uważnie.

- Gdybyś dał mi słowo, że ani ty, ani Dejah Thoris nie będziecie próbowali ucieczki do czasu, aż

dotrzemy do dworu Tal Hajusa, mógłbyś wziąć klucz i wrzucić krepujący dziewczynę łańcuch do rzeki Iss.

- Chyba lepiej będzie, jeśli zatrzymasz klucz, Tars Tarkasie - odpowiedziałem.

Uśmiechnął się i nie powiedział nic więcej, ale tej nocy, w czasie postoju, zauważyłem, że podszedł do Dejah Thoris i zdjął skuwający ją łańcuch.

W jego charakterze pod płaszczykiem okrucieństwa i obojętności było coś, co starał się ukryć, może nawet walczyć. Możliwe, że były to jakieś pozostałości, lepszych instynktów które, wracając niby widma przeszłości, ukazywały mu w jak straszny sposób żyje i postępuje jego rasa.

Gdy zbliżałem się do pojazdu Dejah Thoris, minąłem Sarkoje, a pełne jadu spojrzenie, którym mnie obrzuciła było najpiękniejszym podarunkiem, jaki otrzymałem od wielu dni. Jak ona mnie nienawidziła! Ta nienawiść była tak wyraźna i namacalna, że niemal można było ją ciąć mieczem.

Kilka minut później zauważyłem, że Sarkoja rozmawia z wojownikiem o imieniu Zad, ogromną, ociężałą i niesłuchanie silną bestią. Był on jednym z tych, którzy jeszcze nie zabili żadnego ze swych dowódców i byli ciągle „o mad”, czyli wojownikami o jednym imieniu. Drugie imię mogliby zdobyć wraz z ozdobami, zdjętymi z martwego ciała dowódcy. Temu właśnie zwyczajowi zawdzięczałem swoje imiona – niektórzy zwracali się do mnie per Dotar Sojat, co było kombinacją pierwszych imion dowódców, których insygnia nosiłem.

Zad spoglądał na mnie od czasu do czasu, zaś Sarkoja wyraźnie starała się go nakłonić do jakiegoś działania. Nie zwróciłem na to szczególnej uwagi, ale następnego dnia miałem poważny powód, aby przypomnieć sobie te rozmowę, a jednocześnie uświadomić sobie z pełną jasnością jak straszną nienawiścią Sarkoja do mnie pałała i do jakich czynów gotowa była się uciec, aby wyrzucić na mnie zemstę.

Dejah Thoris i tego wieczoru nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi i chociaż kilkakrotnie zwróciłem się do niej, wymawiając jej imię, nie tylko nie odpowiedziała, ale nawet drgnieniem powieki nie dała do zrozumienia, że zauważa moje istnienie. Zrozpaczony zrobiłem to, co na moim miejscu zrobiłaby większość zakochanych – postanowiłem wybać zaufaną osobę mojej wybranki. W tym wypadku była to Sola, którą odnalazłem w innej części obozu.

- Co się dzieje z Dejah Thoris? - zapytałem gwałtownie. - Dlaczego nie chce ze mną rozmawiać?

Sola zdziwiła się, gdyż tak dziwne zachowanie dwojga ludzi było dla niej zupełnie niezrozumiałe. Ale przecież nie mogła tego rozumieć.

- Mówi, że ją rozgniewałeś. Nic więcej na ten temat nie chce powiedzieć, z wyjątkiem tego, że jest córką jeda i wnuczką jeddaka, a została upokorzona przez osobnika, który nie byłby godny czyścić zębów sorakowi jej babki.

Zastanawiałem się przez chwile nad tą odpowiedzią, w końcu spytałem:

- A co to jest sorak?

- Małe zwierzątko wielkości mojej dłoni, które czerwoni Marsjanie trzymają dla zabawy - wyjaśniła.

A więc nie nadawałem się nawet do czyszczenia zębów kotu jej babki! Dejah Thoris musi mieć o mnie bardzo niskie wyobrażenie. Jednak nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, słysząc takie stwierdzenie – dziwne, a jednocześnie tak znajome, tak ziemskie. Nagle odezwała się we mnie tłumiona dotychczas tęsknota za domem, gdyż to stwierdzenie zbyt przypominało nasze „nie jest godny, by czyścić jej buty”.

Zacząłem myśleć o czymś zupełnie innym niż przed chwilą. Zastanawiałem się co porabiają moi bliscy na Ziemi. Nie widziałem ich już całe lata. Była w Wirginii rodzina Carterów, która twierdziła, że jestem ich bliskim krewnym – jakimś stryjecznym dziadkiem, czy coś takiego. Mogłem wszędzie

uchodzić za mężczyznę dwudziestopięcio- lub trzydziestoletniego i fakt, że jestem czyimś dziadkiem, choćby stryjecznym, wydawał mi się bezsensowny, tym bardziej że często czułem się i zachowywałem jak chłopiec. W tej rodzinie było dwoje małych dzieci, które bardzo kochałem, a one uważały, że nie ma na Ziemi nikogo równie wspaniałego jak ich wujek Jack. Ich twarzyczki stały mi przed oczyma i, podnosząc głowę ku oblanemu blaskiem księżyca niebu Barsoomu, zatęskniłem za nimi tak, jak jeszcze za nikim dotychczas. Moja natura włóczęgi gnała mnie zawsze z miejsca na miejsce i właściwie nie wiedziałem, co naprawdę, oznacza pojęcie „dom rodzinny”. Kojarzyło mi się ono zawsze z salonem w domu Carterów. Teraz moje serce wyrывało się ku temu salonowi, żądało abym uciekł stąd, od tych zimnych i nieprzyjaznych ludzi, pośród których zostałem rzucony dziwnym zrzędzeniem losu. Gdyby chociaż Dejah Thoris była dla mnie życzliwa! Ale dla niej byłem tylko istotą niższego rzędu, kimś, kto nie jest godny czyście zębów kotu jej babki. Na szczęście znów odezwało się we mnie poczucie humoru, chichocząc pod nosem otuliłem się w jedwab i futra i zasnąłem tam, gdzie się znajdowałem, na polu zalanym blaskiem obcego mi księżyca.

Następnego dnia zwinęliśmy obóz bardzo wcześnie i maszerowaliśmy niemal do zapadnięcia nocy, raz tylko zatrzymując się na postój. Jednostajność tego marszu została urozmaicona dwoma zdarzeniami. Około południa zauważyliśmy daleko z prawej strony coś, co wydawało się być inkubatorem. Lorquas Ptomel rozkazał to sprawdzić. Tars Tarkas wziął dwunastu wojowników, a mnie między nimi, i pogalopowaliśmy po miękkim dywanie mchu w stronę budowli.

To rzeczywiście był inkubator, ale leżące w nim jaja miały znacznie mniejsze rozmiary od tych, które widziałem tuż po przybyciu na Marsa.

Tars Tarkas zeskoczył z wierzchowca i obejrzał wszystko dokładnie, a potem stwierdził, że inkubator należy do zielonych ludzi z Warhoonu i że cement, którym został uszczelniony, nie zdążył jeszcze wyschnąć.

- Wyprzedzają nas najwyżej o dzień marszu - powiedział i jego okrutna twarz zapłonęła żądzą walki.

Wojownicy bardzo szybko uporali się z inkubatorem. Rozkruszyli wejście i kilku z nich, wśliznąwszy się do środka, krótkimi mieczami zniszczyło jego zawartość. Potem pojechaliśmy z powrotem w ślad za karawaną. Podczas jazdy spytałem Tars Tarkasa czy ci Warhoonianie, których jaja właśnie zniszczyliśmy, są mniejsi niż ludzie z Tharku.

- Zauważyłem, że ich jaja są znacznie mniejsze od tych, które widziałem w waszym inkubatorze - dodałem.

Wyjaśnił mi, że jaja ludzi z Warhoonu zostały dopiero złożone i przez pięcioletni okres przebywania w inkubatorze będą rosły, aż tuż przed porą wylęgu osiągną takie rozmiary jak jaja, które widziałem w dniu mego pisybycia na Barsoom. Ta informacja wyjaśniła mi, w jaki sposób kobietom zielonych Marsjan udaje się znosić jaja tak ogromne, że wylęga się z nich czterostopowej wysokości potomstwo. W rzeczywistości, jak się okazało, świeżo zniesione jajo jest niewiele większe niż jajo zwykłej gęsi, a ponieważ nie zaczyna rosnąć, zanim nie zostanie poddane działaniu promieni słonecznych, więc dowódcy nie mają żadnych trudności w przenoszeniu ich setkami z podziemnych przechowalni do inkubatorów.

Krótko po tym wydarzeniu zatrzymaliśmy się, aby dać nieco odpocząć zwierzętom. Podczas tego postoju zdarzył się drugi incydent. Byłem właśnie zajęty przenoszeniem upręży z jednego z moich thoatów na drugiego, gdy podszedł Zad i bez jednego słowa uderzył z całej siły moje zwierze mieczem.

Nie musiałem zaglądać do podręcznika marsjańskiej etykiety, aby wiedzieć, jak zareagować. Byłem tak wściekły, że z trudem powstrzymałem się przed wyciągnięciem pistoletu i

natychmiastowym zastrzeleniem go, ponieważ jednak on czekał tylko z mieczem w dłoni, więc nie pozostało mi nic innego, jak stanąć do walki z bronią, którą on wybrał. Wśród Marsjan dopuszczalne jest również użycie w pojedynku mniej skutecznej, gorszej broni, od tej, której używa przeciwnik. Mogłem więc posłużyć się, gdybym chciał, krótkim mieczem, sztyletem, toporem lub nawet pięściami, ale nie miałem prawa sięgnąć po broń palną czy dzidę.

Wybrałem ten sam oręż, którego on użył, gdyż wiedziałem, że chwalił się niejednokrotnie umiejętnością władania nim i chciałem go pokonać, o ile będzie to możliwe, jego własną bronią. Walka, która potem nastąpiła była długa i o blisko godzinę opóźniła ponowny wymarsz. Całe plemię zebrało się wokół nas, zostawiając w środku wolną przestrzeń o średnicy około stu stóp. Z początku Zad usiłował mnie stratować, jak byk wilka, ale byłem od niego znacznie szybszy i unikałem jego szarży, odskakując w bok. Za każdym razem, gdy przebiegał obok mnie ciąłem go mieczem w nogę lub plecy. Wkrótce krwawił obficie z pięciu czy sześciu małych ran i draśnięć, jakie mu zadałem, lecz nie mogłem podejść dostatecznie blisko, aby ranić go poważniej. Potem zmienił taktykę i starał się osiągnąć umiejętnościami to, czego nie mógł uzyskać brutalną siłą, walcząc ostrożnie i z nadzwyczajną zręcznością. Musze przyznać, że był znakomitym szermierzem i gdyby nie mniejsza grawitacja, dzięki której byłem bardziej od niego wytrzymały i zręczny, miałbym ogromne kłopoty w dotrzymaniu mu pola.

Przez pewien czas krążyliśmy wokół siebie, nie czyniąc sobie wzajemnie poważniejszej krzywdy. Długie, proste i cienkie ostrza naszych mieczy błyszczały w słońcu i przy każdym starciu zakłócały brzękiem panującą wokół ciszę. W końcu Zad, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że meczy się szybciej niż ja, postanowił przypuścić decydujący atak i zwycięsko zakończyć walkę. W tym momencie, w którym ruszył, uderzył mnie w oczy oślepiający blask światła. Przez chwilę nic nie widziałem, starając się tylko na wpół po omacku uniknąć ostrza, które zdawało się wisieć tuż nade mną. Udało mi się to tylko częściowo, gdyż nagle poczułem ostry ból w lewym ramieniu. Gdy jednak odzyskałem na nowo wzrok i podniosłem oczy, by ustalić położenie mojego przeciwnika, ujrzałem scenę, która wynagrodziła mi ranę, odniesioną wskutek chwilowej ślepoty. Na jednym z wozów stały Dejah Thoris, Solą i Sarkoja, przyglądające się walce ponad głowami innych. W momencie, w którym spojrzałem, Dejah Thoris rzuciła się na Sarkoję jak tygrysica i wytrąciła jej z dłoni jakiś przedmiot – coś, co spadając błysnęło w słońcu. Zrozumiałem, w jaki sposób zostałem tak nagle oślepiony w chwili, która mogła zadecydować o całej walce, w jaki sposób Sarkoja chciała mnie zabić, nie zadając morderczego ciosu własnoręcznie.

Dalszy ciąg rozgrywającej się na wozie sceny niemal kosztował mnie życie, gdyż na moment zupełnie zapomniałem o przeciwniku. Chwile po tym, jak Dejah Thoris wytrąciła jej z dłoni lusterko Sarkoja z twarzą wykrzywioną nienawiścią, wyciągnęła sztylet i zamierzyła się nim na czerwoną dziewczynę.

Wówczas Solą, nasza droga, wierna Solą, rzuciła się między nie i zauważyłem, że wielki nóż spada na jej pierś. Nic więcej nie widziałem, gdyż musiałem zająć się Zadem, który znów na mnie natarł. Wciąż jednak myślałem o tym, co zaszło na wozie.

Nacieraliśmy na siebie z furją raz za razem, aż nagle Marsjanin zadał pchniecie, którego nie mogłem ani odparować, ani uniknąć. Czując ostrze tuż przy mojej piersi rzuciłem się ku niemu z wystawionym naprzód mieczem, zdecydowany umrzeć, ale nie sam. Poczulem wdzierającą się we mnie stal, wszystko wokół mnie pociemniało, świat zawirował i opadłem bezwładnie na kolana.

Sola opowiada mi o swym życiu

Gdy odzyskałem przytomność, a byłem bez zmysłów, jak się potem dowiedziałem, tylko przez chwilę, wstałem szybko na nogi, szukając mego miecza. Dojrzałem go – tkwił pograżony aż po rękojeść w zielonej piersi Zada. Marsjanin leżał na kobiercu z mchu, martwy jak kamień. Poczułem ból i zauważyłem, że z piersi sterczy mi jego miecz. Na szczęście rzucając się ku niemu, odwróciłem się nieco i ostrze poszło bokiem, przebijając tylko skórę i mięśnie na żebrach. Rana była bardzo bolesna, ale niegroźna.

Wyciągnąłem miecz z rany, potem wziąłem mój własny i, odwróciwszy się do trupa plecami, poszedłem chory, zbolący i pełen odrazy w stronę wozów, na których jechała moja świta i dobytek. Odprawiał mnie pełen uznania szmer, lecz nic mnie to nie obchodziło.

Oslabiony i ociekający krwią dotarłem do moich kobiet, które, przywykłe do takich wypadków, opatrzyły mnie, przykładając do rany jakieś cudowne maści i lekarstwa, leczące niemal wszystkie rodzaje uszkodzeń ciała, poza najcięższymi. Daj marsjańskiej kobiecie szansę, a śmierć musi się wycofać. Zajęły się mną tak skutecznie, że wkrótce nie odczuwałem żadnych innych skutków zadanego mi pchnięcia poza osłabieniem z upływu krwi i niewielkim bólem wokół rany. Tego typu rana, leczona na sposób ziemski, z pewnością posiałaby mnie na kilka dni do łóżka.

Gdy tylko zostałem opatrzony, pospieszyłem do wozu Dejah Thoris, w pobliżu którego znalazłem Solę. Miała zabandażowaną pierś, czuła się jednak stosunkowo dobrze, gdyż sztylet Sarkoiji uderzył w jedną z metalowych ozdób i ześliznął się, powodując tylko powierzchowne przecięcie skóry.

Zobaczyłem, że Dejah Thoris leży na wozie odwrócona, a jej szczupłą postacią wstrząsa łkanie. Nie zauważyła, że przyszedłem, ani nie słyszała mojej rozmowy z Solą, gdyż staliśmy w pewnej odległości od wozu.

- Co jej się stało? Czy jest ranna? - spytałem, wskazując ją ruchem głowy.

- Nie - odpowiedziała Sola. - Myśli, że zostałeś zabity.

- I że kot jej babki nie będzie miał czyściciela zębów - dodałem z uśmiechem.

- Myślę, że ją krzywdzisz, Johnie Carter - powiedziała Sola. - Nie rozumiem ani ciebie, ani jej, ale nie sądzę, aby kobieta, w której żyłach płynie krew dziesięciu tysięcy jeddaków rozpaczła tak po śmierci kogoś, kogo uważa za niegodnego siebie, ani w ogóle po śmierci kogokolwiek, poza człowiekiem, który zdobył jej szczere przywiązanie. Pochodzi z rasy bardzo dumnej, ale sprawiedliwej i jeśli ją naprawdę głęboko obraziłeś, nie będzie cię zauważała żywego, ale będzie opłakiwać po śmierci. Łzy na Barsoomie są zjawiskiem tak rzadkim – ciągnęła dalej – że właściwie trudno mi je rozumieć. Przez całe życie widziałam tylko dwie, poza Dejah Thoris, płaczące osoby, Jedną z nich płakała z rozpaczy, druga z wściekłości. Pierwszą była moja matka – płakała, zanim ją zabito, a drugą Sarkoja, dzisiaj, gdy ją odciągano ode mnie.

- Twoja matka! - wykrzyknąłem. - Ależ, Solu, przecież nie mogłaś znać swojej matki!

- Znałam. I ojca także. Jeśli chcesz usłyszeć dziwną, nie barsoomiańską historię, przyjdź dziś w nocy do naszego wozu. Opowiem ci coś, o czym nigdy nikomu nie mówiłam. Dano już sygnał do wymarszu, musisz iść.

- Przyjdę - obiecałem. - Nie zapomnij powiedzieć Dejah Thoris, że ja żyje i mam się dobrze. Nie będę jej się narzucał, ale nie mów jej, że widziałem jak płakała. Jeśli zechce ze mną mówić, jestem na jej rozkazy.

Sola wspięła się na wóz, zajmujący właśnie miejsce w kolumnie, a ja wskoczyłem na czekającego thoata, pojechałem do oddziału ubezpieczającego tyły i ustawiłem się w szyku obok Tars Tarkasa.

Rozciągnięci w długą linię wśród żółtego krajobrazu, robiliśmy imponujące i złowieszcze wrażenie. Dwieście pięćdziesiąt barwnych, bogato zdobionych wozów, poprzedzanych przez około dwustu wojowników i dowódców, jadących wierzchem po pięciu w rzędzie, każda piątka w odległości około stu jardów od następnej. Z tyłu, za wozami, podobna liczba wojowników, ustawionych w takim samym szyku. Każdy bok osłonięty przez dwudziestu lub więcej jeźdźców, a wewnątrz ogromnego kwadratu, utworzonego przez osłaniających pochód wojowników biegało luzem pięćdziesiąt dodatkowych zwierząt jucznych, zwanych zitidarami oraz kilka setek thoatów.

Błyszczące w słońcu metalem i klejnotami ozdoby mężczyzn i kobiet, równie bogate rzędy na thoatach i zitidarach, jaskrawe kolory wspaniałych jedwabi, futer i piór nadawały karawanie barbarzyński przepych, wobec którego każdy wschodnioindyjski potentat zzieleniałby z zazdrości. Bardzo szerokie koła wozów i zakończone miękkimi poduszkami stopy zwierząt sprawiały, że poruszaliśmy się po pokrytym mchem dnie wyschniętego morza w zupełnej ciszy, jak ogromny pochód duchów. Czasem tylko przerywało ciszę gardłowe warczenie zitidara lub kwiczenie walczących thoatów. Zieloni Marsjanie rozmawiają niechętnie i przeważnie monosylabami, wypowiadającymi niskim głosem, brzmiącym niby echo dalekich grzmotów.

Podróżowaliśmy przez bezkresne pola żółtego mchu, który ugiął się pod ciężarem przejeżdżających wozów i stopami zwierząt, a potem podnosił się szybko i żaden ślad nie znaczył przebytej przez nas drogi. Mogliśmy rzeczywiście być uznani za upiory, przesuujące się dnem wyschniętego morza umierającej planety, gdyż nie wydawaliśmy żadnego dźwięku i nie pozostawiał po nas żaden znak. Była to pierwsza, widziana przez mnie tak duża kawalkada ludzi i zwierząt, za którą nie ciągnął się obłok kurzu. Na Marsie kurz nie istnieje, może z wyjątkiem terenów uprawnych, ale nawet tam jest on niemal niezauważalny ze względu na brak silnych wiatrów.

Tej nocy obozowaliśmy u stóp wzgórz, które stanowiły południową granicę tego morza. Nasze zwierzęta od dwóch dni nic nie piły, a wody nie widziały od prawie dwóch miesięcy, to znaczy niemal od czasu opuszczenia Tharku. Tars Tarkas wyjaśnił mi jednak, że potrzebują one niewiele płynów i mogą żyć bardzo długo, karmiąc się porastającym Barsoom mchem, w którego cienkich lodyżkach kryje się dostateczna ilość wilgoci, aby zaspokoić ich ograniczone potrzeby.

Po zjedzeniu kolacji, składającej się z czegoś w rodzaju sera oraz roślinnego mleka, odszukałem Solę. Pracowała w świetle pochodni nad uprzężą któregoś ze zwierząt Tars Tarkasa. Gdy podszedłem, podniosła głowę i jej twarz rozjaśniła się radością.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała. - Dejah Thoris już śpi i czułam się trochę samotna. Ludzie z mojego plemienia ignorują mnie, zbyt się od nich różnię. To nie jest wesołe, gdyż muszę żyć wśród nich i czasem bardzo pragnę być prawdziwą marsjańską kobietą, pozbawioną uczuć i nadziei. Obiecałam opowiedzieć ci moją historię, a raczej historię moich rodziców. Sądząc z tego, co wiem o tobie i zwyczajach panujących wśród twojej rasy, ta historia nie wyda ci się dziwna ani wyjątkowa, ale nawet najdłużej żyjący zieloni Marsjanie nie mogliby przytoczyć drugiej takiej, a w legendach również bardzo niewiele jest podobnych opowieści.

Moja matka była niska i drobna, zbyt drobna, by jej pozwolono wziąć na siebie obowiązki macierzyństwa, gdyż nasi wodzowie w pierwszym rzędzie zwracają uwagę na wzrost. Charakter

również miała nie tak zimny i bezwzględny, jak większość zielonych kobiet. Nie garnęła się specjalnie do towarzystwa, często spacerowała samotnie po opustoszałych ulicach Tharku albo szła na pobliskie wzgórza i siadywała wśród pokrywających je dzikich kwiatów. Rozmyślała wtedy i marzyła o czymś, co, jak sędzę; tylko ja jedna mogłabym dzisiaj zrozumieć. Przecież jestem jej córką.

I tam, na wzgórzach, spotkała młodego wojownika, którego obowiązkiem było pilnowanie pasących się thoałów i zitidarów, by nie odchodziły zbyt daleko. Z początku rozmawiali tylko o rzeczach, które dotyczyły całej społeczności tharkijskiej, ale stopniowo, gdy spotykali się coraz częściej i coraz mniej przypadkowo, co wkrótce stało się jasne dla obojga, ich rozmowy zaczęły się obracać wokół nich samych, ich upodobań, ambicji i nadziei. Ufała mu i powiedziała o odrazie, jaką czuje do popełnianych przez naszą rasę okrucieństw, do straszego, pozbawionego miłości życia, jakie muszą prowadzić. Spodziewała się, że on ją potępi, że będzie krzyczał. Jednak zamiast tego objął ją i pocałował. Przez sześć długich lat trzymali swoją miłość w sekrecie. Moja matka należała do świty wielkiego Tal Hajusa, podczas gdy jej kochanek był zwykłym wojownikiem, noszącym tylko własne ozdoby. Gdyby ich odstępstwo od zwyczajów Tharków zostało odkryte, musieliby odpokutować swoją winę na arenie, przed Tal Hajusem i zgromadzonymi tłumami.

Jajo, z którego się wyległam, ukryte było pod dużym, szklanym naczyniem na szczycie najwyższej i najtrudniej dostępnej z częściowo zrujnowanych wież starego Tharku. Przeleżało tam przez pięć potrzebnych do inkubacji lat, a moja matka raz do roku przychodziła sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Nie chciała przychodzić częściej, gdyż wiedząc, że popełnia przestępstwo, bała się, że każdy jej krok jest śledzony. Przez ten czas mój ojciec osiągnął wielkie poważanie jako wojownik i zdobył ozdoby kilku dowódców. Jego miłość do matki nie zmalała ani trochę, a jego jedyną ambicją było osiągnięcie takiej pozycji, która pozwoli mu zedrzeć ozdoby z martwego ciała Tal Hajusa, a potem, jako władca Tharków, ogłosić wszystkim o związku z moją matką, a także mocą swojej władzy ochronić dziecko, które w przeciwnym wypadku byłoby zabite natychmiast po wyjściu prawdy na jaw. To było szalone marzenie – w ciągu pięciu krótkich lat osiągnąć pozycję pozwalającą zabrać insygnia Tal Hajusowi, ale ojciec awansował bardzo szybko i wkrótce był liczącym się członkiem rady Tharku. Pewnego jednak dnia nadzieja na szybkie dokonanie tego, o czym marzył, aby ochronić matkę i mnie, rozviała się. Rozkazano mu udać się z ekspedycją daleko na południe, do lodowej krainy, zaatakować żyjących tam ludzi i odebrać im futra. Tak zawsze postępowali zieloni Barsoomianie – napadali na innych i odbierali im to, co tamci zdobyli własną pracą.

Nie było go przez cztery lata, a gdy wrócił już od trzech lat było po wszystkim. W blisko rok po jego wyjeździe, a na krótko przed powrotem wyprawy, która miała przywieźć dzieci, wyległe we wspólnym inkubatorze, jajo pękło. Matka trzymała mnie w dalszym ciągu na wieży i odwiedzała nocami, otaczając miłością, z której zwykle, społeczne życie odarłoby nas obie. Miała nadzieje, że po powrocie wyprawy do inkubatora, uda jej się dołączyć mnie do dzieci, przydzielonych na dwór Tal Hajusa i w ten sposób uniknąć losu, jaki niechybnie spotkałby nas obie po wykryciu jej sprzeniewierzenia się starożytnym tradycjom zielonych ludzi.

Nauczyła mnie bardzo szybko języka i zwyczajów mojej rasy i pewnej nocy opowiedziała mi historię, którą ci właśnie powtórzyłam. Nakazała mi przy tym, abym zachowała wszystko w najgłębszej tajemnicy i była bardzo ostrożna, gdy już znajdę się wśród innych dzieci. Musiałam się strzec, mówiła, aby nikt nie odgadł, iż jestem bardziej zaawansowana w edukacji niż one, musiałam uważać, by żadnym gestem nie zdradzić w obecności innych moich uczuć do matki ani nawet, że znam swoich rodziców. Potem mnie przytuliła i wyszeptwała do ucha imię mojego ojca.

Nagle w ciemność pokoju na szczycie wieży wdarło się światło i zobaczyłam Sarkoje, stojącą w

wejściu z utkwionymi w mojej matce, pełnymi nienawiści i złośliwej satysfakcji oczyma. Potoki obelg, które trysnęły chwile później z jej ust, przeraziły i zmroziły moje młode serce. Było jasne, że słyszała wszystko, o czym mówiłyśmy. Już wcześniej zaczęła podejrzewać matkę, gdyż zauważyła, że niemal każdej nocy znika ona ze swego pokoju na długie godziny. I wreszcie udało się jej nas wyśledzić.

Nie wiedziała tylko, że matka zdążyła mi szepnąć imię mego ojca. Nie usłyszała tego, bowiem powtarzała ciągle żądanie, by matka wyjawiała imię swego partnera w przestępstwie. Ale żadne jej obelgi, ani groźby nie odniosły skutku. Aby uchronić mnie przed bezlitosnymi torturami matka skłamała, mówiąc Sarkoju, że nie wyjawiała tego nawet własnemu dziecku. W końcu Sarkoja odeszła, by donieść o swym odkryciu Tal Hajusowi. Wówczas moja matka schowała mnie wśród jedwabi i futer, w które była ubrana dla ochrony przed nocnym chłodem, wybiegła na ulice i pognąła na południe, ku granicy miasta.

Chciała dotrzeć do człowieka, którego nie mogła już prosić o obronę, gdyż to by go zdradziło, ale przed śmiercią chciała jeszcze raz spojrzeć na jego twarz. Zbliżyłyśmy się do południowych krańców Tharku i wtedy od strony jedyne go przejścia przez wzgórze, które prowadziło do bram miasta, dobiegł nas kwik thoatów, ryk zitidarów oraz powtarzający się od czasu do czasu brzęk. Wszystkie te odgłosy świadczyły o zbliżaniu się jakiegoś dużego oddziału. W pierwszej chwili matka pomyślała, że to ojciec, wraca z ekspedycji, ale wrodzona podejrzliwość Tharków powstrzymała ją od wybiegnięcia mu na spotkanie.

Wycofała się w cień jakiejś bramy i oczekiwała nadejścia kawalkady, która wkrótce wjechała w aleję i złamała szyk, rozsypując się ód ściany do ściany. Gdy pierwsze wozy przejeżdżały obok nas, mniejszy księżyc wychylił się właśnie zza dachów i oblał okolice bladym światłem. Matka schowała się głębiej w cieniu swej kryjówki i zobaczyła, że nie był to oddział mojego ojca, ale karawana wioząca dzieci z inkubatora. Natychmiast podjęła decyzję i gdy jeden z wielkich wozów przejeżdżał blisko naszej kryjówki, wśliznęła się nań i ukryła w cieniu wysokiego boku, przyciskając mnie mocno do piersi.

Wiedziała już to, czego ja wówczas jeszcze nie przeczuwałam – że już nigdy nie będzie mogła mi przytulić, a być może, że nie będziemy już miały możliwości nawet spojrzeć na siebie. Na placu, wśród ogólnego zamieszania, dołączyła mnie do innych dzieci i już razem z nimi zostałam przeprowadzona do dużego pomieszczenia i nakarmiona przez jedną ze znajdujących się tam kobiet. Następnego dnia wszystkie dzieci przydzielono do orszaków poszczególnych dowódców.

Już nigdy nie zobaczyłam matki. Została uwięziona przez Tal Hajusa. Dokładano wszelkich starań, łącznie z poddawaniem jej najokropniejszym torturom, aby wydrzeć z jej ust imię mego ojca. Milczała jednak i w końcu, podczas jakiejś wymyślonej męczarni umarła, żegnana śmiechem Tal Hajusa i jego dowódców.

Dowiedziałam się później, że powiedziała im, iż mnie zabiła i rzuciła moje ciało białym małpom, aby mnie uchronić od takiego losu, jaki zgotowali dla niej. Tylko Sarkoja jej nie uwierzyła i do dzisiejszego dnia czuję, że podejrzewa, jakie jest moje prawdziwe pochodzenie, ale nie ośmiela się jeszcze poruszyć tej sprawy, gdyż domyśla się również, kto jest moim ojcem.

Byłam obecna przy tym, jak Tal Hajus opowiadał historie matki mojemu ojcu, po jego powrocie z wyprawy. Nawet najmniejszym drgnieniem powieki ojciec nie zdradził swoich uczuć, nie śmiał się jednak, gdy Tal Hajus rozbawiony opowiadał o jej ostatnich mękach. Od tej chwili jest najokrutniejszym z okrutnych, a ja czekam na dzień, w którym zrealizuje swój cel i postawi stopę na trupie Tal Hajusa.

Jestem pewna, że czeka tylko na sposobność, aby się okrutnie zemścić i że miłość, która

zapłonęła w jego piersi blisko czterdzieści lat temu jest dzisiaj równie silna, jak była wtedy. Jestem tego równie pewna, jak tego, że siedzimy teraz na brzegu starego jak świat, wyschniętego oceanu, w nocy, gdy wszyscy rozsądni ludzie już dawno śpią.

- Sola, czy twój ojciec jest tutaj z nami? - spytałem.

- Tak - odpowiedziała - ale nie wie, kim jestem. Nie wie również, kto wtedy doniósł na matkę do Tal Hajusa. Tylko ja znam imię mego ojca i tylko Tal Hajus, ja i Sarkoja wiemy, kto sprowadził śmierć na kobietę, którą kochał.

Siedzieliśmy przez chwile w milczeniu. Solą pogrążyła się we wspomnieniach ze swej strasznej przeszłości, a ja myślałem z litością o tych biednych istotach, skazanych przez bezsensowne, okrutne zwyczaje, na życie pełne brutalności i nienawiści.

- Johnie Carter - odezwała się w końcu - jeżeli kiedykolwiek prawdziwy człowiek stąpał po zimnej, umarłej powierzchni Barsoomu, to jesteś nim ty. Wiem, że mogę ci ufać i chce ci wyjawić imię mego ojca, nie stawiając żadnych warunków. Być może ta wiedza pomoże kiedyś tobie lub jemu, albo Dejah Thoris czy mnie. Jeśli uznasz, że nadeszła odpowiednia chwila i że jest to najlepsze, co możesz zrobić, powiedz je głośno i wszystkim. Ufam ci, gdyż wiem, że nie ciąży nad tobą klątwa absolutnej i bezwzględnej prawdomówności, że potrafisz nawet skłamać, jeżeli kłamstwo może wyzwolić innych od cierpień i smutku. Moim ojcem jest Tars Tarkas.

Planujemy ucieczkę

W dalszej podróży do Tharku nie wydarzyło się już nic szczególnego. Jechaliśmy jeszcze dwadzieścia dni, przecinając dwa wyschnięte morza, przejeżdżając obok kilku zrujnowanych miast, zwykle mniejszych niż Korad. Dwukrotnie minęliśmy słynne marsjańskie drogi wodne, przez ziemskich astronomów zwane kanałami. Gdy zbliżaliśmy się do któregoś z nich, najpierw wysyłano na zwiad wojownika, wyposażonego w potężną lornetę polową, który sprawdzał czy w pobliżu nie ma jakichś dużych oddziałów czerwonych Marsjan. Następnie podjeżdżaliśmy możliwie najbliżej, ale zatrzymywaliśmy się w odległości gwarantującej, że nie zostaniemy przypadkowo dostrzeżeni przez kogoś, kto mógłby się tam znajdować. Czekaliśmy nocy i w ciemnościach ostrożnie zbliżaliśmy się do pasa ziemi uprawnej, odnajdowaliśmy jedną z licznych dróg, przecinających te tereny w regularnych odstępach i przeprawialiśmy się na pola, leżące na drugim brzegu kanału. Pierwsza z tych przepraw zajęła nam pięć godzin, a następna całą noc. Dzień zastał nas, kiedy właśnie opuszczaliśmy ogrodzone wysokim murem pola uprawne. Jechaliśmy w ciemności, więc niewiele mogłem dostrzec. Od czasu do czasu jednak bliższy księżyc, szybko przemierzając niebo Barsoomu, wydobywał z mroku otoczone murami pola i niskie budynki, bardzo przypominające ziemskie farmy. Rosło tam wiele drzew, starannie pielęgnowanych, przy czym niektóre miały wprost zawrotną wysokość. Zgromadzone w zagrodach zwierzęta wyczuwały naszą obecność i witały nas rykiem i pochrapywaniem.

Tylko raz zauważyłem człowieka. Musiał zasnąć na poboczu drogi i, gdy się do niego zbliżyłem, oparł się na jednym łokciu, spojrzał na mnie, potem na zbliżającą się karawanę, zerwał się na nogi i jak szalony pognął wzdłuż drogi, a później przeskoczył pobliski mur ze zręcznością śmiertelnie przerażonego kota. Tharkowie nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi, nie byli na wyprawie wojennej. Tylko z tego mogłem wnioskować, że go zauważyli, iż zwiększyli tempo marszu w kierunku niewielkiej, wąskiej pustyni, za którą zaczynało się już królestwo Tal Hajusa.

Przez całą podróż nie zamieniłem z Dejah Thoris ani jednego słowa, gdyż nie dała mi w żaden sposób poznać, że będę mile widziany przy jej wozie. Z drugiej strony moja głupia duma powstrzymywała mnie przed zrobieniem pierwszego kroku. Sądzę, że umiejętność mężczyzny postępowania z kobietami jest odwrotnie proporcjonalna do jego niezależności i odwagi w stosunkach z innymi mężczyznami. Zdarza się często, że zniewieściał słabeusz potrafi wzbudzić zachwyty i oczarować płęć piękną, podczas gdy człowiek silny i odważny, który bez leku stawia czoła tysiacy niebezpieczeństw, kryje się w kącie, jak przestraszone dziecko.

W równo trzydzieści dni od chwili mego przybycia na Barsoom wjechaliśmy do starożytnego miasta Thark, wybudowanego przez dawno wymarły naród, ludzi, którym ta zielona zgraja ukradła nawet nazwę. Liczba zielonych Tharkijczyków zbliża się obecnie do trzydziestu tysięcy i są oni podzieleni na dwadzieścia pięć plemion. Każde z nich posiada swego jeda i pewną liczbę niższych rangą dowódców, ale wszystkie podlegają władzy Tal Hajusa, jeddaka Tharku. Pięć plemion ma swoją główną siedzibę w mieście Thark, a pozostałe są rozsiane po innych, opuszczonych przez starożytnych Marsjan miastach, znajdujących się na terenach zarządzanych przez Tal Hajusa.

Na wielki, centralny plac wjechaliśmy wczesnym popołudniem. Nasz powrót nie wzbudził większego zainteresowania, nie było owacyjnie witających tłumów. Ci, którzy akurat znaleźli się w pobliżu, wymawiali w tradycyjnym powitaniu imiona znajomych mężczyzn i kobiet, ale dopiero, gdy rozeszła się wiadomość, że karawana przywiozła ze sobą dwoje jeńców ciekawość przygnała na plac większą liczbę osób.

Przydzielono nam wkrótce kwatery i resztę dnia spędziliśmy na urządzaniu się w nowych warunkach. Budynek, w którym miałem mieszkać stał na południowym skraju placu, tuż przy wylocie szerokiej alei, którą przyjechaliśmy od bram miasta. Zajmowałem ten budynek sam, cały był do mojej dyspozycji. Architektura, tak piękna w Koradzie, tutaj, o ile to w ogóle możliwe, była jeszcze wspanialsza. Dekoracje ścian w mojej kwaterze mogłyby być ozdobą pałacu największego z ziemskich cesarzy, ale dla tych dziwnych liczyły się tylko rozmiary budynków i pokoiów – im większe, tym lepsze.

I tak Tal Hajus mieszkał w czymś co kiedyś musiało być gmachem użyteczności publicznej, największym w mieście, ale zupełnie nie nadającym się na rezydencję. Następny z kolei pod względem rozmiarów budynek zajmował Lorquas Ptomel, kolejny był mieszkaniem mniej ważnego jeda i tak dalej, według hierarchii ważności wszystkich pięciu jedów. Wojownicy mieszkali razem z dowódcami, do których świty należeli, albo, jeżeli woleli, szukali kwater w jednym z tysięcy nie zamieszkałych domów, stojących w części miasta przydzielonej ich plemieniu. Musieli się ściśle trzymać granic dzielnicy, w której mieszkało ich plemię. Wyjątek stanowili jedowie, zajmujący budynki stojące frontem do placu.

Gdy wreszcie uporządkowałem mój budynek, a raczej gdy skończyłem doglądać porządkowania, już niemal zapadła noc. Wyszedłem na zewnątrz z zamiarem znalezienia Soli i jej podopiecznej, gdyż postanowiłem porozmawiać wreszcie z Dejah Thoris i przekonać ją, że powinniśmy zawrzeć rozejm do czasu, aż znajdę jakiś sposób dopomożenia jej w ucieczce. Po długim, bezskutecznym poszukiwaniu, gdy górna część tarczy słonecznej znikła już za horyzontem, zobaczyłem brzydki łeb Woola, wyglądający z okna na drugim piętrze budynku po przeciwnej stronie tej samej ulicy, przy której mieszkałem.

Nie czekając na bardziej wyraźne zaproszenie wbiegłem po schodach na drugie piętro i wszedłem do wielkiego pomieszczenia. Woola uradowany, że wreszcie się zjawiłem wyskoczył w powietrze i nieomal obalił mnie ciężarem swego ciała na podłogę. Rozwalił przy tym pysk od ucha do ucha, ukazując wszystkie trzy rzędy ostrych kłów, jakby z radości miał zamiar mnie połknąć.

Uspokoiwszy go nieco rozejrzałem się po pokoju, starając się w gęstniejącym mroku dojrzeć Dejah Thoris. Nikogo nie zauważyłem i zniecierpliwiony krzyknąłem jej imię. W odpowiedzi z kąta pomieszczenia dobiegł mnie jakiś pomruk, a gdy podszedłem bliżej zobaczyłem ją, owiniętą w futra i jedwabie, siedzącą na jakimś antycznym krześle. Stałem przez chwilą w milczeniu. Podniosła się w końcu i patrząc mi prosto w oczy, spytała:

- Czego sobie życzysz Dotar Sojat od Dejah Thoris, swego więźnia?

- Naprawdę nie wiem, czym cię obraziłem, Dejah Thoris - powiedziałem. - Ciebie, którą chciałem bronić i której pragnąłem usługiwać. Jeżeli gardzisz moją opieką, będę zmuszony się z tym pogodzić, ale powinnaś chociaż pomóc mi w urzeczywistnieniu planu twojej ucieczki, jeśli jest ona w ogóle możliwa. Tym razem nie jest to moja prośbą, ale rozkaz. Gdy będziesz znowu bezpieczna na dworze twego ojca, zrobisz ze mną, co będziesz chciała, ale do tego dnia jestem twoim panem i musisz mi być posłuszna i pomagać.

Patrzyła na mnie długo i poważnie i pomyślałem, że może nie będzie już dla mnie taka surowa.

- Rozumiem doskonale twoje słowa odpowiedziała – ale nie rozumiem, ciebie, Dotar Sojacie.

Jesteś przedziwną mieszaniną dziecka i mężczyzny, gburą i człowiekiem szlachetnym, Bardzo bym chciała móc czytać w twoim sercu.

- Spójrz na swoje stopy, Dejah Thoris, znajdziesz tam moje serce. Leży przy nich tak jak leżało tej nocy w Korad i jak będzie leżeć zawsze. Bije tylko dla ciebie i jedynie śmierć może to zmienić uciszając je na wieczność.

Zrobiła krok w moim kierunku i wyciągnęła rękę, jakby szukając czegoś po omacku.

- Co masz na myśli, Johnie Carter? - szepnęła. - Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

- Przysięgam ci, że ci tego nie powiem, a przynajmniej nie w czasie twojej niewoli u zielonych ludzi. W ciągu ostatnich dwudziestu dni, widząc jaki jest twój stosunek do mnie, myślałem, że nigdy nie będę mógł ci tego powiedzieć. Jestem twój, duszą i ciałem, chce ci służyć, walczyć dla ciebie i dla ciebie umrzeć. W zamian proszę tylko byś się powstrzymała od odpowiedzi na moje słowa aż do dnia, gdy znajdziesz się cała i bezpieczna wśród bliskich oraz byś mi przysięgła, że – bez względu na to, jakie do mnie żywisz uczucia – nie będziesz się kierowała wdzięcznością. Ofiaruję ci moje usługi z pobudek egoistycznych, gdyż służenie ci jest dla mnie przyjemnością, największą z możliwych.

- Uszanuj twoje życzenie, Johnie Carter, gdyż rozumiem dlaczego je wypowiedziałeś. Przyjmuje twoje usługi i równie chętnie podporządkuje się twym rozkazom. Odtąd twoje słowo będzie dla mnie prawem. Po raz drugi skrzywdziłam cię w myślach i po raz drugi proszę, abyś mi wybaczył.

Dalszą rozmowę na tematy osobiste uniemożliwiło nadejście Soli. Była bardzo wzburzona, zniknęła gdzieś jej zwykła łagodność i opanowanie.

- Ta wstrętne Sarkoja była u Tal Hajusa - krzyknęła - i z tego, co usłyszałam na placu wynika, że żadne z was nie może mieć nadziei na jego łaskę.

- Co mówią? - spytała Dejah Thoris.

- Że w czasie wielkich, dorocznych igrzysk, które rozpoczną się, gdy do Tharku zjadą się wszystkie, plemiona, zostaniecie rzucone na pożarcie dzikim kalotom.

- Solu - powiedziałem - jesteś Tharkijką, ale nienawidzisz zwyczajów swojej rasy i czujesz do nich odrazę nie mniejszą niż my. Czy chcesz uciec razem z nami? Jestem pewien, że Dejah Thoris może ci u siebie zapewnić dom i ochronę i że twoje życie wśród czerwonych ludzi nie będzie gorsze niż byłoby tutaj.

- Tak - krzyknęła Dejah Thoris - chodź z nami! W Helium będzie ci lepiej niż tutaj i przysięgam ci nie tylko opiekę, ale również przyjaźń i miłość, za którymi tak tęsknisz, a których ci odmawiają okrutne zwyczaje twojej rasy. Chodź z nami, tutaj czeka cię okropna śmierć, jeśli zaczną podejrzewać, że nam pomogłaś. Wiem, że nawet perspektywa takiej śmierci nie skłoniłaby cię do ucieczki, gdybyś nie chciała, ale my pragniemy, abyś z nami poszła, chcemy zaprowadzić cię do słonecznego i szczęśliwego kraju, między ludzi, którzy wiedzą, co to miłość, sympatia, wdzięczność. Powierz, że to zrobisz, powiedz, że pójdziesz z nami.

- Wielka droga wodna, która prowadzi do Helium - mruknęła Solą na wpół do siebie - znajduje się - tylko pięćdziesiąt mil na południe stąd. Szybki thoat mógłby pokonać tę odległość w trzy godziny. A potem jeszcze pięćset mil do Helium, większość przez słabo zaludnione tereny. Będą wiedzieli, w którą stronę uciekamy i będą nas ścigać. Przez pewien czas możemy się kryć wśród drzew, ale szansę na powodzenie ucieczki są bardzo niewielkie. Zdajecie sobie sprawę z tego, że pójdą za nami aż pod same wrota Helium, a jeśli nad dogonią, zabiją bez litości.

- Czy nie ma żadnej innej drogi, którą moglibyśmy dotrzeć do Helium? - spytałem. - Dejah Thoris, czy mogłabyś mi naszkicować mapę terenów, przez które musimy przejechać?

- Tak - odpowiedziała, wyjęła z włosów wielki diament i na marmurowej podłodze narysowała

mapę Borsoomu, pierwszą jaką dane mi było widzieć. Przecinały ją we wszystkich kierunkach długie, proste linie. Niektóre z nich bieły równolegle, inne prowadziły ku dużym punktom. Te linie - powiedziała - to drogi wodne, punkty to miasta. Jeden z nich, położony na północny zachód od nas wskazała jako Helium.

W końcu, dokładnie przyjrząwszy się oświetlonej wpadającymi do pokoju promieniami księżyca mapie, pokazałem jedną z dróg wodnych, daleko na północ od nas, która również zdawała się prowadzić do Helium.

- Czy nie przecina ona terytorium twojego dziadka? - spytałem.

- Tak - odpowiedziała - ale położona jest dwieście mil na północ od nas. Jest to jedna z tych dróg wodnych, przez które przejechaliśmy w drodze do Tharku.

- Myślę, że to jest właśnie najlepsza droga ucieczki - powiedziałem - Będą nas ścigać, ale nigdy nie przyjdzie im do głowy, że wybraliśmy tak daleki kanał.

Sola zgodziła się ze mną i postanowiliśmy opuścić Thark jeszcze tej samej nocy, natychmiast, gdy odnajdę i osiodłam moje thoaty. Sola miała jechać na jednym, a ja i Dejah Thoris na drugim.

Poleciłem kobietom, aby poszły na mało uczęszczaną ulicę na południowym skraju miasta, skąd po osiodłaniu thoatów miałem je zabrać tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Pozostawiłem im przygotowanie potrzebnej nam ilości pożywienia, jedwabi i futer i poszedłem na podwórze, po którym kręciły się niespokojnie nasze zwierzęta, jak zwykle przed zaśnięciem.

Zarówno w rzucanym przez budynki cieniu, jak i na oświetlonych przez marsjańskie księżycy fragmentach podwórza poruszały się wielkie stada thoatów i zitidarów. Ostre pokwikiwania jednych mieszały się z gardłowym charkotem drugich. Pozostawione sobie samym zachowywały się spokojnie, ale gdy mnie zwęszyły, zaczęły okazywać zdenerwowanie i hałas się zwiększył. Samotne wejście nocą w stado thoatów było dość ryzykownym przedsięwzięciem – po pierwsze dlatego, że narastający harmider mógłby wzbudzić podejrzliwość kóregoś z wojowników, nocujących w pobliskich budynkach, a po drugie istniało niebezpieczeństwo, że jakiś thokat rzuci się na mnie z najbliższej przyczyny albo w ogóle bez powodu.

Nie miałem najmniejszej ochoty stać się ofiarą złego nastroju tych zwierząt, szczególnie w sytuacji, gdy tak wiele zależało od zachowania tajemnicy i pośpiechu. Wtulałem się więc w cień budynków, gotów w razie potrzeby wskoczyć w jakieś okno lub drzwi. Podeszedłem w ten sposób do wielkiej bramy, prowadzącej na ulicę i cicho zawołałem moje zwierzęta. Dziękowałem Opatrzności, że natchnęła mnie przecuciem i kazała zdobyć zaufanie i przywiązanie tych dzikich bestii. Teraz widziałem, jak z przeciwległego końca podwórza dwa thoaty torują sobie drogę w moim kierunku wśród poruszających się, ogromnych gór mięsa. Podeszły bardzo blisko, otarły o mnie pyski, próbując wywęszyć kawałki pożywienia, którymi zwykle nagradzałem ich posłuszeństwo. Otworzyłem bramę, kazałem zwierzętom wyjść na zewnątrz, potem wśliznąłem się za nimi i ostrożnie zamknąłem wrota.

Jeszcze ich nie dosiadłem ani nie osiodlałem, lecz kryjąc się w cieniu poszedłem ostrożnie w stronę tej mało uczęszczanej ulicy, na której umówiłem się z Dejah Thoris i Solą. W kompletnej ciszy, niby bezcielesne zjawy mijaliśmy opustoszałe ulice. Odetchnąłem swobodniej dopiero, gdy zobaczyłem rozciągającą się za miastem równinę. Byłem przekonany, że Dejah Thoris i Sola nie będą miały trudności w niepostrzeżonym przybyciu na miejsce spotkania, ale bałem się o siebie, gdyż prowadziłem dwa ogromne thoaty, a zieloni wojownicy nigdy nie opuszczali miasta nocą – było to zupełnie niezwykle i mój widok natychmiast wzbudziłby podejrzenia.

Jednak dotarłem bezpiecznie na umówione miejsce, a ponieważ kobiety jeszcze nie przyszły, wprowadziłem zwierzęta do bramy jednego z pobliskich budynków. Nie byłem zaniepokojony

nieobecnością Dejah Thoris i Soli, gdyż przypuszczałem, że któraś z pozostałych kobiet, mieszkających w tym samym budynku przyszła, by trochę pogawędzić i w ten sposób opóźniła ich przybycie na spotkanie. Jednak minęła godzina, a ich ciągle nie było. Po upływie następnych trzydziestu minut zacząłem odczuwać gwałtowny niepokój. Potem nagle cisza nocy została przerwana odgłosem zbliżającego się oddziału. Hałas był zbyt duży, aby były to przekradające się ostrożnie ku wolności uciekinierki i wkrótce zbliżył się, a wtedy zobaczyłem grupę jadących wierzchem wojowników. Skryty w ciemności bramy obserwowałem, jak przejeżdżali obok. Usłyszałem fragment ich rozmowy i serce zamarło mi w piersi.

- Prawdopodobnie umówił się z nimi tuż za granicami miasta, a więc... - nie usłyszałem nic więcej, gdyż pojechali dalej, ale to mi wystarczyło. Nasz plan został zdemaskowany. Od tej chwili aż do planowanego dla nas straszego końca nie mieliśmy już praktycznie żadnych szans na pomyślną ucieczkę. Teraz chciałem jedynie wrócić niepostrzeżenie do budynku Dejah Thoris i dowiedzieć się, co się z nią stało. Był to jednak poważny problem, gdyż nie wiedziałem, co mam zrobić z moimi ogromnymi thoatami, teraz, gdy całe miasto było już prawdopodobnie na nogach, zelektryzowane wiadomością o ucieczce.

Nagle przypomniałem sobie, że przecież wszystkie budynki w tych starożytnych miastach były budowane tak, iż w centrum każdej czworobocznej grupy znajdował się duży dziedziniec. Poprowadziłem thoaty w głąb budynku, posuwając się w głębokich ciemnościach niczym ślepiec. Przeszliśmy przez kolejne pomieszczenia. Thoaty miały pewne trudności w przeciśnięciu się przez mijane po drodze drzwi, ale ponieważ gmachy przy głównych ulicach były budowane z dużym rozmachem, dotarliśmy w końcu do wewnętrznego podwórza. Było ono porośnięte, jak się spodziewałem, dywanem żółtego mchu, który mógł służyć thoatom za pożywienie do czasu, aż uda mi się je przeprowadzić z powrotem do stada. Byłem pewien, że będzie im tu równie dobrze, jak gdziekolwiek, indziej i że jest prawie niemożliwe, aby zostały odnalezione. Zieloni ludzie z wielką niechęcią wchodzili do leżących na skraju miasta budynków, gdyż były one często odwiedzane przez jedyne stworzenia, których zdawali się bać – wielkie, białe małpy.

Zdjąłem z thoatów uprzęż i schowałem ją za drzwiami, przez które weszliśmy na dziedziniec. Puściłem zwierzęta wolno, przeszedłem przez podwórze ku tyłom budynku leżącego po przeciwnej stronie i wyostałem się na leżącą za nim ulicę. Przez chwilę stałem w drzwiach, by się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu, a potem przebiegłem na drugą stronę, wpadłem w najbliższe drzwi i przedostałem się na dziedziniec. W ten sposób, posuwając się od podwórza do podwórza, ryzykując, że zostanę zauważony tylko wtedy, gdy przebiegałem przez ulicę, bezpiecznie dotarłem na tyły budynku, w którym mieszkała Dejah Thoris.

Tutaj oczywiście natknąłem się na zwierzęta, należące do kwaterujących w tym budynku wojowników, a gdybym wszedł do wewnątrz prawdopodobnie spotkałbym ich samych. Jednak na szczęście miałem inną, bezpieczniejszą metodę dostania się na piętro, na którym spodziewałem się znaleźć Dejah Thoris. Przyjrzałem się uważnie budynkom, by mieć pewność, że wybieram właściwy, gdyż nigdy ich nie widziałem od strony podwórza i wykorzystałem swą stosunkowo wielką siłę i zwinność, by wyskoczyć w górę i chwycić parapet okna na pierwszym piętrze, przez które, jak przypuszczałem, dostanę się do pomieszczeń przylegających od tyłu do jej pokoju. Wśliznąłem się do wnętrza i ostrożnie poszedłem ku frontowi budynku. Gdy dotarłem pod drzwi pokoju Dejah Thoris, usłyszałem dobiegające z wewnątrz głosy.

Zatrzymałem się, by nabrać pewności, że jeden z nich należy do Dejah Thoris i że mogę bezpiecznie wejść do środka. Dobrze się stało, że tak zrobiłem, gdyż po chwili usłyszałem, że głosy są niskie, męskie. Również ich treść nie wróżyła nic dobrego. Właśnie mówił dowódca,

najwyraźniej wydając rozkazy swoim podwładnym.

- Gdy przyjdzie do tego pomieszczenia, a na pewno tak zrobi, nie doczekawszy się jej w umówionym miejscu, rzucicie się na niego we cztery i rozbroicie go. Jeśli to, co o nim opowiadają jest prawdą, musicie robić to wszyscy naraz, połączonymi siłami. Potem go zanieście do piwnic pod siedzibą jeddaka i zakujcie w kajdany, aby w każdej chwili był do dyspozycji Tal Hajusa. Nie pozwólcie mu z nikim rozmawiać. Nie wpuszczajcie też nikogo do tego pokoju zanim on się pojawi. Dziewczyna tu nie wróci, gdyż w tej chwili jest już bezpieczna w rękach Tal Hajusa i niech wszyscy jej przodkowie się nad nią zlitują, bo od Tal Hajusa nie można tego oczekiwać. Tak, wielka Sarkoja dokonała tej nocy wspaniałego czynu! Teraz odchodzę, a jeśli on się tu zjawi, a wam nie uda się go pojmać, rozkaże rzucić wasze trupy na dno lssy.

Znów w niewoli

Umilkł i odwrócił się, by wyjść z pokoju przez drzwi, za którymi stałem. Nie było sensu dłużej czekać – usłyszałem wystarczająco dużo, by mój niepokój przerodził się w przerażenie. Wycofałem się cicho tą samą drogą, którą tu dotarłem i zszedłem na dziedziniec. Ułożyłem szybko plan działania. Przeszedłem przez plac i przylegającą doń po przeciwnej stronie ulice i wkrótce znalazłem się na dziedzińcu pałacu Tal Hajusa. Jasno oświetlone okna na parterze podpowiedziały mi od jakiego miejsca muszę rozpocząć poszukiwania. Zbliżyłem się do nich i zajrzałem do środka. Wkrótce doszedłem do wniosku, że nie pójdzie mi tak łatwo, jak się spodziewałem, gdyż przylegające do dziedzińca pokoje były wypełnione wojownikami i kobietami. Spojrzałem w górę i zauważyłem, że drugie piętro jest ciemne, a więc najprawdopodobniej puste. Zdecydowałem przedostać się do budynku właśnie tamtędy. W chwili później wyskoczyłem w gore, dosięgnąłem parapetu i zanurzyłem się w ciemnościach.

Tak jak przypuszczałem pokój, do którego wszedłem był nie zamieszkały. Bezszelestnie wymknąłem się na korytarz, i zauważyłem, że w pomieszczeniach przede mną świeci się światło. Podeszedłem do czegoś, co wyglądało jak zwykłe drzwi, ale, uchyliwszy je ostrożnie, odkryłem, że otwierają się na ogromną salę, sięgającą od parteru, dwa pietra pode mną, aż po kopułowaty dach pałacu. Podłoga tego wielkiego, okrągłego pomieszczenia była zatłoczona dowódcami, wojownikami i kobietami. Naprzeciw mnie, pod ścianą stało duże podwyższenie, a na nim siedział ze skrzyżowanymi nogami najohydniejszy stwór, jakiego zdarzyło mi się w życiu zobaczyć. Na jego twarzy odbijały się bezlitosny chłód i okrucieństwo, cechy, które leżą w charakterze każdego zielonego wojownika, ale podkreślone jeszcze i skażone zwierzęcą namiętnością, której od lat ulegał. W jego postawie nie było cienia dumy czy godności. Sześć kończyn olbrzymiego, wystającego poza obręb platformy cielska upodobiło go do wielkiego, ustawionego pionowo pająka.

Jednak naprawdę przestraszyłem się dopiero, gdy zauważyłem, że przed tym monstrem stoją Dejah Thoris i Sola. Dejah Thoris stała wyprostowana, z wysoko uniesioną głową i nawet z odległości, która mnie od nich dzieliła, mogłem odczytać na jej twarzy wyraz pogardy i odrazy. Była prawdziwą córką tysięcy jeddaków i mimo iż tak drobna w porównaniu z otaczającymi ją wojownikami, majestatem przewyższała ich nieskończenie. Była wśród nich najsilniejsza duchem i jestem głęboko przekonany, że oni to czuli coś mówiła, ale nie mogłem usłyszeć ani jej słów, ani odpowiedzi, która dotarła do mnie jedynie jako niskie, gardłowe pomruki.

W pewnej chwili Tal Hajus dał znak, aby wszyscy wyszli z sali, zostawiając go samego z więźniami. Dowódcy, wojownicy i kobiety powoli znikali w przyległych pomieszczeniach i w końcu Dejah Thoris i Sola stały samotnie przed jeddakiem Tharkian. Jeden tylko dowódca zwlekał z wyjściem. Stał w cieniu ogromnej kolumny, wpatrzony pełnymi nienawiści oczyma w Tal Hajusa, bawiąc się nerwowo rękojeścią miecza. To był Tars Tarkas. Z jego twarzy mogłem czytać wypełniające go myśli i uczucia, jak z otwartej książki. Myślał o kobiecie, która stała tutaj przed czterdziestu laty tak jak teraz Dejah Thoris.

Gdybym mógł mu szepnąć choć słówko, panowanie Tal Hajusa gwałtownie zakończyłoby się w

tym momencie. Jednak w końcu on również wyszedł, nie wiedząc, że zostawia na łasce potwora, którego tak nienawidził, swoją własną córkę.

Tal Hajus podniósł się, a ja, przeczuwając, co ma zamiar zrobić pobieglem jak wariat w dół schodów, prowadzących na niższe pietra. Nikogo nie spotkałem i niezauważony dotarłem na parter do głównych drzwi, a potem wśliznąłem się do środka i skryłem za tą samą kolumną, przy której stał przed chwilą Tars Tarkas. Teraz już wyraźnie słyszałem słowa Tal Hajusa.

- Księżniczko Helium - mówił - gdybym cię zwrócił nie robiąc ci krzywdy dostałbym niewątpliwie potężny okup od twego narodu. Jednak tysiąc razy bardziej wole widzieć twoją piękną twarzyczkę wykrzywioną bólem podczas tortur. Obiecuje ci, że będziesz bardzo długo umierać. Dziesięć dni takiej przyjemności nie wystarczy, aby ukazać głębię miłości, jaką żywię do twojej rasy. Czerwoni ludzie będą drżeli na wspomnienie twojej śmierci przez wszystkie nadchodzące wieki, myśl o straszliwej zemście zielonych ludzi będzie im spędzać sen z powiek, będą płakać ze strachu, ilekroć przypomną sobie potęgę, okrucieństwo i siłę nienawiści Tal Hajusa. Ale przed torturami będziesz przez jedną krótką godzinę moja i wiadomość o tym również dotrze do Tardos Morsa, jeddaka Helium, twojego dziadka, a gdy o tym usłyszy, z rozpaczy będzie się tarzał po ziemi. Jutro rozpoczną się tortury, ale tej nocy należysz do Tal Hajusa! Chodź tu!

Zeskoczył z platformy i chwycił ją brutalnie za ramie. Nic więcej nie zdążył zrobić, gdyż wpadłem między nich z krótkim mieczem, połyskującym w mojej prawej dłoni. Mogłem go wbić w jego serce zanim by się zorientował co się dzieje, ale pomyślałem o Tars Tarkasie i mimo wypełniającej mnie nienawiści i gniewu, nie mogłem go pozbawić tej słodkiej chwili, dla której żył od tylu długich lat. Zadowolilem się więc rąbnięciem Tal Hajusa z całej siły pięścią w twarz. Osunął się na ziemię jak nieżywy, nie wydając jednego dźwięku.

Wśród grobowej ciszy złapałem Dejah Thoris za rękę, skinąłem na Sole i wyszliśmy z sali. Wspięliśmy się po schodach na wyższe piętro i niezauważeni przez nikogo doszliśmy do wychodzącego na dziedziniec okna. Zdjąłem z siebie przytrzymujące ozdoby pasy, związałem je w linę i opuściłem Sole i Dejah Thoris na ziemię. Wyskoczyłem za nimi i kazałem im biec za sobą wokół dziedzińca, trzymając się rzucanych przez budynki cieni. W ten sposób wróciliśmy na skraj miasta, tą samą drogą, którą przeszedłem niedawno samotnie.

Dotarliśmy do thoatów, czekających tam, gdzie je zostawiłem. Założyliśmy im uprząż i wyprowadziliśmy przed budynek na ulicę. Solą wsiadła na jednego, ja i Dejah Thoris na drugiego i wyjechaliśmy, z miasta Thark, mijając otaczające je od południa wzgórza. Zamiast okrążyć miasto i pojechać na północny zachód w stronę najbliższej drogi wodnej, skierowaliśmy się na północny wschód i wjechaliśmy na porośnięte mchem pustkowie, za którym w odległości dwustu niebezpiecznych i meczących mil leżała inna prowadząca do Helium droga.

Nie powiedzieliśmy ani słowa aż do chwili, gdy miasto zostało już daleko za nami, przez cały jednak czas słyszałem za sobą oddech Dejah Thoris, opierającej głowę o moje ramie.

- Jeśli nam się uda, mój dowódco - szepnęła - Helium będzie miało wobec ciebie ogromny dług wdzięczności, tak wielki, że nigdy nie zdoła się wypłacić: Jeśli nam się nie powiedzie, ten dług wcale nie będzie mniejszy, gdyż uratowałeś, ostatnią z naszego rodu od losu gorszego niż śmierć.

Nie odpowiedziałem, lecz sięgnąłem ku jej dłoni, trzymającej się mego boku i uściśnąłem mocno. Potem jechaliśmy w milczeniu przez zalaną księżycowym światłem żółtą równinę, pogrążeni we własnych myślach. Ja, gdybym nawet próbował, nie mógłbym czuć niczego innego niż radość i mimo niebezpieczeństw, jakie nas jeszcze czekały, moje serce, czując bliską obecność Dejah Thoris biło tak wesoło, jakbyśmy już wjeżdżali w bramy Helium.

Nasze pierwotne plany spaliły na panewce i teraz byliśmy pozbawieni jedzenia i picia, a tylko ja

byłem uzbrojony. Zmuszaliśmy więc nasze thoaty do szybkiego biegu, mimo iż wiedzieliśmy, że zanim dotrzemy do jakiegoś miejsca, które nadawałoby się na zakończenie pierwszego etapu podróży, taki wysiłek może je drogo kosztować.

Jechaliśmy całą noc i cały następny dzień, robiąc tylko kilka krótkich przerw na odpoczynek. Następnej nocy wszyscy, zarówno my, jak i nasze zwierzęta, byliśmy kompletnie wyczerpani. Położyliśmy się więc na mchu i przespaliśmy pięć czy sześć godzin, wyruszając znowu w drogę przed nastaniem nowego dnia. I znów jechaliśmy cały dzień, a gdy do późnych godzin popołudniowych nie zauważyliśmy w oddali rzędów drzew, które na całym Barsoomie porastają brzegi dróg wodnych, musieliśmy pogodzić się ze straszną prawdą – zblądziliśmy. Najwyraźniej zboczyliśmy z właściwego kierunku, ale nie potrafiliśmy określić, w którą stronę. W każdym razie w zasięgu naszego wzroku nie było ani śladu drogi wodnej, a cała nasza grupa niemal padała z głodu, pragnienia i wyczerpania. Daleko przed nami, nieco w prawo zauważyliśmy pasmo niskich gór i postanowiliśmy do nich dotrzeć, mając nadzieję że z jakiegoś wzniesienia zdołamy dojrzeć znaki, świadczące o bliskości kanału. Zanim do nich dojechalśmy zapadła noc i ułożyliśmy się do snu, niemal mdlejąc z wyczerpania i osłabienia.

Zostałem obudzony przez jakieś tulące się do mnie olbrzymie cielsko, a gdy otworzyłem oczy zobaczyłem mego wiernego Woole, leżącego tuż obok mnie. Biedne zwierzę pobiegło za nami przez pustkowia, by dzielić nasz los, jakikolwiek on będzie. Objąłem rękami jego szyję i przytuliłem do pyska policzek. Nie wstydzę się tego, że to zrobiłem, ani łez, które popłynęły mi z oczu, gdy pomyślałem o jego przywiązaniu. Wkrótce potem Solą i Dejah Thoris obudziły się również i zdecydowaliśmy wyruszyć natychmiast, aby jak najprędzej dotrzeć do wzgórz.

Przejechaliśmy może mile, gdy zauważyłem, że mój thaat zaczyna się potykać, chwiać i popiskiwać żałośnie, mimo iż od poprzedniego południa nie zmuszaliśmy zwierząt do większego wysiłku niż marsz. Nagle thaat pochylił się gwałtownie na jedną stronę, a potem runął na ziemię. Dejah Thoris i ja zostaliśmy wyrzuceni i upadliśmy na mech, nie robiąc sobie na szczęście nic złego. Jednak zwierzę było w pożałowania godnym stanie i, mimo że uwolnione od naszego ciężaru, nie było nawet zdolne się podnieść. Solą powiedziała, że chłód nocy oraz wypoczynek powinny wrócić mu siły, zdecydowałem więc, że go nie zabije, chociaż w pierwszej chwili miałem taki zamiar, gdyż okrucieństwem wydawało mi się pozostawienie zwierzęcia samego, na straszną śmierć z głodu i pragnienia. Zdjąłem z niego uprząż i zostawiliśmy je własnemu losowi, ruszając dalej z jednym tylko thoatem. Solą i ja szliśmy na piechotę, Dejah Thoris zmusiliśmy natomiast wbrew jej woli, by jechała. Zbliżyliśmy się w ten sposób na odległość około mili do wzgórz, gdy nagle Dejah Thoris, siedząca wysoko na grzbiecie thoata i dzięki temu lepiej widząca okolice, krzyknęła, że kilka mil od nas, z wąwozu między wzgórzami wyjeżdża duży oddział. Solą i ja spojrzeliśmy w tym kierunku i zobaczyliśmy kilkuset jadących wierzchem wojowników, wydawali się zmierzać na południowy zachód, a jeśli tak, to znaczyło, że będą się od nas oddalać.

Byli to bez wątpienia wojownicy tharkijscy, którzy zostali wysłani, aby nas schwytać i westchnęliśmy z ulgą, gdy się upewniliśmy, że jadą w przeciwną stronę.. Szybko zdjąłem Dejah Thoris z thoata i kazałem zwierzęciu się położyć. My również ułożyliśmy się, obok, tuląc się do ziemi w nadziei, że żaden z wojowników nas nie zauważy.

Widzieliśmy, jak wyjechali z wąwozu, a potem skryli się za następnym wzgórzem – dla nas był to bardzo pomyślny przypadek, gdyż musieliby nas zauważyć, gdyby jechali dłużej po otwartej przestrzeni. Jednak ostatni wojownik zatrzymał się i, ku naszemu przerażeniu, wyjął małą, lecz bardzo silną lornetkę, przez którą zaczął przepatrywać okolice we wszystkich kierunkach. Najwyraźniej był dowódcą – w niektórych rodzajach kolumn marszowych zielonych ludzi dowódca

jechał na samym końcu, za całym oddziałem. Gdy lornetka zwróciła się, w naszą stronę, poczułem zimny pot, występujący mi na całym ciele. Lornetka znieruchomiała. Mieliśmy nerwy napięte do ostateczności i wątpię czy którekolwiek z nas odważyło się oddychać przez te kilka chwil, w czasie których wojownik patrzył na nas. W końcu opuścił lornetkę i zauważyłem jak wykrzykiwał rozkazy do oddziału, który już skrył się za wzgórzem. Potem ruszył galopem w naszą stronę, nie czekając na innych. Dzięki temu pojawił się dla nas cień szansy, należało jednak działać błyskawicznie. Podniosłem do ramienia marsjańską strzelbę, wycelowałem i nacisnąłem spust. Nastąpił krótki ostry wybuch, gdy pocisk dosięgnął celu, a dowódca zwał się w tył z galopującego thoata. Zerwałem się na nogi, podniosłem thoata i rozkazałem Soli i Dejah Thoris wsiadać na niego i gnać w stronę wzgórz tak szybko, jak to możliwe. Wiedziałem, że wśród wawozów i żlebów znajdą jakieś tymczasowe schronienie, a nawet gdyby miały tam umrzeć z głodu i pragnienia, będzie to lepsze niż ponowne wpadnięcie w łapy Tharków. Oddałem im oba rewolwery, które mogły posłużyć przez czas jakiś do obrony lub, w razie potrzeby, jako środek ostatecznej ucieczki, eliminującej już na zawsze możliwość powtórnego schwytania. Podniosłem Dejah Thoris i posadziłem za Solą na grzbiecie thoata.

- Do widzenia, moja księżniczko - powiedziałem. - Może się spotkamy w Helium. Wydostawałem się już z gorszych opresji - kłamiąc siliłem się na uśmiech.

- Jak to? - krzyknęła. - Nie jedziesz z nami?

- Nie mogę. Ktoś musi powstrzymać przez chwile pogoń, a ja sam łatwiej się wymknę niż gdybyśmy uciekali we troje.

Zeskoczyła z powrotem na ziemię, zarzuciła mi ramiona na szyje i zwróciła się do Soli, mówiąc z godnością:

- Uciekaj, Solu! Dejah Thoris zostaje, by umrzeć z człowiekiem, którego kocha.

Te słowa są na zawsze wyryte w moim sercu. Chętnie oddałbym życie za to, by móc je jeszcze raz usłyszeć. Wtedy jednak nie mogłem zostać ani chwili dłużej w jej objęciach, przycisnąłem tylko po raz pierwszy usta do jej ust, potem odepchnąłem ją od siebie i posadziłem w siodle, rozkazując Soli, aby zatrzymała ją tam siłą. Potem popędziłem thoata i patrzyłem, jak się oddalają, a Dejah Thoris szarpie się i wyrywa z uścisku Soli.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że zieloni wojownicy weszli na wzgórze i rozglądają w poszukiwaniu swego dowódcy. Po chwili go zauważyli, a potem mnie. Natychmiast zacząłem do nich strzelać. Miałem prawie sto naboarów w magazynku strzelby i drugie sto w pasie na plecach, strzelałem więc raz za razem, aż zauważyłem, że ci wojownicy, którzy wspięli się na wzgórze polegli bądź zdążyli się schować.

Czas, jaki mi dano na wypoczynek był jednak bardzo krótki, gdyż po chwili zobaczyłem oddział, składający się z kilku tysięcy wojowników, wyjeżdżający z za wzgórz i ruszający dzikim galopem w moim kierunku. Strzelałem aż do chwili, gdy skończyły mi się naboje, a oni byli już bardzo blisko. Upewniwszy się, że Dejah Thoris i Solą już zniknęły wśród wzgórz, podniosłem się, odłożyłem nieprzydatną strzelbę i rzuciłem się do ucieczki w kierunku przeciwnym do tego, w którym odjechały kobiety.

Jeśli jacyś Marsjanie widzieli kiedykolwiek pokaz prawdziwych skoków, to właśnie ścigający mnie wojownicy. Skakałem, wkładając w to wszystkie siły, a oni gonili mnie zawzięcie. Jednak w pewnym momencie potknąłem się o jakiś kamień i runąłem jak długi na żółty mech. Gdy podniosłem wzrok stali nade mną i mimo że wyciągnąłem miecz, chcąc sprzedać swoje życie jak najdrożej, wkrótce było już po wszystkim. Zacząłem chwiać się pod naporem ich ciosów, spadających na mnie jak wodospad, huczało mi w głowie, wszystko wokół zaczęło ciemnieć i w końcu upadłem, straciwszy przytomność.

W kajdanach

Musiało upłynąć kilka godzin zanim przyszedłem do siebie i doskonale pamiętam zdziwienie, jakie mnie opanowało, gdy stwierdziłem, że nie jestem martwy.

Leżałem na stercie jedwabiu i futer w kącie niewielkiego pomieszczenia. Nachylała się nade mną stara, brzydka kobieta, a obok stało kilku zielonych wojowników. Gdy otworzyłem oczy, kobieta powiedziała do jednego z wojowników:

- Będzie żył, jedzie.

- To bardzo dobrze - odpowiedział ten, do którego się zwróciła i podszedł do mojego pośłania. - Dostarczy nam wiele atrakcji podczas wielkich igrzysk.

Spojrzałem na niego i stwierdziłem, że nie był to Thark, gdyż jego insygnia i ozdoby wyglądały zupełnie inaczej. Był bardzo wysoki i potężny, twarz i pierś miał porwana bliznami, jeden kiel złamany i odcięte ucho. Na piersi wisiał mu naszyjnik z ludzkich czaszek, przeplatanych wyschniętymi ludzkimi rękami.

Wzmianka o wielkich igrzyskach, o których tak wiele słyszałem od Tharków, przekonała mnie, że wpadłem z deszczu pod rynnę.

Marsjanin zamienił jeszcze kilka słów z kobietą, a gdy zapewniła go, że mogę podróżować rozkazał byśmy dosiedli wierzchowców i pojechali za główną kolumną.

Zostałem mocno przywiązany do najbardziej dzikiego i nieposłusznego thoata, jakiego kiedykolwiek widziałem. Po obu jego stronach ustawili się na swoich wierzchowcach dwaj wojownicy, najwyraźniej w celu uniemożliwienia zwierzęciu ucieczki i ruszyliśmy galopem, starając się dogonić kolumnę.

Rany prawie wcale mi nie, dokucz aby. Był to rezultat wspaniałych właściwości leków i zastrzyków, które zastosowała stara kobieta oraz niezwykle starannego opatrzenia i zabandażowania skaleczeń.

Krótko przed zapadnięciem ciemności dołączyliśmy do głównych sił, które zdążyły już rozbić obóz na noc. Natychmiast zaprowadzono mnie do wodza, którym, jak się okazało, był sam jeddak Warhoonu.

Podobnie jak jed, który mnie przywiózł, był on przerażająco poznaczony bliznami i również nosił napierśnik z ludzkich czaszek i suszonych rąk, który zdawał się być ozdobą mającą świadczyć o okrucieństwie wszystkich wielkich wojowników.

Jeddak Bar Comas, stosunkowo młody, był przedmiotem dzikiej nienawiści i zazdrości swego porucznika, Dak Kova – jeda, który mnie schwytał. Nie mogłem nie zauważyć nieustannych wysiłków jeda, starającego się w wymyślny sposób obrażać swego zwierzchnika. Gdy stanęliśmy przed jeddakiem, całkowicie pominął zwykłe, formalne powitanie i, wypchnąwszy mnie przed siebie, głośno, wyzywającym tonem powiedział:

- Przyprowadziłem dziwne stworzenie, noszące insygnia Tharków. Mam zamiar zmusić go do walki z dzikim thoatem podczas wielkich igrzysk.

- Umrze w taki sposób, jaki uzna za odpowiedni Bar Comas, twój jeddak, jeśli w ogóle umrze -

powiedział młody władca z godnością.

- Jeśli w ogóle umrze? - ryknął Dak Kova. - Klnę się na ręce umarłych zawieszane na mojej piersi, że on umrze, Bar Comasie. Twoja sentymentalna słabość go nie uratuje. O, niechby Warhoon był wreszcie rządzony przez prawdziwego jeddaka, a nie przez zniewieściałego młodzika z wodą zamiast krwi w żyłach, z którego nawet stary Dak Kova potrafiłby zedrzeć insygnia gołymi rękoma!

Bar Comas patrzył przez chwile na zuchwałego, nieposłusznego dowódcę, a w jego oczach nie było cienia strachu, tylko pogarda i nienawiść. Potem bez jednego słowa, nie sięgając po broń rzucił się do gardła dowódcy.

Nigdy przedtem nie widziałem marsjańskich wojowników walczących swą naturalną bronią. Zwierzęca drapieżność, emanująca z ich postaci była tak przeraźliwa, iż trudno ją opisać słowami. Próbowali wydrapać sobie oczy, oberwać uszy, bez przerwy cieli się, kąsali i pruli ogromnymi kłami, aż obaj sprawiali wrażenie poszarpanych na strzępy od stóp do głów.

Bar Comas brał wyraźnie górę, był silniejszy, szybszy i inteligentniejszy. Wydawało się, że walka dobiega końca i wkrótce zostanie zadane śmiertelne uderzenie, gdy nagle Bar Comas pośliznął się w kałuży krwi, usiłując zrobić unik przed ciosem przeciwnika. Odstonił się na chwile j to było wszystko, czego Dak Kova potrzebował. Rzucił się naprzód, zatopił swój jedyny kiel w brzuchu jeddaka i ostatnim, szaleńczym wysiłkiem rozpruł go całego, aż po szczękę. Zwycięzca i pokonany zwalili się na mech, tworząc ogromną nieruchomą masę poszarpanego, zakrwawionego mięsa.

Bar Comas był martwy, a Dak Kove od losu, na jaki w pełni zasługiwał ustrzegły tylko niezwykle wysiłki jego kobiet. Trzy dni później już bez pomocy podszedł do ciała Bar Comasa, które jak nakazywał zwyczaj, ciągle leżało w tym miejscu, w którym upadło i postawiwszy stopę, na szyi byłego władcy przybrał tytuł jeddaka Warhoonu.

Głowa i ręce zabitego jeddaka zostały odcięte i dołączyły do napierśnika zwycięzcy, zaś pozostałe szczątki zostały spalone przez kobiety wśród dzikich, przeraźliwych śmiechów.

Rany odniesione przez Dak Kove opóźniły marsz tak bardzo, że odłożono, na okres po zakończeniu wielkich igrzysk, wyprawę na małe plemię Tharków w odwet za zniszczenie inkubatora. Cały oddział, liczący prawie dziesięć tysięcy wojowników, ruszył w drogę powrotną do Warhoonu.

Opisana wyżej walka była tylko pierwszą z całego szeregu podobnych, które oglądałem niemal bez przerwy podczas mego pobytu wśród tych okrutnych i żądnych krwi istot. Byli mniej liczni niż Tharkowie, ale znacznie bardziej dzicy i krwiożerczy. Nie było dnia, któryby minął bez starcia między należącymi do różnych plemion wojownikami. Raz byłem świadkiem aż ośmiu śmiertelnych pojedynków.

Przybyliśmy do Warhoonu po trzydniowym marszu i natychmiast potem zaprowadzono mnie do piwnicy i przykuto łańcuchami do ściany i podłogi. Przynoszono mi co pewien czas pożywienie, ale wskutek tego, że w moim więzieniu panowały kompletne ciemności nie wiedziałem czy siedzę tam dni, tygodnie czy miesiące. Było to najstraszniejsze doświadczenie w całym moim życiu i do dzisiaj się dziwie, że w tej ciemnicy nie zwariowałem. Mieszkały tam jakieś pełzające i wijące się stwory, gdy leżałem łaziły po mnie zimne, dziwaczne cielska, a od czasu do czasu widziałem utkwione we mnie spojrzenia dzikich; pałających oczu. Z leżącego nade mną świata nie docierał żaden dźwięk, a przynoszący mi jedzenie strażnik również nie. odzywał się ani słowem, chociaż z początku zasypywałem go pytaniami.

Wkrótce cała nienawiść i maniackalny wstręt, jakie czułem do istot, które umieściły mnie w tego typu miejscu skupiły się na tym strażniku. Stał się on dla mnie symbolem całej hordy Warhończyków.

Zauważyłem, że zawsze podchodził ze swą nikłą pochodnią do miejsca znajdującego się w

zasięgu moich rąk i gdy stawiał tam jedzenie jego głowa znajdowała się na poziomie mojej piersi. Gdy następnym razem usłyszałem, że się zbliża, wycofałem się z przebiegłością szaleńca w róg celi i zebrawszy w dłonie część długiego łańcucha, którym byłem przykuty, czekałem na niego zaczajony, jakbym polował na dzikiego zwierza. Pochylił się, by położyć na podłodze moje jedzenie, a ja zakręciłem łańcuchem nad głową i uderzyłem go w łeb z całą siłą, jaka mi jeszcze pozostała. Padł na podłogę martwy, bez jednego dźwięku. Śmiejąc się i chichocząc jak wariat podszedłem do ciała i sięgnąłem palcami w stronę, gardła. Wyczułem mury łańcuszek, na którego końcu wisiał pęk kluczy. Dotyk tych kluczy przywrócił mi rozsądek, już nie byłem podskakującym kretyńcem, ale trzeźwo myślącym więźniem, trzymającym w ręku klucze od swego więzienia.

Gdy starałem się zdjąć łańcuszek z szyi mojej ofiary, podniosłem na chwile wzrok i zobaczyłem sześć par nieruchomych, utkwionych we mnie oczu. Zaczęły się powoli zbliżać, a ja cofałem się, zdjęty panicznym strachem. Wtuliłem się w kąt, z rękami wyciągniętymi przed siebie, a oczy zbliżały się i wreszcie zatrzymały nad martwym ciałem u moich stóp. Potem zaczęły się powoli cofać i tym razem towarzyszył temu dziwny skrzypiący dźwięk. Wreszcie zniknęły w głębi pieczary.

Walka na arenie

Z wolna przychodziłem do siebie i odzyskiwałem zdolność trzeźwego myślenia. Wreszcie postanowiłem podjąć ponowną próbę zdjęcia kluczy z martwego ciała mojego byłego strażnika. Jednak, gdy podszedłem do miejsca, w którym ono powinno leżeć i w ciemnościach zacząłem macać wokół rękami, z przerażeniem zauważyłem, że ciało zniknęło. Zrozumiałem, iż stwory z celi zawlekły je do jakiejś kryjówki w pobliżu, aby je pożreć. Pojąłem również, że czekają one od samego początku, od pierwszej chwili, którą spędziłem w tym lochu, aby z moim trupem zrobić to samo.

Przez dwa dni nie przynoszono mi jedzenia, ale potem zjawił się nowy strażnik i czas niewoli zaczął upływać tak jak przedtem. Teraz jednak już nie pozwalałem, aby mój rozum znów został zmacony przez grozę sytuacji.

Niedługo potem przyprowadzono i przykuto niedaleko ode mnie nowego więźnia. W świetle pochodni zobaczyłem, że był to czerwony Marsjanin i z niecierpliwością czekałem na odejście strażników, by rozpocząć z nim rozmowę. Gdy oddalające się kroki wreszcie umilkły, powiedziałem łagodnie „kaor” – słowo, oznaczające powitanie.

- Kim jesteś, ty, który mówisz w ciemnościach? - spytał.

- John Carter, przyjaciel czerwonych ludzi z Helium.

- Pochodzę z Helium - powiedział - ale nie przypominam sobie twego imienia.

Opowiedziałem mu moją historię tak, jak ją tutaj opisałem, pominąłem jednak milczeniem moją miłość do Dejah Thoris. Był bardzo ucieszony wiadomościami o księżniczce Helium. Uważał, że z tego miejsca, w którym je zostawiłem Dejah Thoris i Sola mogły z łatwością dotrzeć w bezpieczne okolice. Powiedział, że doskonale zna tamte strony, gdyż wąwóz, przez który przeszli Warhoonczycy przed schwytaniem mnie był jedyną drogą, wiodącą na południe i korzystali z niego wszyscy.

Dejah Thoris i Sola prawdopodobnie dotarły do wzgórz w odległości nie większej niż pięć mil od drogi wodnej i teraz już są zapewne zupełnie bezpieczne - mówił. Moim towarzyszem niedoli był Kantos Kan, padwar (porucznik) floty Helium. Uczestniczył w tej niefortunnej ekspedycji, która natknęła się na Tharków, w wyniku czego Dejah Thoris dostała się w ich ręce. Opowiedział pokrótce wypadki, jakie miały miejsce po kiesce statków w starciu z Tharkami. Ciężko uszkodzone i tylko pobieżnie ponaprawiane leciały powoli w stronę Helium, jednak gdy mijały miasto Zodanga, stolicę najbardziej zaciekłych wśród czerwonych ludzi wrogów Helium, zostały napadnięte przez dużą grupę statków bojowych i niemal wszystkie uległy zniszczeniu lub dostały się w ręce napastników. Ocalał tylko statek, do którego załogi należał Kantos Kan. Przez trzy dni uciekał przed pogonią, w końcu zdołał się jej wymknąć dzięki ciemnościom bezksiężycowej nocy.

Trzydzieści dni po dostaniu się Dejah Thoris do niewoli, czyli mniej więcej w tym samym czasie, gdy przybyliśmy do Tharku, statek dotarł do Helium, mając na pokładzie tylko dziesięciu ludzi z załogi, która liczyła siedmiuset oficerów, żołnierzy i uczonych. Natychmiast siedem potężnych flotylli, każda licząca po sto statków bojowych, udało się na poszukiwanie Dejah Thoris.

Mszczące się oddziały starły z powierzchni ziemi dwa plemiona zielonych Marsjan, ale na ślad księżniczki nie natrafiono. Poszukiwania były prowadzone wśród plemion zamieszkujących północne

regiony i dopiero kilka dni temu objęto nimi również południe.

Kantos Kan został wyznaczony na pilota małej, jednoosobowej łodzi rozpoznawczej i na skutek nie szczęśliwego zbiegu okoliczności został złapany przez Warhończyków w trakcie przeszukiwania ich miasta. Odwaga tego człowieka wzbudziła we mnie głęboki szacunek. W pojedynkę wylądował na granicy miasta, przeszedł aż do placu, a potem starannie i metodycznie przeszukał stojące wokół niego budynki. W ręce zielonych wojowników wpadł po dwóch dniach poszukiwań, gdy ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, że księżniczki tam nie było i właśnie zamierzał udać się w drogę powrotną. W czasie naszego wspólnego uwięzienia poznaliśmy się wzajemnie bardzo dobrze i poczuliśmy do siebie szczerą sympatię. Jednak nie było nam dane przebywać długo razem, gdyż kilka dni po jego przybyciu wyprowadzono nas z lochów. Nadszedł czas wielkich igrzysk. Pewnego poranka zaprowadzono nas do ogromnego amfiteatru. Był on dla mnie nowością architektoniczną, gdyż nie został wybudowany na powierzchni, ale mieścił się w wielkiej, wykopanej w ziemi jamie. Trudno było ocenić jego pierwotne rozmiary, gdyż teraz był już częściowo zrujnowany i wypełniony obsuniętą ziemią. Jednak nawet w tym stanie mógł pomieścić wszystkie plemiona Warhończyków – dwadzieścia tysięcy ludzi. Arena była bardzo duża, ale chropowata i nierówna. Otoczono ją murem, ułożonym z kamieni pochodzących ze zrujnowanych budynków, by uniemożliwić zwierzętom i więźniom ucieczkę, na widownię. W każdym jej końcu ustawiono klatki, w których zawodnicy oczekiwali na chwilę, gdy przyjdzie ich kolej, by wyszli na arenę i umarli. Kantos Kan i ja znaleźliśmy się razem w jednej z takich klatek, w innych były dzikie kaloty, thoaty, wściekłe zitidary, zieloni wojownicy, kobiety z innych społeczności i wiele innych dziwnych bestii, których nigdy przedtem nie widziałem. Ryki, piski, pomruki zlewały się w jeden ogłuszający hałas, a widok każdego z tych monstrów z osobna mógłby wypełnić najmężniejsze serce przecuciem śmierci.

Kantos Kan wyjaśnił mi, że pod koniec dnia jeden z więźniów odzyska wolność, a pozostali zginą. Zwycięzcy różnych walk będą się potykać ze sobą, aż; tylko dwóch pozostanie przy życiu. Ten, który zwycięży w ostatniej walce zostanie wypuszczany na wolność, bez względu na to, czy będzie to zwierzę czy człowiek. Następnego ranka w klatce znajdą się nowe ofiary, turniej zostanie powtórzony i tak będzie się dziać przez dziesięć dni igrzysk.

Wkrótce po umieszczeniu nas w klatkach amfiteatr zaczął się zapęłniać i po godzinie wszystkie miejsca były zajęte przez tłoczących się widzów. Dak Kova usiadł w otoczeniu jedów i dowódców w centrum amfiteatru na ustawionym dla niego dużym podwyższeniu.

Na sygnał jeddaka otworzono drzwi dwóch klatek i dwanaście zielonych kobiet wybiegło na środek areny. Każdej z nich wręczono sztylet, a potem z przeciwległego końca areny wypuszczono kaloty, dzikie psy. Zwierzęta, warcząc i parskając, rzuciły się na niemal bezbronne kobiety, a ja odwróciłem głowę, by nie patrzeć na tę okropną scenę. Wrzaski i śmiech widzów świadczyły, że widowisko było wspaniałe, a gdy Kantos Kan powiedział, że się już skończyło i z powrotem spojrzałem na arenę zobaczyłem, że nad martwymi ciałami powarkiwały tylko trzy zwycięskie kaloty. Kobiety drogo sprzedały swoje życie. Potem na trzy ocalałe psy wpuszczono wściekłego zitidara i w ten sposób zaczął się długi, upalny, straszliwy dzień. Mnie wystawiono najpierw przeciwko ludziom, a potem przeciw zwierzętom, ale dzięki temu, że byłem uzbrojony w miecz i przewyższałem każdego z moich przeciwników zwinnością, a część z nich także siłą, ze wszystkimi uporałem się stosunkowo łatwo. Wielokrotnie żądny krwi tłum nagradzał mnie gorącymi oklaskami, a pod koniec dnia rozległy się nawet okrzyki, aby mnie zabrać z areny i zrobić członkiem ich społeczności. W końcu zostało nas tylko trzech – ogromny zielony wojownik któregoś z północnych plemion, Kantos Kan i ja. Najpierw mieli walczyć Kantos Kan i zielony wojownik, a ostateczna walka, ta, w której nagrodą była wolność, miała się odbyć między mną a zwycięzcą ich pojedynku. Kantos Kan stoczył tego dnia kilka

pojedyneków, z wszystkich, podobnie jak ja, wychodząc zwycięsko. Jednak często, szczególnie w starciach z zielonymi wojownikami, jego przewaga była bardzo niewielka. Nie miałem dużej nadziei na to, że uda mu się pokonać ogromnego zielonego Marsjanina, który przedtem dosłownie miażdżył swoich przeciwników. Miał blisko szesnaście stop wzrostu, podczas gdy Kantos Kanowi brakowało kilka cali do sześciu.

Zacząli iść ku sobie i po raz pierwszy dane mi było zobaczyć, by ktoś zastosował tego typu sztuczkę, na jakiej Kantos Kan oparł swoją nadzieję, na zwycięstwo. Decydując się na nią postawił życie na jedną kartę. Zbliżył się na odległość około dwudziestu stóp do swego ogromnego przeciwnika i nagle wyrzucił w górę i do tyłu tę rękę, w której trzymał miecz, wziął potężny zamach i cisnął broń w szeroką pierś przed sobą. Ostrze poleciało jak strzała i wbiło się w serce zielonego wojownika, kładąc go trupem na miejscu.

Teraz Kantos Kan i ja musieliśmy stanąć naprzeciw siebie. Zdołałem mu szepnąć, aby przeciągnął walkę aż do zmroku, gdyż miałem nadzieję, że uda nam się wtedy znaleźć jakiś sposób ucieczki. Tłum jakby się domyślił, że niechętnie ze sobą walczymy i w tych chwilach, w których wyraźnie unikaliśmy zadawania groźnych, decydujących ciosów był z wściekłości. Gdy zauważyłem, że wkrótce zapadną ciemności, szepnąłem Kantos Kanowi, by wetknął swój miecz między moje lewe ramię, a ciało. Zrobił to, a ja się zatoczyłem do tyłu i upadłem na ziemię. Z dalszej odległości i w niepewnym już świetle mogło to wyglądać jakby miecz rzeczywiście sterczał z mojej piersi. Kantos Kan szybko podszedł do mnie, postawił mi stopę na szyi i wyciągnąwszy ostrze z mego ciała, zadał mi ostatni, śmiertelny cios, który wydawał się przecinać aortę szyjną, lecz w rzeczywistości ugrzązł tuż obok. Ciemności, które już spowiły arenę ukryły prawdę przed wzrokiem widzów i wszyscy uważali, że zostałem właśnie dobity. Szepnąłem Kantos Kanowi, aby wykorzystał zdobytą wolność i czekał na mnie na wzgórzach na wschód od miasta. Skinął lekko głową i odszedł.

Poczekalem aż amfiteatr opustoszał i wyczołgałem się z niego ostrożnie, a ponieważ był położony w odległej od centralnego placu, nie zamieszkaney i rzadko w normalne dni odwiedzanej części miasta, nie miałem większych kłopotów w dotarciu do okolicznych wzgórz.

W fabryce powietrza

Czekałem na Kantos Kana przez dwa dni. Nie pojawił się jednak. Potem poszedłem na północny zachód, gdzie, jak mi mówił, znajdowała się najbliższa droga wodna. Moim jedynym pożywieniem było mleko, uzyskiwane z rośliny, którą na szczęście w tych okolicach dosyć łatwo było odnaleźć. Błąkałem się przez dwa długie tygodnie. Szedłem tylko nocą, kierując się światłem gwiazd. W dzień chowałem się za jakieś przygodne skały lub wśród mijanych od czasu do czasu wzgórz. Kilka razy zostałem zaatakowany przez dzikie zwierzęta – jakieś dziwne bestie, które skakały na mnie w ciemności, zmuszając do ciągłego niesienia miecza w dłoni. Zwykle moje nowo nabyte zdolności telepatyczne ostrzegały mnie na czas, ale którejś nocy zanim się zorientowałem, że coś mi zagraża zważyło się na mnie jakieś cielsko, poczułem żaby na szyi i zobaczyłem tuż przed moją twarzą owłosiony pysk. Nie wiem, co to było za stworzenie, ale czułem, że było ciężkie, duże i miało wiele kończyn. Zanim zdołało zatopić zęby w moim karku schwyciłem je za gardło i powoli odpychałem od siebie włochaty pysk, zaciskając palce na tchawicy.

Bestia starała się dosięgnąć kłami mego gardła, a ja próbowałem utrzymać chwyt i wreszcie ją zadusić. Stopniowo jednak ramiona mi słabły i błyszczące kły cal za calem zaczęły się ku mnie zbliżać. Gdy poczułem na twarzy dotyk włochatego pyska, zdałem sobie sprawę, że to już koniec. Nagle z ciemności wyprysnęło jakieś drugie zwierze i rzuciło się na przygniatającą mnie do ziemi bestię. Oba stwory potoczyły się po mchu, gryząc i szarpiąc się wzajemnie. Wkrótce jednak było już po wszystkim. Mój wybawca stał ze spuszczonego łbem nad gardłem mojego niedoszłego zabójcy. Wszedł właśnie bliższy księżyc i w jego świetle zobaczyłem, że stworzeniem, które mnie uratowało był Woola, ale w żaden sposób nie mogłem odgadnąć ani skąd przybył, ani jak mnie odnalazł. Nie muszę chyba wspominać, że byłem bardzo zadowolony z jego obecności, jednak moja radość była zmacona niepokojem o Dejah Thoris. Wiedziałem, że Woola bardzo wiernie wykonywał moje rozkazy i tylko śmierć księżniczki mogła być powodem, dla którego ją opuścił.

Biedne zwierze było zaledwie cieniem siebie samego z tego okresu, w którym widziałem je po raz ostatni, a gdy uwolniło się z moich pieszczot i zaczęło żarłocznie pożerać martwe ciało swego przeciwnika zrozumiałem, że było straszliwie wygłodniałe. Ja również byłem w niewiele lepszym stanie, ale nie zdecydowałem się na zjedzenie surowego mięsa, a nie miałem żadnego sposobu, by rozpalić ogień. Gdy Woola skończył posiłek znów ruszyłem na ciężkie i jak się wydawało nie mające końca poszukiwania drogi wodnej. Rankiem piętnastego dnia mojej wędrówki z ogromną radością zauważyłem wysokie drzewa, świadczące, że wreszcie natknąłem się na obiekt moich poszukiwań. Około południa dowlokłem się do ogromnego budynku o powierzchni prawdopodobnie nie mniejszej niż cztery mile kwadratowe, wysokiego na około dwieście stóp. W zupełnie gładkich ścianach znalazłem tylko jedno małe drzwi. Były zamknięte. Wokół nie zauważyłem żywej duszy. Usiadłem wyczerpany przez drzwiami i zacząłem wzrokiem szukać dzwonka lub jakiegoś innego przyrządu za pomocą którego mógłbym oznajmić mieszkańcom tego gmachu o mojej obecności. Dostrzegłem mały, okrągły otwór umieszczony obok drzwi i pomyślałem, że może to być jakiś rodzaj tuby. Podniosłem się i zbliżyłem do niego usta. Nie zdążyłem jednak nic powiedzieć, gdyż z otworu dobiegł mnie głos,

pytający kim jestem, skąd pochodzę i po co tu przyszedłem. Odpowiedziałem, że uciekłem z Warhoonu i umieram z głodu i wyczerpania.

- Nosisz insygnia zielonego wojownika, idzie za tobą kalot, a masz postać taką, jak czerwoni ludzie. Kolor twojej skóry nie jest jednak ani zielony, ani czerwony. W imię dnia dziewiątego, kim jesteś?

- Jestem przyjacielem czerwonych ludzi i umieram z głodu. W imię ludzkich uczuć, otwórzcie mi - odpowiedziałem.

Drzwi drgnęły i zaczęły się cofać w tył, aż zagłębiły się w ścianę na około pięćdziesiąt stóp. Potem się zatrzymały i odsunęły gładko w lewo. Za nimi ukazał się krótki, wąski korytarz, zakończony następnymi drzwiami, identycznymi jak te, przez które przed chwilą przeszedłem. Nie zauważyłem nikogo, ale natychmiast, gdy Woola i ja minęliśmy pierwsze drzwi zamknęły się one za nami łagodnie i wycofały na swoją pierwotną pozycję we frontowej ścianie budynku. Zauważyłem, że były niezwykle masywne, miały około dwudziestu stóp grubości, a gdy dotarły na swoje miejsce z sufitu korytarza wysunęły się duże stalowe cylindry i ich końce zanurzyły się w otworach, które pojawiły się w podłodze. Drugie, a potem trzecie drzwi cofały się przede mną i tak jak pierwsze odsuwały w bok. Gdy je minąłem, wszedłem do dużego wewnętrznego pomieszczenia, w którym na wielkim kamiennym stole znalazłem jedzenie i napoje. Ten sam głos powiedział, abym zaspokoił głód i nakarmił swego kalota, a potem, gdy z niemalą przyjemnością zająłem się jedzeniem, zarzucił mnie pytaniami.

- To wszystko jest bardzo dziwne - powiedział po zakończeniu wypytywania - ale najwyraźniej mówisz prawdą. Na pewno nie pochodzisz z Barsoomu. Stwierdziłem to, przyjrzawszy się twemu mózgowi, dziwnemu umiejscowieniu wewnętrznych organów oraz wielkości i kształtowi serca.

- Możesz zajrzeć w moje ciało?! - krzyknąłem.

- Tak, mogę zajrzeć we wszystko, poza twymi myślami, a gdybyś był z Barsoomu również w nich mógłbym czytać, jak w otwartej księdze.

W ścianie naprzeciw mnie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł dziwny, mały, zasuszony człowieczek. Jedynym jego ubraniem, czy ozdobą był niewielki złoty kołnier, przy którym wisiał duży napierśnik, gęsto wysadzany diamentami. W jego centrum widniał dziwny kamień o średnicy około jednego cala, rozszczepiający światło na dziewięć promieni, przy czym siedem z nich było takich, jak w naszym ziemskim widmie, natomiast kolory dwóch pozostałych były dla mnie zupełnie nowe. Nie potrafię ich opisać, tak jak nikt z was nie potrafi opisać koloru, na przykład czerwieni, człowiekowi ślepemu. Wiem jedynie, że były bardzo piękne.

Stary człowiek usiadł koło mnie i rozmawialiśmy przez wiele godzin. Najdziwniejsze było w naszej wymianie zdań to, że ja potrafiłem odczytać każdą jego myśl, podczas gdy on na temat moich nic nie wiedział, póki pozostawały nie wypowiedziane.

Nie zdradziłem mu, że czytam w jego myślach i dzięki temu dowiedziałem się wielu rzeczy, które w przyszłości okazały się mi niezwykle przydatne, a których nigdy bym nie poznał, gdyby on o tym wiedział, gdyż Marsjanie tak doskonale panują nad swoim mózgiem, iż potrafią kontrolować myśli z absolutną precyzją.

W gmachu, w którym siedzieliśmy znajdowała się maszyna produkująca sztuczne powietrze, wypuszczane w atmosferę w celu podtrzymania życia na Marsie. Sekret procesu produkcyjnego polegał na użyciu dziewiątego promienia z tych, które rzucił kamień, umieszczony w centrum napierśnika u mego gospodarza.

Ten promień był wydzielany z innych promieni słonecznych przez skomplikowane instrumenty, umieszczone na dachu budynku. Trzy czwarte jego powierzchni zajmują zbiorniki, w których ów

promień jest magazynowany. Następnie ten produkt jest poddawany działaniu elektryczności, a raczej łączony w pewnej proporcji z wysublimowanymi wibracjami elektrycznymi, a potem przepompowywany do pięciu wielkich zbiorników, rozrzuconych po całej planecie i wypuszczany, by połączył się z atmosferą.

W gmachu zawsze jest zmagazynowany wystarczający zapas dziewiątego promienia, aby przez tysiące lat utrzymać atmosferę Marsa w takim stanie, jak jest obecnie, a jedyne zagrożenie stanowi możliwość zajścia jakiegoś nieprzewidzianego wypadku, w wyniku którego uszkodzeniu ulegną urządzenia pompujące.

Starzec zaprowadził mnie do pomieszczenia, w którym znajdowało się dwadzieścia pomp każda zdolna zapewnić dostawę powietrza dla całego Marsa i powiedział mi, iż od ośmiuset lat opiekuje się tymi pompami, pracującymi kolejno, każda jedną marsjańską dobę, czyli nieco ponad dwadzieścia cztery i pół ziemskich godzin. Ma jednego asystenta, z którym na zmianę doglądają tych urządzeń, każdy z nich spędza samotnie połowę marsjańskiego roku, czyli około trzystu czterdziestu czterech naszych dni w tej wielkiej, stojącej na odludziu fabryce.

Każdy czerwony Marsjanin od wczesnego dzieciństwa uczy się zasad funkcjonowania fabryki i przebiegu zachodzącego w niej procesu produkcji powietrza, jednak tylko dwóch jednocześnie zna sposób na przedostanie się do wnętrza tego budynku, który, mając mury pięćdziesięciostopowej grubości, jest całkowicie niedostępny. Nawet dach jest zabezpieczony przed statkiem floty powietrznej warstwą szkła o grubości pięciu stóp.

Mimo tych środków ostrożności wtajemniczeni obawiają się w głębi duszy ataku zielonych wojowników lub jakichś niespełna rozumu czerwonych ludzi, gdyż wszyscy inni Marsjanie rozumieją, że życie na ich planecie zależy od niezakłóconej pracy fabryki.

Słuchając jego myśli odkryłem ciekawy fakt – zewnętrzne drzwi są otwierane środkami telepatycznymi. Mechanizm zamków pobudzany jest przez pewną kombinację fal mózgowych. Postanowiłem wypróbować moją nowo zdobytą umiejętność, a przy okazji dowiedzieć się, jak wygląda ta kombinacja. Niby przypadkowo podczas rozmowy spytałem go, w jaki sposób zdołał mi otworzyć masywne drzwi nie zbliżając się do nich z wewnętrznego pokoju. W jego mózgu zabrzmiało przez moment dziewięć dźwięków, ale natychmiast zniknęły, a on powiedział, że jest to tajemnica, której nie może mi wyjawić. Od tej chwili jego stosunek do mnie uległ zmianie, jakby się bał, że przez zaskoczenie wydarłem mu jego wielki sekret. W spojrzeniach, jakimi mnie obrzucał i w myślach czytałem podejrzliwość i strach, jakkolwiek w dalszym ciągu rozmawiał ze mną bardzo uprzejmie.

Zanim udałem się na spoczynek obiecał mi dać list polecający do przebywającego w pobliżu oficera rolnego, który mógłby mi pomóc w dotarciu do Zodangi, najbliższego miasta czerwonych Marsjan.

- Nie mów im jednak, że twoim ostatecznym celem jest Helium, gdyż między tymi dwoma krajami toczy się wojna. Mój asystent i ja nie mamy ojczyzny, należymy do całego Barsoomu. Znak, który nosimy chroni nas wszędzie, nawet wśród zielonych ludzi, mimo iż zwykle unikamy spotkania z nimi, jeśli nie jest ono konieczne.

- A więc dobrej nocy, przyjacielu - dodał. - Śpij długo i spokojnie. Tak, śpij długo...

Uśmiechnął się przyjaźnie, ale w jego myślach odczytałem postanowienie, a potem zobaczyłem go niewyraźnie stojącego nade mną w nocy ze sztyletem w dłoni i usłyszałem na wpół sformułowane słowa: „Bardzo mi przykro, ale to dla dobra Barsoomu”.

Zamknął za sobą drzwi mojego pokoju i jego myśli urwały się nagle.

Co powinienem zrobić? Jak miałem uciec, jak pokonać te potężne ściany? Teraz, gdy zostałem

ostrzeżony, mógłbym go z łatwością zabić, ale to by nie rozwiązało problemu wydostania się. stąd, a gdyby fabryka przestała funkcjonować umarłbym zarówno ja, jak i wszyscy pozostali mieszkańcy planety, nawet Dejah Thoris, o ile jeszcze była żywa. Myśl o Dejah skłoniła mnie do całkowitej rezygnacji z planu uśmiercenia niegościnnego starca.

Ostrożnie wyszedłem z pokoju i udałem się na poszukiwanie pierwszych wielkich, prowadzących na zewnątrz drzwi. Przyszła mi do głowy szaleńcza myśl – spróbuję otworzyć potężne zamki za pomocą tych dziewięciu dźwięków, które usłyszałem w umyśle mego gospodarza.

W towarzystwie stąpającego za mną bezgłośnie Wooli skradałem się przez kilka korytarzy, potem w dół krętymi schodami, aż wreszcie dotarłem do sali, w której dziś rano zaspokajałem głód. Nigdzie nie zauważyłem mego gospodarza, ani też nie domyśliłem się, gdzie spędza te noc.

Miałem właśnie wejść do tej sali, gdy lekki szelest gdzieś z tyłu zmusił mnie do cofnięcia się w ciemność korytarza. Pociągnąłem za sobą Woola i przykucnąłem pod ścianą, otulony mrokiem.

Starzec przeszedł tuż obok mnie i wszedł do sali. Była oświetlona i zauważyłem, że trzyma w ręku długi, wąski sztylet. Po chwili zaczął go ostrzyć o kamienny stół, a w jego myślach wyczytałem, iż ma zamiar najpierw sprawdzić pompy, co zajmie około trzydziestu minut, a potem pójść do mojej sypialni i zabić mnie.

Gdy w końcu przeszedł przez sale i zniknął na schodach prowadzących do pomp, wyszedłem z cienia i przeciąwszy na ukos sale zbliżyłem się. do pierwszych z trojga stojących między mną a wolnością drzwi.

Skoncentrowałem się na masywnym zamku i wysłałem ku niemu dziewięć fal mózgowych. Czekałem z zapartym tchem na rezultat i wreszcie drzwi ruszyły powoli w moim kierunku, a potem odsunęły w bok. Mój rozkaz otworzył również pozostałe drzwi i Woola i ja wyszliśmy w ciemność nocy – wolni, ale jedyna różnica z naszym stanem sprzed doby polegała na tym, że teraz mieliśmy pełne żołądki.

Oddaliliśmy się pośpiesznie od potężnej budowli i poszliśmy na przełaj z zamiarem dotarcia do obszarów zamieszkałych najszybciej, jak to będzie możliwe. Nad ranem doszliśmy do terenów uprawnych i postanowiłem poszukać mieszkańców pierwszej farmy, na jaką się natknąłem.

Składała się ona z niskich, betonowych budynków, opatrzonych masywnymi, zamkniętymi drzwiami. Dobijałem się i nawoływałem, ale bez odpowiedzi. Zmęczony i wyczerpany bezsennością rzuciłem się na ziemię, polecając Wooli, aby został na straży.

Niedługo potem zbudziło mnie wściekłe warczenie Woola i gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem trzech czerwonych Marsjan, stojących niedaleko od nas i mierzących do mnie ze strzelb.

- Nie mam broni i nie jestem waszym wrogiem - zacząłem tłumaczyć - Byłem więźniem zielonych ludzi i staram się dotrzeć do Zodangi. Proszę was tylko o pożywienie i możliwość wypoczynku dla mnie i mego kalota oraz o wskazanie kierunku, w jakim powinienem iść dalej.

Opuścili strzelby i podeszli do nas, uśmiechając się przyjaźnie. Położyli mi prawe ręce na lewym ramieniu w przyjętym na Marsie geście pozdrowienia i zaczęli wypytywać o mnie i dzieje mojej wędrówki. Potem zabrali nas do domu, mieszczącego się niedaleko stamtąd.

Okazało się, że budynków, do których rano się dobijałem używano wyłącznie jako magazynów. Domy mieszkalne stały wśród olbrzymich drzew i były, podobnie jak wszystkie siedziby czerwonych Marsjan, unoszone na noc na wysokość czterdziestu do pięćdziesięciu stóp nad ziemią przez ogromne, ukryte w ziemi podnośniki, napędzane małymi radowymi silnikami, których pulpity sterownicze znajdowały się wewnątrz budynków. Zamiast kłopotać się instalowaniem zapór i zamków i martwić się, że zostaną one wyłamane podczas napadu, czerwoni Marsjanie unosili po prostu w nocy swoje domostwa w górę, poza niebezpieczną strefę. Dysponując również specjalnymi,

działającymi tylko w rękach właściciela urządzeniami, które pozwalają podnosić i opuszczać domy z zewnątrz, mogli także wyjeżdżać, gdy zaistniała taka konieczność, nie kłopotząc się o dobytek.

Ci trzej bracia, wraz z żonami i dziećmi, zajmowali trzy podobne do siebie budynki na terenie farmy. Nie pracowali osobiście, gdyż byli rządowymi oficerami nadzorującymi. Praca była wykonywana przez więźniów, jeńców wojennych, niewypłacalnych dłużników i starych kawalerów, zbyt biednych, by stać ich było na płacenie wysokiego, obowiązującego wszystkich czerwonych Marsjan podatku od celibatu.

Bracia byli uosobieniem serdeczności i gościnności. Spędziłem u nich kilka dni, odpoczywając i odzyskując siły po długiej i wyczerpującej wędrówce.

Gdy usłyszeli moją historię – nie wspomniałem w niej ani o Dejah Thoris, ani o starym człowieku fabryce powietrza – poradzili mi, abym pomalował ciało na kolor bardziej zbliżony do koloru skóry rasy i spróbował znaleźć zatrudnienie w Zodandze w armii albo we flocie powietrznej.

- Małe są szansę na to, aby od razu uwierzono w twoją historię - powiedział jeden z braci. – Może później, gdy dowiedziesz szczerości intencji i zdobędziesz wysoko postawionych przyjaciół, będziesz mógł ją opowiedzieć bez narażania się na ryzyko okrzyknięcia cię łgarzem. O zasługi i przyjaciół najłatwiej jest w wojsku, gdyż, jak wiesz, jesteśmy walecznymi ludźmi i żołnierzy obdarzamy specjalnymi względami.

Gdy byłem już gotowy do drogi, podarowano mi małego thoata, z gatunku specjalnie hodowanego przez czerwonych Marsjan pod siodło i do innych domowych celów. Zwierze to, prócz tego, że było mniejsze – wielkości konia – oraz bardzo łagodne, było dokładną kopią swoich dzikich krewniaków.

Bracia wyposażyli mnie w czerwony olej, którym wysmarowałem całe ciało, a jeden z nich podciął moje włosy, w tym czasie już dość długie, według obowiązującej ostatnio mody. Tak przygotowany mogłem wszędzie na Barsoomie uchodzić za rodowitego Marsjanina, Podarowano mi również ozdoby i insygnia, noszone przez rodzinę Ptor, do której należeli moi gospodarze. Małą torbę, którą miałem nosić przy boku, wypełniono zodangańskimi pieniędzmi. Środki płatnicze na Marsie nie różnią się wiele od tych, których my używamy, jedynie monety są owalne. Papierowe pieniądze są emitowane przez poszczególne osoby w zależności od potrzeb i dwa razy do roku sprawdza się ich pokrycie w majątku trwałym i zgromadzonych dobrach. Jeśli ktoś wypuści więcej pieniędzy, niż jest w stanie wykupić, rząd zwraca jego wierzycielom różnicę, a dłużnik odpracowuje ją w kopalniach lub na farmach, które w całości należą do rządu. Taki system zadowala wszystkich, z wyjątkiem zadłużonych.

Gdy wspomniałem, że być może nie będę mógł odwdziżyć się im za okazaną mi dobroć i pomoc, powiedzieli, że jeżeli zostaną dostatecznie długo na Marsie będę miał po temu nie tylko niejedną sposobność, ale i możliwość. Potem pożegnaliśmy się, a oni patrzyli za mną jeszcze długo, aż zniknąłem im z oczu w oddali.

Zwiadowca powietrzny w armii Zodangi

Jechałem w kierunku Zodangi, przyglądając się wciąż nowym i interesującym widokom, a w kilku farmach, w których się zatrzymałem po drodze dowiedziałem się wielu pożytecznych rzeczy, dotyczących panujących na Barsoomie obyczajów i metod gospodarowania.

Używana na farmach woda pochodzi z topniejących lodowców na biegunach. Gromadzona jest tam w ogromnych podziemnych zbiornikach, a następnie pompowana wodociągami do miejsc zamieszkałych przez ludzi. Na całej długości tych wodociągów, po każdej ich stronie, leżą pola uprawne, podzielone na mniej więcej równej wielkości obszary, z których każdy jest zarządzany przez jednego lub kilku rządowych nadzorców.

Zamiast nawadniania pól przez wylewanie drogocennego płynu na ich powierzchnie, co prowadzioby do ogromnych strat na skutek parowania, stosuje się system cienkich rurek, ukrytych w ziemi i doprowadzających wodę bezpośrednio do korzeni roślin. Plony na Marsie są każdego roku jednakowe, gdyż nie ma tam ani deszczów, wichrów czy innych klęsk żywiołowych, ani też owadów i małych ptaków niszczących zasiewy.

Podczas tej podróży miałem okazję po raz pierwszy od opuszczenia Ziemi spróbować dania mięsnego – dużych, soczystych steków i zrazów, zrobionych z mięsa jakichś dobrze wypasionych zwierząt hodowlanych. Częstoowano mnie również owocami i jarzynami – bardzo smacznymi, ale w niczym nie przypominającymi ziemskimi. Każdy kwiat, jarzyna, krzew owocowy czy zwierze zostały za pomocą starannej opieki prowadzonej naukowymi metodami przez całe stulecia tak udoskonalone, że ich ziemskie odpowiedniki wydają się być tylko bladymi, pozbawionymi wyrazu odbiciami.

Podczas drugiego postoju spotkałem bardzo kulturalnych, szlachetnie urodzonych ludzi i po pewnym czasie nasza rozmowa zesłała na temat Helium, jeden ze starszych mężczyzn był tam z misją dyplomatyczną kilka lat wcześniej i z pewnym żalem mówił o okolicznościach, które od dłuższego czasu zmuszają te dwa kraje do prowadzenia wojny.

- Helium słusznie szczydzi się najpiękniejszymi kobietami na Barsoomie - mówił - a prawdziwą perłą wśród nich jest Dejah Thoris, córka Mors Kajaka. Ludzie ją wprost uwielbiają, a od czasu, gdy zaginęła podczas tej nieszczęsnej ekspedycji, całe Helium pogrążyło się w żałobie. To, że nasz władca rozkazał zaatakować osłabione i zniszczone statki, powracające z tej wyprawy do domu - ciągnął - było następny z jego niewybaczalnych błędów, które prędzej czy później doprowadzą do tego, iż naród Zodangi postawi kogoś mądrzejszego na jego miejscu. Nawet teraz, chociaż nasze zwycięskie armie otaczają Helium, ludzie w Zodandze głośno wyrażają swoje niezadowolenie. Ta wojna nie cieszy się popularnością, gdyż nie jest walką o prawdę i sprawiedliwość. Nasze siły wykorzystają nieobecność głównej floty Helium, która udała się na poszukiwanie księżniczki i z łatwością radzą sobie z osłabioną obroną. Mówi się, że miasto podda się w ciągu najbliższych dni.

- A co się dzieje z księżniczką Dejah Thoris? - spytałem z pozorną obojętnością.

- Zginęła - odpowiedział. - Dowiedziano się tego od zielonego wojownika, schwytanego ostatnio przez nasz oddział na południu. Uciekła Tharkom z jakąś dziwną istotą z innego świata tylko po to, by wpaść w łapy Warhończyków. Ich thoaty błąkały się po dnie wyschniętego morza, a w pobliżu

znaleziono ślady krwawej walki.

Ponieważ te wiadomości nie były wcale pewne i nie stanowiły ostatecznego dowodu na to, że Dejah Thoris rzeczywiście zginęła, postanowiłem starać się w każdy możliwy sposób dotrzeć jak najprędzej do Helium i przekazać Tardos Morsowi posiadane przeze mnie wiadomości o jego wnuczce.

Dziesięć dni po opuszczeniu farmy braci Ptor dotarłem do Zodangi. Już podczas mego pierwszego kontaktu z czerwonymi mieszkańcami Marsa zauważyłem, że obecność Woola budzi niezbyt przychylnie, a za to za duże zainteresowanie moją osobą, gdyż należał on do gatunku zwierząt które nigdy nie były udomowione przez czerwonych ludzi. Gdybym wszedł do Zodangi z Woolem u nogi, wrażenie byłoby podobne do tego, jakie zrobiłby człowiek przechadzający się po Broadwayu z lwem.

Myśl o rozstaniu z moim wiernym przyjacielem zasmuciła mnie szczerze i odłożyłem decyzje do czasu, aż staniemy przed bramami miasta. Jednak później stało się jasne, że musimy się rozdzielić. Gdyby w grę wchodziło tylko moje bezpieczeństwo, nic nie mogłoby mnie zmusić do oddalenia od siebie jedynej istoty na Barsoomie, która od chwili spotkania obdarzyła mnie szczerym i gorącym przywiązaniem. Ponieważ jednak chciałem odnaleźć kobietę, w której służbie obiecałem oddać życie i musiałem rzucić wyzwanie nieznanym niebezpieczeństwom tego tajemniczego dla mnie miasta, nie mogłem pozwolić, by troska o bezpieczeństwo Woola rozpraszała moją uwagę i w ten sposób być może przyczyniła się do niepowodzenia mojego przedsięwzięcia. Pożegnałem się więc z nim czule obiecując sobie, że jeśli wyjdę cało z czekających mnie przygód, znajdę sposób, aby go potem odnaleźć.

Woola zdawał się rozumieć wszystko, co mu tłumaczyłem i gdy wskazałem w stronę Tharku odwrócił się ode mnie ze smutkiem w ślepiach. Nie mogłem się zmusić by patrzeć na to, jak odchodzi. Pojechałem natychmiast ku murom Zodangi.

Dzięki listowi polecającemu, który otrzymałem od braci, zostałem wpuszczony bez żadnych przeszkód do miasta, ogromnego i otoczonego wysokimi murami. Był bardzo wczesny ranek i ulice świeciły jeszcze pustkami. Rezydencje, uniesione wysoko na metalowych kolumnach, przypominały wielkie ptasie gniazda, zaś same kolumny zdawały się być pniami metalowych drzew. Sklepy nie były uniesione w górę, nie miały też szczególnie masywnych zamków czy zapór na drzwiach, gdyż pojecie kradzieży było właściwie na Barsoomie zupełnie nieznanne. Obawiano się tylko morderstw i to właśnie ochrona przed nimi zmusza Marsjan do unoszenia domów w górę na noc lub w razie niebezpieczeństwa.

Bracia Ptor dali mi dokładne wskazówki, gdzie mam się w mieście udać, by znaleźć jakieś mieszkanie, i być w pobliżu urzędów agentów rządowych, do których napisali listy polecające. Moja droga wiodła w stronę centralnego placu. Place takie znajdują się w każdym marsjańskim mieście. Ten w Zodandze ma około mili kwadratowej powierzchni i jest otoczony pałacami rodziny królewskiej i wyższej szlachty, gmachami użyteczności publicznej, kawiarniami i sklepami. Gdy szedłem przez plac, podziwiając wspaniałą architekturę i piękno, szkarłatną roślinność, porastającą szerokie kwietniki, zauważyłem czerwonego Marsjanina idącego szybko w moim kierunku od wylotu jednej z ulic. Nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, ale gdy podszedł bliżej rozpoznałem go i, położywszy dłoń na jego ramieniu, powiedziałem:

- Kaor, Kantos Kan!

Odwrócił się błyskawicznie i zanim zdążyłem opuścić rękę ostrze długiego miecza znalazło się przy mojej piersi.

- Kim jesteś? - warknął, a gdy jednym skokiem oddaliłem się od niego o pięćdziesiąt stóp opuścił miecz i ze śmiechem powiedział:

- Nie potrzebuje innej odpowiedzi. Tylko jeden człowiek na całym Barsoomie potrafi skakać jak gumowa piłka. Na oba księżyce, Johnie Carter, skąd się tu wzięłeś? Czy stałeś się. Darseenem, że potrafisz dowolnie zmieniać kolor skóry?

- Zawdzięczam ci kilka przykrych sekund, przyjacielu - powiedział, gdy w skrócie opowiedziałem swoje przygody od chwili, gdyśmy się rozstali na arenie w Warhoonie. - Gdyby mieszkańcy Zodangi dowiedzieli się, jak się nazywam i skąd pochodzę, siedziałbym wkrótce nad brzegiem zaginionego morza Korus wraz z moimi dawno umarłymi i zapomnianymi przodkami. Zostałem tutaj wysłany przez Tardos Morsa, jeddaka Helium, aby dowiedzieć się, gdzie przebywa Dejah Thoris, nasza księżniczka. Sab Than, książę Zodangi, śmiertelnie się w niej zakochał i ukrył ją gdzieś w tym mieście. Jego ojciec, jeddak Zodangi Than Kosis ceną za zawarcie pokoju między naszymi miastami uczynił dobrowolną zgodę księżniczki na poślubienie jego syna. Jednak Tardos Mors nie chce przyjąć takiego warunku i kazał przekazać jeddakowi Zodangi, że on i wszyscy ludzie z Helium wolą oglądać swoją księżniczkę martwą niż poślubioną człowiekowi, którego nie wybrała sama oraz że on osobiście woli zostać pogrzebany pod popiołami naszego miasta niż połączyć godła swego rodu z godłami Than Kosisa. Ta odpowiedź była straszliwą obelgą dla Than Kosisa i ludzi z Zodangi, ale Tardos Mors jest dzięki niej otaczany w Helium jeszcze większą miłością poddanych i ma w tej chwili nad nimi większą władzę niż kiedykolwiek.

- Jestem tu już od trzech dni - ciągnął dalej - ale jeszcze nie udało mi się odkryć, gdzie Dejah Thoris jest wieziona. Dzisiaj wstąpiłem na służbę do armii Zodangi jako zwiadowca powietrzny. Mam nadzieję zdobyć zaufanie księcia Sab Thana, który dowodzi tą formacją i w ten sposób dowiedzieć się czegoś o Dejah Thoris. Cieszę się, że cię tu spotkałem, gdyż znam twoją życzliwość dla księżniczki, a gdybyśmy połączyli nasze siły, moglibyśmy naprawdę wiele dokonać.

Plac zaczął się wypełniać ludźmi, spieszącymi wypełnić swoje codzienne obowiązki. Zaczęto otwierać sklepy, a w kawiarniach zasiadali poranni goście. Kantos Kan zaprowadził mnie do jednej z nich. Obsługa w kawiarni była całkowicie zmechanizowana, jedzenia nie dotykała ludzka ręka od momentu, w którym zostało przywiezione w stanie surowym aż do chwili, gdy gorące i gotowe do spożycia ukazywało się na stoliku przed gościem, który uprzednio nacisnął tylko odpowiednie guziki, wyrażające jego życzenia.

Po posiłku poszliśmy do kwatery głównej dywizjonu zwiadu powietrznego i Kantos Kań przedstawił mnie swojemu dowódcy, prosząc o przyjęcie do służby. Zgodnie z obowiązującą procedurą musiałem przedtem poddać się badaniom, ale Kantos Kan powiedział, abym się nie obawiał, gdyż te sprawę bierze na siebie. Załatwił to sam stając przed komisją i przedstawiając się jako John Carter.

- Oczywiście, ta mistyfikacja wyjdzie później na jaw - powiedział śmiejąc się - wtedy, gdy porównają wagę, wzrost i inne cechy charakterystyczne na papierze i w rzeczywistości, ale do tej chwili może upłynąć kilka miesięcy, a w tym czasie powinniśmy już dawno zakończyć naszą misję, bez względu na to, czy nam się powiedzie, czy nie.

Kilka następnych dni Kantos Kan spędził ucząc mnie sztuki latania i reperowania maszyn. Kadłub jednoosobowej łódki rozpoznawczej ma około szesnastu stóp długości, dwie stopy szerokości i zwęża się przy obu końcach. Pilot zajmuje siedzenie umieszczone nad małym, bezdźwięcznym silnikiem, napędzającym łódkę. Środek napędowy jest zgromadzony wewnątrz cienkich, metalowych ścian kadłuba i składa się z ósmego promienia, zwanego ze względu na swe właściwości promieniem napędowym.

Ten promień, podobnie jak dziewiąty, jest nieznaną na Ziemi, jednakże Marsjanie odkryli, że znajduje się w każdym rodzaju światła, niezależnie od jego źródła. Pozwala on na tak doskonałą nawigację powietrzną, że ich statki bojowe znacznie przewyższają wszystko, co zostało osiągnięte w tej materii na Ziemi. Żeglują lekko i z gracją przez rozrzedzone powietrze Marsa, jak dziecięce baloniki w atmosferze Ziemi.

Podczas pierwszych lat po odkryciu tego promienia, zanim Marsjanie nauczyli się go kontrolować i precyzyjnie się nim posługiwać, zdarzyło się wiele dziwnych wypadków. Na przykład około dziewięciuset lat temu wybudowano pierwszy statek bojowy, napędzany tym sposobem. Niestety, zbiorniki ósmego promienia wypełniono zbyt wielką jego ilością i statek po wyruszeniu z Helium nigdy tam nie wrócił. Siła napędowa była tak duża, iż wyniosła go daleko w przestrzeń kosmiczną, gdzie do dziś może być obserwowany za pomocą teleskopów – mały satelita, który będzie po wieczne czasy okrążał Barsoom na wysokości dziesięciu tysięcy mil.

Czwartego dnia po przybyciu do Zodangi wykonałem mój pierwszy lot. W jego rezultacie zostałem awansowany oraz otrzymałem kwaterę w pałacu Than Kosisa.

Wzleciałem w powietrze i zatoczyłem kilka kół nad miastem, tak jak to robił Kantos Kan, a następnie ustawivszy maszynę na maksymalne obroty poleciałem z przerażającą szybkością na południe, wzdłuż jednej z wielkich dróg wodnych, dochodzących do Zodangi z tej strony.

Przebyłem prawie dwieście mil w czasie krótszym niż godzina. Nagle daleko w dole zauważyłem trzech zielonych wojowników, ścigających galopem małą, pieszą figurkę, która najwyraźniej starała się dobiec do otaczającego pola uprawna muru. Zmniejszyłem gwałtownie wysokość lotu i krążąc z tyłu za zielonymi wojownikami, zauważyłem, że obiektem ich pościgu jest czerwony Marsjanin, noszący odznaki dywizjonu zwiadu powietrznego, do którego byłem przydzielony. W pobliżu zobaczyłem łódkę i porozrzucone wokół narzędzia. Widocznie w momencie, w którym zaskoczyli go zieloni wojownicy pilot zajęty był naprawą jakiegoś uszkodzenia.

Już prawie go doganiali, wierzchowce gnały z zatrważającą prędkością na małą, w porównaniu z nimi, figurkę, a wojownicy nachylili się w prawo i wystawili przed siebie długie dzidy. Każdy z nich starał się przebić biednego Zodangańczyka jako pierwszy i niewątpliwie jego los już za chwilę byłby przesądzony, lecz na szczęście ja się zjawiłem.

Skierowałem statek z pełną prędkością dokładnie na wojowników i wkrótce ich dopędziłem. Bez zmniejszania prędkości wycelowałem przód łódki w plecy najbliższego z nich. Uderzenie wystarczająco silne, by przebić kilkucalowej grubości stal, wyrzuciło ponad łbem thoata pozbawione głowy ciało wojownika daleko w przód, gdzie spadło i potoczyło się po mchu. Spłoszone wierzchowce dwóch pozostałych zielonych ludzi piszcząc ze strachu rozbiegły się w przeciwnych kierunkach. Zmniejszywszy prędkość zakreśliłem koło i wylądowałem przed zdumionym zwiadowcą. Gorąco podziękował mi za pomoc, udzieloną na dodatek w najbardziej odpowiednim momencie i przyrzekł, że zostanę odpowiednio nagrodzony, okazało się bowiem, że uratowałem życie jednemu z kuzynów jeddaka Zodangi.

Nie traciliśmy czasu, wiedząc, że wojownicy wrócą natychmiast po odzyskaniu kontroli nad swymi wierzchowcami. Zabraliśmy się do naprawy uszkodzonej maszyny i wyteżaliśmy wszystkie siły, aby na czas ją zakończyć. Pozostało nam tylko kilka końcowych operacji, gdy zauważyliśmy, że wojownicy wracają ku nam pełnym galopem z dwóch przeciwległych stron. Gdy zbliżyli się na odległość około stu jardów, ich thoaty znów odmówiły posłuszeństwa, nie chcąc zbliżyć się do statku powietrznego, który je przed chwilą tak przestraszył.

W końcu wojownicy zsiadli z wierzchowców i zaczęli iść ku nam z wyciągniętymi mieczami. Wyszedłem większemu z nich naprzeciw, życząc przedtem Zodangańczykowi powodzenia w starciu z

drugim z zielonych Marsjan. Dzięki coraz większej praktyce uporałem się z przeciwnikiem szybko i niemal bez wysiłku i natychmiast pospieszyłem do mego nowego znajomego. Zastałem go w bardzo przykrew sytuacji – leżał na ziemi, ranny, a zielony wojownik, postawiwszy mu nogę na szyi unosił miecz do decydującego ciosu. Pokonałem jednym skokiem dzielące nas pięćdziesiąt stóp i wyciągniętym przed siebie mieczem przebiłem zielonego Marsjanina na wylot. Wypuścił swój oręż i upadł na ziemię tuż obok swojej ofiary.

Zbadałem Zodangańczyka i na szczęście okazało się, że jego rany nie były poważne. Po krótkim odpoczynku stwierdził, że czuje się dobrze i jest gotów wyruszyć w drogę powrotną. Musiał jednak pilotować swą własną łódkę, gdyż były one zbyt małe, by zmieściły się w nich dwie osoby.

Szybko dokończyliśmy naprawy, wznieśliśmy się razem w zawsze bezchmurne marsjańskie niebo i z dużą prędkością, bez dalszych przygód powróciliśmy do Zodangi.

Gdy zbliżaliśmy się do miasta, zauważyliśmy na pobliskiej równinie tłum cywilów i żołnierzy. Niebo było czarne od statków bojowych, prywatnych i publicznych łodzi wycieczkowych, długich pasm unoszącego się barwnego jedwabiu i różnego rodzaju proporców i flag.

Mój towarzysz dał mi sygnał, abym zwolnił i zbliżywszy się do mnie na niewielką odległość, zaproponował, byśmy wylądowali i przyjrzelisiśmy się ceremonii, podczas której, jak powiedział, odbędzie się nagradzanie oficerów i osób cywilnych za odwagę i zasługi wobec państwa. Potem rozwinął mały proporzec, który świadczył, że w łódce leci członek rodziny królewskiej i wspólnie przebiliśmy się przez ciżbę różnego rodzaju aparatów latających i zawiśliśmy dokładnie nad jeddakiem Zodangi i jego świątą. Wszyscy oni dosiadali małych, domowych thoatów, a w ich paradnych strojach i ozdobach była taka ilość różnokolorowych piór, że nie mogłem nie zauważyć ich ogromnego podobieństwa do czerwonych Indian z mojej ojczyzny.

Jeden z członków świty zwrócił uwagę Than Kosisa na wiszącego mu nad głową krewniaka i jeddak gestem nakazał memu nowemu znajomemu lądowanie. Oczekując na ustawienie się oddziałów w szyku, jeddak toczył ożywioną rozmowę ze swym kuzynem i zauważyłem, że zarówno oni, jak i bliżej stojący członkowie świty spoglądają do czasu do czasu w górę, na mnie. Nie słyszałem czego dotyczyła ta rozmowa, ale urwała się ona nagle i wszyscy zsiadli z thoatów, gdyż ostatni oddział zajął już swoją pozycję w szyku. Jeden z członków świty poszedł w stronę oddziałów i wywołał imię jakiegoś żołnierza, rozkazując mu wystąpić z szeregu. Następnie głośno scharakteryzował czyn, którym zdobył sobie uznanie jeddaka, a monarcha podszedł do szczęśliwego bohatera i przypiął mu na lewym ramieniu metalowe odznaczenie.

Udekorowano w ten sposób dziesięciu ludzi, a potem mistrz ceremonii krzyknął:

- John Carter, powietrzny zwiadowca!

Nigdy w życiu nie byłem tak zdziwiony, ale wojskowa dyscyplina jest we mnie głęboko zakorzeniona, więc natychmiast wylądowałem i poszedłem naprzód, tak jak to robili inni. Zatrzymałem się przed oficerem, a on powiedział głosem tak donośnym, że musiał być słyszany przez wszystkie zgromadzone tu oddziały i widzów:

- Johnie Carter, w uznaniu twojej niezwyklej odwagi i umiejętności, wykazanych w obronie osoby kuzyna jeddaka Than Kosisa, podczas której w pojedynkę pokonałeś trzech zielonych wojowników nasz jeddak z przyjemnością obdarowuje cię dowodem swego szacunku.

Podszedł do mnie Than Kosis i przypinając mi na ramieniu odznaczenie powiedział:

- Mój kuzyn opowiedział mi szczegóły twego niezwyklej czynu, który wydaje się graniczyć z cudem. Jeśli tak dobrze, potrafisz bronić kuzyna jeddaka, o ile lepiej będziesz ochraniał osobę samego jeddaka. Od tej chwili jesteś padwarem mojej gwardii i miejscem twego zamieszkania będzie mój pałac.

Podziękowałem władcy i stosując się do jego rozkazu dołączyłem do członków świty. Po zakończeniu uroczystości odprowadziłem łódkę na jej miejsce na dachu koszar dywizjonu zwiadu powietrznego i w towarzystwie przysłanego z pałacu przewodnika zameldowałem się u oficera dyżurnego w moim nowym miejscu zamieszkania.

Odnajduję Dejah

Oficerowi, u którego się zameldowałem polecono, aby zakwaterował mnie w pobliżu jeddaka, którego życie podczas wojny było stale zagrożone, gdyż Marsjanie uważali, iż podczas działań wojennych wszystko, łącznie z morderstwem, jest dozwolone.

Odprowadzono mnie natychmiast do pomieszczenia, w którym przebywał Than Kosis. Władca zajęty był rozmową z synem, Sab Thanem i kilkoma dworzanami i nie zauważył mego wejścia.

Ściany tego pomieszczenia były całkowicie zasłonięte wspaniałymi gobelinami, zakrywającymi okna i drzwi, jeśli one w ogóle tam były. Światła dostarczały uwięzione promienie słoneczne, trzymane między właściwym, stropem a szklaną taflą, znajdującą się kilka cali niżej.

Mój przewodnik podniósł jeden z gobelinów, odsłaniając rodzaj korytarza otaczającego pokój, utworzonego dzięki powieszeniu tych ogromnych dywanów ściennych w pewnej odległości do właściwych ścian pomieszczenia. Powiedział, że właśnie w tym korytarzu powinienem przebywać, dopóki Than Kosis pozostaje w apartamencie za gobelinami. Gdy wyjdzie, mam iść za nim. Moim jedynym obowiązkiem było pilnowanie władcy w sposób maksymalnie dyskretny. Po czterech godzinach zostanę zmieniony. Po udzieleniu mi tych wyjaśnień oficer odszedł.

Gobeliny były utkane z dziwnego przędzy, które nadawało im wygląd bardzo ciężki i solidny, gdy się na nie patrzyło od strony pokoju, z miejsca, w którym miałem pełnić służbę, mogłem obserwować wszystko, co się działo w pomieszczeniu tak wyraźnie, jakby były one zrobione z cienkiego, bardzo przezroczystego szkła.

Jakiś czas po objęciu przeze mnie posterunku zasłona po przeciwnej stronie odsunęła się i do pomieszczenia weszło czterech gwardzistów, prowadząc drobną kobietę. Cała grupa zbliżyła się do Than Kosisa, strażnicy odsunęli się na bok i nie dalej niż dziesięć kroków ode mnie zobaczyłem Dejah Thoris. Jej twarz promieniała uśmiechem.

Sab Than podszedł do niej i oboje trzymając się za ręce, stanęli tuż przed jeddakiem. Than Kosis spojrzał na nich ze zdziwieniem, wstał i uklonił się księżniczce.

- Jakiemu dziwnemu kapryswi zawdzięczam wizytę księżniczki Helium, która zaledwie dwa dni temu, nie zważając na to, iż obraża moją dumę, zapewniła mnie, że wolałaby Tal Hajusa, zielonego Tharka, od mego syna?

Dejah Thoris uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a w jej oczach pojawiły się filuterne błyski.

- Od zarania dziejów kobieta ma prawo kapryścić, zmieniać zdanie i być obłudną w sprawach, które dotyczą jej serca. Przebacz mi, Than Kosisie, tak jak przebaczył mi twój syn. Dwa dni temu nie byłam pewna jego miłości do mnie, ale teraz już jestem i przyszłam tutaj prosić cię, byś zapomniał o moich pochopnych słowach i przyjął zapewnienie, że gdy przyjdzie czas, księżniczka Helium poślubi Sab Thana, księcia Zodangi.

- Cieszę się z twojej decyzji - odpowiedział Than Kosis. - Nie chce już dłużej prowadzić wojny z narodem Helium. Twoje przyrzeczenie zostanie zaprotokołowane, a natychmiast potem ogłoszone moim poddanym.

- Lepiej będzie, Than Kosisie - powiedziała Dejah Thoris - jeśli zostanie to ogłoszone dopiero

po zakończeniu wojny. Zarówno twój, jak i mój naród może uważać za dziwne, że księżniczka Helium oddaje rękę nieprzyjacielowi w trakcie działań wojennych.

- Czy wojny nie można zakończyć natychmiast? - spytał Sab Than. - Wystarczy jedno słowo Than Kosisa, by nastał pokój. Wypowiedz je ojciec, wypowiedz słowo, które da mi szczęście i zakończy ten niepopularny konflikt.

- Zobaczmy, jak Helium zareaguje na propozycje zakończenia wojny. Ja w każdym razie taką propozycje im złożę.

Zamienili jeszcze kilka słów i Dejah Thoris, wciąż w towarzystwie strażników, wyszła z pokoju.

W ten oto sposób rzeczywistość obróciła w gruzy gmach moich marzeń. Kobieta, w której ręce złożyłem swoje życie i z której ust jeszcze tak niedawno słyszałem zapewnienia o miłości, zdążyła już zapomnieć o moim istnieniu i z uśmiechem ofiarowała się synowi najbardziej zacieklego wroga swego narodu. Nie mogłem w to uwierzyć, mimo że słyszałem przecież jej słowa na własne uszy. Musiałem ją odszukać i zmusić, aby w oczy mi powtórzyła te okrutną prawdę, dopiero wtedy zostanę przekonany. Opuściłem mój posterunek i korytarzem za gobelinami pobiegłem w stronę drzwi, przez które wyszła z pokoju, otworzyłem je ostrożnie i po ich drugiej stronie zobaczyłem istny labirynt krętych korytarzy i przejść. Pobiegłem pierwszym z nich, potem skręciłem w jakiś inny i stwierdziłem, że zupełnie nie wiem, gdzie się znajduje. Stałem przez chwilę z rozpaczą w sercu, oparty o ścianę, gdy nagle usłyszałem głosy, rozlegające się w pobliżu, najwyraźniej po drugiej stronie ściany, o którą się opierałem. Jeden z nich należał do Dejah Thoris. Nie mogłem rozróżnić słów, ale nie ulegało wątpliwości, że to była ona.

Przeszedłem kilka kroków do przodu i natknąłem się na następny korytarz, na końcu którego zobaczyłem drzwi. Śmiało w nie wszedłem i znalazłem się w małym przedpokoju, w którym siedzieli ci czterej strażnicy, których przedtem widziałem. Jeden z nich natychmiast wstał i zapytał mnie, w jakim celu tu przyszedłem.

- Zostałem wysłany przez Than Kosisa - odpowiedziałem - i chce rozmawiać w cztery oczy z Dejah Thoris, księżniczką Helium.

- Pokaż rozkaz - powiedział strażnik.

Nie wiedziałem, co ma na myśli, ale odpowiedziałem, że jestem członkiem gwardii jeddaka, a potem, nie czekając na jego reakcje, poszedłem ku drzwiom w przeciwległej ścianie przedpokoju, za którymi słyszałem głos Dejah Thoris. Jednak nie udało mi się przez nie przejść tak łatwo, gdyż strażnik zastąpił mi drogę i powiedział:

- Każdy, kto przychodzi od Than Kosisa posiada pisemny rozkaz albo przepustkę. Musisz mi pokazać jedno lub drugie i dopiero wtedy będziesz mógł wejść.

- Jedyna przepustka, przyjacielu - powiedziałem - jakiej potrzebuje, aby wejść gdzie mi się podoba, wisi u mego boku.

Wyciągnąłem miecz i spytałem:

- Przepuścisz mnie dobrowolnie, czy mam cię do tego zmusić?

W odpowiedzi strażnik wyciągnął swoją broń i przywołał kolegów. Stanęli naprzeciw mnie, zagradzając mi drogę.

- Nie przyszedłeś tu z rozkazu Than Kosisa - powiedział podniesionym głosem pierwszy ze strażników - i nie tylko nie wpuszczę cię do apartamentów księżniczki Helium, ale odeśle pod strażą do jeddaka, abyś wytłumaczył się ze swego postępowania. Odrzuć miecz, nie możesz liczyć na to, że uda ci się pokonać nas wszystkich jednocześnie.

Moją odpowiedzią był szybki cios, po którym zostało mi już tylko trzech przeciwników i zapewniam was, że byli to znakomici szermierze. Przyparty przez nich do ściany wkładałem w walkę

wszystkie moje siły i umiejętności. Powoli udało mi się przesunąć w róg pokoju, w którym mogli mnie atakować tylko pojedynczo. Walczyliśmy w ten sposób blisko dwadzieścia minut, a ścierająca się ze sobą stal naszych mieczy wypełniała małe pomieszczenie prawdziwie piekielnym hałasem.

Ten harmider wywabił z pokoju Dejah Thoris. Otworzyła drzwi i stała w nich, przyglądając się walce. Z tyłu, za nią, zauważyłem Solę, patrzącą z równą ciekawością. Ich twarze były zupełnie obojętne i wywnioskowałem z tego, że żadna z nich mnie nie rozpoznała.

W końcu udało mi się powalić drugiego strażnika. Mając już tylko dwóch przeciwników zmieniłem taktykę i z kolei ja stałem się stroną nacierającą. Trzeci padł w dziesięć sekund po drugim, a wkrótce również ostatni leżał na podłodze w kałuży krwi. Byli dzielnymi ludźmi i wspaniałymi żołnierzami i byłem zmartwiony tym, iż zostałem zmuszony do odebrania im życia, jednak chętnie bym ogołocił z mieszkańców cały Barsoom, gdyby nie było innego sposobu na dotarcie do Dejah Thoris.

Schowałem do pochwy zakrwawiony miecz i podszedłem do księżniczki, która stała bez słowa, najwyraźniej mnie nie poznając.

- Kim jesteś Zodangańczyku? - spytała w końcu. - Następnym wrogiem, który pragnie naigrywać się z mojej niedoli?

- Jestem przyjacielem - odpowiedziałem. - Kiedyś bardzo cenionym.

- Żaden przyjaciel księżniczki Helium nie nosi takich odznak - powiedziała. - Ale twój głos? Już go przedtem słyszałam... Ale przecież... nie, to niemożliwe, ten człowiek nie żyje.

- A jednak, księżniczko, to jestem właśnie ja, John Carter. Czy nie poznajesz nawet pod farbą i obcymi ozdobami, serca swego dowódcy?

Zrobiłem ku niej krok, a ona podbiegła ku mnie z wyciągniętymi rękami, lecz gdy otworzyłem ramiona, by ją przytulić zatrzymała się i cofnęła ze smutkiem na twarzy.

- Za późno, za późno - powiedziała rozpaczliwie, - Gdybyś przyszedł godzinę wcześniej! Sądziłam, że nie żyjesz i teraz jest już za późno.

- A więc nie przyrzekłabyś poślubić księcia Zodangi, gdybyś wiedziała, że żyje? - spytałem.

- Czy sądzisz, Johnie Carter, że ofiarując ci wczoraj moje serce, dzisiaj dałabym je następnemu? Sądziłam, że leży ono pogrzebane wraz z twoimi popiołami w podziemiach Warhoonu. To, co ze mnie zostało – moje ciało – przyrzekłam innemu, aby uchronić mój naród przed nieszczęściami, jakie sprowadziłaby nań zwycięska armia Zodangi.

- Ale ja nie umarłem, moja księżniczko. Przyszedłem cię stąd zabrać i cała armia Zodangi nie może mi w tym przeszkodzić.

- Za późno, Johnie Carter. Już dałam przyrzeczenie, a na Barsoomie nigdy nie łamiemy danych obietnic. Sama ceremonia zaślubin nastąpi później, ale to tylko mało ważna formalność. Potwierdza tylko fakt małżeństwa, tak jak pogrzeb jeddaka stanowi tylko potwierdzenie jego śmierci. Jestem już niemal żoną, Johnie Carter. Już nie mnie nazywać swoją księżniczką, ani ja ciebie moim dowódcą

- Niewiele wiem na temat waszych zwyczajów, ale wiem, że cię kocham, a jeśli twoje ostatnie słowa wtedy gdy szarżowała na nas oddział Warhoonczyków, były wypowiedziane poważnie, żaden inny mężczyzna nie będzie cię mógł nigdy nazwać swoją żoną. Mówiłaś wtedy poważnie i teraz również myślisz tak samo. Powiedz, że to prawda, że się nie mylę.

- Tak, Johnie Carter, mówiłam wtedy prawdę - szepnęła - ale teraz już nie mogę powtórzyć tych słów, gdyż ofiarowałam siebie innemu. Gdybyś znał nasze zwyczaje - ciągnęła na wpół do siebie - obietnica byłaby dana tobie już długie miesiące temu i teraz mógłbyś się o mnie upomnieć. To mogłoby oznaczać upadek Helium, ale zrezygnowałabym z należnego mi dziedzictwa dla mego tharkijskiego dowódcy.

Potem powiedziała głośno:

- Pamietaś tę noc, gdy mnie obraziłeś? Nazwałeś mnie swoją księżniczką, nie prosząc o rękę, a potem chlępiłeś się, że o mnie walczyłeś. Teraz widzę, że nie powinnam się była obrażać, po prostu nie zdawałeś sobie sprawy z tego, jakie znaczenie mają u nas słowa, które wypowiadasz. Nie było nikogo, kto by ci wytłumaczył, że na Barsoomie w miastach czerwonych ludzi są dwa rodzaje kobiet – jeden z nich to te kobiety, o które mężczyźni walczą, by móc prosić, je o rękę, o drugi rodzaj kobiet również walczą, ale nigdy nie proponują im małżeństwa. Jeśli mężczyzna zwycięży w walce o kobietę może ją nazywać swoją księżniczką lub używać jednego z kilku pozostałych zwrotów, a to oznacza, że ją posiada, że należy ona do niego. Walczyłeś o mnie, ale nigdy nie poprosiłeś mnie, abym została twoją żoną, więc, gdy nazwałeś mnie swoją księżniczką – zawahała się - byłam urażona. Jednak nawet wówczas nie obraziłam się na ciebie, jak powinnam była zrobić. Czara się jednak przelała, gdy ubliżyłeś mi, wypominając, że zdobyłeś mnie w walce.

- Nie będę cię teraz prosił o przebaczenie, Dejah Thoris - powiedziałem - gdyż, jak wiesz, moja wina wynikała z nieznamości waszych zwyczajów. To czego nie zrobiłem wówczas, gdyż wydawało mi się, że moja prośba będzie przedwczesna i źle widziana, robię teraz - proszę cię abyś została moją żoną.

- Nie, Johnie Carter, nie mogę być twoja, póki Sab Than żyje.

- Podpisałaś na niego wyrok śmierci, moja księżniczko, Sab Than umrze.

- To nic nie pomoże - powiedziała. - Nie wolno mi poślubić człowieka, który zabił mego męża, nawet w obronie własnej. Taki jest zwyczaj. Tutaj, na Barsopmie, jesteśmy niewolnikami zwyczajów. To bezcelowe, mój przyjacielu. Musisz się z tym pogodzić i cierpieć wraz ze mną. Tylko tyle wolno nam wspólnie posiadać - cierpienie i wspomnienia dni, które spędzaliśmy razem u Tharków. Żegnaj!

Wyszedłem, odrzucony, z krwawiącym sercem. Jednak nie wyrzekłem się. jeszcze nadziei i nie pogodziłem się z myślą, że Dejah Thoris jest dla mnie stracona, gdyż, mimo tego co mówiła, formalny ślub jeszcze się nie odbył.

Włóczyłem się wśród korytarzy, znów straciwszy orientację. Wiedziałem, że muszę, uciekać z miasta, gdyż w sprawie czterech martwych strażników na pewno zostanie podjęte śledztwo, a gdy moja nieobecność na posterunku zostanie odkryta, podejrzenie z pewnością padnie na mnie. Wszedłem na prowadzące w dół spiralne schody i zszedłem kilka pięter w dół. Znalazłem się przed wejściem do obszernego pokoju, w którym siedziało kilku gwardzistów. Ściany były zawieszane przezroczystymi gobelinami i wśliznąłem się za nie niezauważony.

Rozmowa gwardzistów dotyczyła jakichś błażych spraw i nie wzbudziła we mnie zainteresowania, aż do chwili, gdy wszedł jeden z oficerów i rozkazał czterem z nich zmienić strażników księżniczki Helium. Wiedziałem, że teraz się zaczynają moje kłopoty. I rzeczywiście – czterech gwardzistów wyszło z pomieszczenia, a za chwilę, jeden z nich wpadł z powrotem, krzycząc, że strażnicy leżą martwi w przedpokoju, prowadzącym do apartamentów księżniczki.

W chwili później cały pałac wypełnił się ludźmi. Gwardziści, oficerowie, dworzanie, służba i niewolnicy biegali tam i z powrotem po korytarzach i apartamentach, roznosząc polecenia i rozkazy oraz poszukując sprawcy zbrodni.

W tym rozgardiaszu dostrzegłem szansę ucieczki i jakkolwiek była ona niewielka, zdecydowałem się. Dołączyłem do przebiegającego obok mej kryjówki większego oddziału żołnierzy i biegłem za nimi poprzez labirynt pałacowych korytarzy, aż zobaczyłem światło dzienne wpadające przez duże okna jakiejś mijanej sali.

Opuściłem moich przewodników i podszedłem do jednego z okien. Prowadziło na duży balkon,

wiszący na wysokości około trzydziestu stóp nad ziemią i wychodzący na jedną z miejskich ulic. W pewnej odległości od budynku stał mur o wysokości około dwudziestu stóp, zbudowany z grubego na stopę, gładkiego szkła. Czerwonemu Marsjaninowi ucieczka tą drogą wydawałaby się niemożliwa, ale dla mnie dysponującego ziemską siłą i zręcznością, była ona bagatelką. Moje jedyne zmartwienie wiązało się z tym, że mogę zostać odnaleziony przed zapadnięciem ciemności. Nie mogłem wykonać skoku teraz, w pełnym świetle dnia, gdyż podwórzec i ulica były zatłoczone Zodangańczykami.

Rozejrzałem się za jakąś kryjówką. Spojrzawszy w górę zobaczyłem dużą ozdobę, mającą kształt wazy, która wisiała pod sufitem, około dziesięć stóp nad podłogą. Wskoczyłem do niej z łatwością i niemal natychmiast potem usłyszałem, że do pokoju wchodzi jakiś ludzie. Zatrzymali się wprost pod moją kryjówką, toteż wyraźnie słyszałem każde wypowiedziane przez nich słowo.

- To jest robota ludzi z Helium - powiedział jeden z nich.

- Masz racje, jeddaku, ale w jaki sposób przedostali się do pałacu? Mógłbym uwierzyć, że do wnętrza prześliznął się mimo czujnych straży jakiś jeden, samotny człowiek, ale nie mogę sobie wyobrazić, jak mogła tego dokonać grupa, składająca się z sześciu czy ośmiu mężczyzn. Jednakże wkrótce się czegoś dowiemy, gdyż oto nadchodzi królewski psycholog.

Do grupy dołączył jeszcze jeden mężczyzna i po zwyczajowym przywitaniu jeddaka, powiedział:

- Potężny jeddaku, dziwną opowieść wyczytałem w martwych umysłach twoich wiernych gwardzistów. Zostali zabici nie przez kilku napastników, lecz przez jednego.

Zamilkł, aby waga jego wypowiedzi w pełni dotarła do słuchaczy. Nie uwierzono mu jednak, gdyż za chwile usłyszałem zniecierpliwiony głos Than Kosisa:

- Cóż to za bzdury mi tu opowiadasz, Notanie?

- To jest prawda, jeddaku - odpowiedział psycholog. - W mózgach wszystkich czterech gwardzistów jest wyraźnie wyryty taki sam obraz. Ich przeciwnikiem był bardzo wysoki mężczyzna, noszący odznaki twojej własnej gwardii, posiadający nadludzką siłę, zręczność i opanowaną po mistrzowsku sztukę walki mieczem. Mimo że nosił insygnia Zodangi, jeddaku, człowieka odpowiadającego temu opisowi nie widziano ani w tym, ani w żadnym innym kraju na Barsoomie. Niestety, umysł księżniczki Helium, którą również przesłuchiwałem, jest dla mnie zamknięty – posiada nad nim znakomitą kontrolę i nie mogę nic z niego odczytać. Powiedziała, że widziała część walki, że z gwardzistami walczył tylko jeden człowiek, którego nie zna i którego nigdy przedtem nie spotkała.

- A gdzie jest ten mężczyzna, który mnie niedawno uratował - powiedział ktoś inny z grupy, najwyraźniej kuzyn jeddaka, którego wyrwałem z rak zielonych wojowników. - Opis pasuje do niego, zwłaszcza zaś te nadzwyczajne umiejętności walki.

- Gdzie jest ten człowiek? - krzyknął Than Kosis. - Przyprowadźcie mi go natychmiast. Co o nim wiesz, kuzynie? Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby w Zodandze mieszkał tak wspaniały żołnierz, a nikt z nas wcześniej o nim nie słyszał. Także jego nazwisko jest dziwne – John Carter. Czy ktoś słyszał kiedykolwiek takie nazwisko na Barsoomie? Wkrótce przyniesiono wiadomość, że nigdzie mnie nie można znaleźć, ani w pałacu, ani w mojej poprzedniej kwaterze w koszarach powietrznych zwiadowców. Odnaleziono i przesłuchano Kantos Kana, ale on przecież nie wiedział, gdzie ja się w tej chwili znajduje, a gdy spytano go o moją przeszłość, powiedział, że wie o niej bardzo niewiele, gdyż spotkał mnie niedawno, podczas wspólnego uwięzienia w Warhoonie.

- Obserwujcie tego Kantos Kana - powiedział Than Kosis. - On również jest obcy i istnieje prawdziwe podobieństwo, że obaj przyszli z Helium. Tam, gdzie jest jeden, prędzej czy później pojawi się również drugi. Powiększyć czterokrotnie patrole powietrzne, a każdy, kto opuszcza miasto ziemią

lub powietrzem ma być poddawany starannej kontroli.

Wszedł następny posłaniec z wiadomością, że ciągle przebywam na terenie pałacu.

- Sprawdzono starannie tożsamość każdej osoby, która dzisiaj przybyła do pałacu lub opuszczała go - mówił posłaniec - i żadna z nich nie odpowiada opisowi tego nowego padwara gwardii. Zanotowano tylko jego wejście.

- A wiec niedługo wpadnie nam w ręce - powiedział jeddak z zadowoleniem - a tymczasem chodźmy do apartamentów księżniczki i spytajmy ją jeszcze raz o całą te sprawę. Może wiedzieć znacznie więcej, niż chciała ci powiedzieć, Notanie. Chodźmy!

Wyszli z sali. Czekałem aż nadejdzie ciemność, a potem zeskoczyłem z mojej kryjówki i wyszedłem na balkon. Zauważyłem kilku kręcących się ludzi, ale wkrótce odeszli i gdy wydawało mi się, że już nikogo nie ma w pobliżu, przeskoczyłem na szczyt szklanego muru, a stamtąd na leżącą poza terenami pałacowymi ulicę.

Zabłąkany na niebie

Nie starając się specjalnie ukrywać, pospieszyłem w pobliże mojej poprzedniej kwatery, gdzie, jak się spodziewałem, znajdę Kantos Kana. Stałem się bardziej ostrożny w pobliżu budynku, który, jak słusznie przypuszczałem, był strzeżony. Kilku mężczyzn noszących cywilne ozdoby kręciło się w pobliżu frontowego wejścia, a inni stali przy wejściu od tyłu. Jedyнным sposobem na dostanie się niepostrzeżenie na jedno z wyższych pięter, na którym znajdowała się nasza kwatera było przejście po dachu sąsiedniego budynku. Po pewnych wysiłkach udało mi się wejść na dach sklepu, oddzielonego od koszar kilkoma domami. Skacząc z dachu na dach dotarłem do otwartego okna budynku, w którym miałem nadzieję znaleźć Helumitę, a w chwilę później stałem już przed nim. Był sam i nie okazał zdziwienia na mój widok, powiedział jedynie, że spodziewał się mnie znacznie wcześniej, jako że musiałem skończyć służbę już kilka godzin temu.

Zrozumiałem, że nic nie wie o wypadkach, jakie zaszły dziś w pałacu, a gdy mu je opowiedziałem, wpadł w wielkie podniecenie. Wiadomość, że Dejah Thoris przyrzekła rękę Sab Thanowi napełniła go przerażeniem.

- Nie może być! To niemożliwe! Nie ma człowieka w Helium, który by me przedkładał śmierci nad sprzedaż ukochanej księżniczki panującemu domowi Zodangi. Musiała chyba postradać zmysły, aby zgodzić się na taki ohydny handel. Ty nie wiesz, jak bardzo mieszkańcy Helium kochają członków rodziny królewskiej i nie możesz sobie wyobrazić przerażenia, jakie odczuwam na myśl o tak odrażającym związku. Co mamy robić? Jesteś pomysłowym człowiekiem, Johnie Carter - kontynuował - proszę, wymyśl coś, by uratować Helium od tego nieszczęścia.

- Gdybym mógł zbliżyć się do Sab Thana na odległość równą długości miecza - powiedziałem - dla Helium ten problem przestałby istnieć, jednak z przyczyn osobistych wolałbym, aby to kto inny zadał cios, który uwolni Dejah Thoris.

Kantos Kan przyglądał mi się uważnie przez chwile, a potem powiedział:

- Kochasz ją. Czy ona o tym wie?

- Wie i odrzuca mnie tylko dlatego, że dała słowo Sab Thanowi.

Kantos Kan położył mi rękę na ramieniu, wyciągnął miecz i powiedział:

- Gdyby zostawiono mi prawo wyboru nie mógłbym znaleźć bardziej odpowiedniego męża dla pierwszej księżniczki Helium. Położyłem rękę na twoim ramieniu, Johnie Carter, i przyrzekam ci, że Sab Than zginie od ciosu tego miecza, który trzymam w dłoni. Zrobię to z miłości do Helium, do Dejah Thoris i do ciebie. Jeszcze tej nocy spróbuje się przedostać do jego apartamentów w pałacu.

- W jaki sposób? - spytałem. - Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś bardzo uważnie pilnowany, a patrole powietrzne zostały zwiększone czterokrotnie.

Zamyślił się, a potem powiedział:

- Potrafiłbym tego dokonać, gdyby mi się udało zmylić się strażę. Znam sekretne wejście do pałacu, prowadzące przez wierzchołek najwyższej wieży. Natknąłem się na nie przypadkowo pewnego dnia, gdy latałem nad miastem pełniąc służbę patrolową. Wymaga się od nas, byśmy w czasie patroli badali wszystko, co wyda nam się dziwne, a twarz na szczycie najwyższej wieży

pałacowej wydała mi się bardzo dziwnym zjawiskiem. Podleciałem bliżej i zobaczyłem, że ta twarz należy do Sab Thana. Był nieco niezadowolony, że go odnalazłem i nakazał mi, abym zachował wszystko w tajemnicy, wyjaśniając przy tym, że przejście prowadzi wprost do jego apartamentu i tylko on o nim wie. Gdybym się mógł dostać na dach i wziąć moją maszynę, byłbym u niego w ciągu pięciu minut. Ale jak mam wydostać się z tego budynku, jeśli jest tak pilnowany?

- Jak są strzeżone stanowiska maszyn w koszarach? - spytałem.

- W nocy zwykle pilnuje ich tylko jeden strażnik.

Nie tracąc czasu na bliższe wyjaśnienia wyszedłem z powrotem na ulice tą samą drogą i pospieszyłem w stronę koszar. Nie odważyłem się wejść do środka – budynek był wypełniony żołnierzami zwiadu powietrznego, którzy, tak jak wszyscy w Zodandze, mieli polecenie mnie poszukiwać.

Był to ogromny gmach, jego szczyt wznosił się tysiąc stóp nad ziemią. Niewiele było w Zodandze budynków wyższych niż te koszary. Tylko lądowisko wielkich statków bojowych było ustawione na wysokości około półtora tysiąca stóp nad ziemią, na podobnej wysokości znajdowały się również przystanie towarowe i pasażerskie floty handlowej.

Wspinanie się po frontowej ścianie budynku było trudne i niebezpieczne, ale nie miałem innego sposobu dostania się na dach. Na szczęście, dzięki temu, iż architektura barsoomska jest niezwykle ozdobna, okazało się to znacznie prostsze, niż przypuszczałem. Wchodziłem do góry, chwytając się różnych listew i występów niemal tak wygodnie, jak po drabinie. Dopiero na górze, pod samym okapem, pojawił się pierwszy problem. Okap dachu wystawał prawie dwadzieścia stóp od muru i mimo, że obszedłem wokoło cały budynek, nie znalazłem w nim żadnej przerwy, przez którą mógłbym się przecisnąć. Nie mogłem też przejść na dach przez najwyższe piętro budynku, gdyż było ono jasno oświetlone i pełne zajętych swoimi sprawami żołnierzy.

Był tylko jeden, bardzo ryzykowny i niebezpieczny sposób, pomyślawszy jednak o Dejah Thoris, zdecydowałem się go wykorzystać, gdyż nie narodził się jeszcze mężczyzna, który by dla takiej jak ona po tysiąckroć życia nic zaryzykował. Czepiając się muru stopami i jedną dłonią, połuźniłem długi, zakończony wielkim hakiem rzemień, wchodzący w skład mego wyposażenia. Rzemieniami takimi powietrzni żeglarze czepiali się boków i dna swoich statków przy okazji różnych napraw, za ich także pomocą opuszczały się na ziemię grupy desantowe.

Zachowując ostrożność zarzuciłem ten hak na dach. Musiałem tę czynność powtarzać kilkakrotnie zanim znalazł on jakieś zaczepienie. Naciągnąłem rzemień – trzymał mocno, ale nie mogłem wiedzieć czy utrzyma ciężar mego ciała. Hak mógł zaczepić się o sam skraj dachu i ześliznąć zeń, gdy będę wisiał w powietrzu, rzucając mnie na spotkanie chodnika, leżącego tysiąc stóp niżej.

Wahałem się przez moment, ale potem puściłem podtrzymujący mnie występ muru i wyleciałem w przestrzeń, uczepiony końca rzemienia. Daleko pode mną leżały jasno oświetlone ulice, twarde trotuary i śmierć. Ponad okapem rozległo się krótkie skrzypnięcie i drapanie - zgrzytliwy dźwięk, który mroził mi krew w żyłach. Potem hak zaczepił o coś i byłem bezpieczny.

Wspiałem się szybko po rzemieniu i złapawszy za skraj okapu, wydźwignąłem się na dach. Gdy wstałem, stwierdziłem, iż spoglądam prosto w lufy rewolweru, trzymanego przez pełniącego służbę wartownika.

- Kim jesteś i skąd się tu wzięłeś? - zakrzyknął.

- Jestem powietrznym zwiadowcą, przyjacielu - odpowiedziałem - i to bardzo bliskim śmierci, gdyż tylko cudem udało mi się uniknąć spadnięcia na leżącą tam, w dole, aleję.

- Ale skąd się wzięłeś na dachu, człowieku? Przez ostatnią godzinę nikt nie wylądował ani nie przyszedł z wnętrza budynku. Wytlumacz się i albo to szybko wyjaśnisz, albo wezwę strażę.

- Spójrz tutaj, wartownika, a zrozumiesz jak się tu znalazłem i jak blisko byłem tego, aby się już nigdy nigdzie nie znaleźć - odpowiedziałem i wskazałem w dół, gdzie dwadzieścia stóp niżej, na końcu pasa dyndało moje wyposażenie i broń. Wartownik, kierując się ciekawością podszedł do mnie i pochylił się by spojrzeć w dół. W tym momencie jedną ręką chwyciłem go za gardło, drugą za przegub trzymającej broń dłoni. Pistolet upadł na dach i natychmiast zatkałem mu usta, by uniemożliwić wzywanie pomocy. Ogłuszyłem go, skrępowalem, a potem zawiesiłem na pasie – tak, jak sam przed chwilą wisiałem. Wiedziałem, że nie zostanie odnaleziony przed nastaniem dnia, a to mogło mi dać trochę czasu, którego tak bardzo potrzebowałem.

Włożyłem na siebie odzyskane wyposażenie i poszedłem do hangarów, w których trzymane były łodzie. Wyciągnąłem zarówno moją, jak i Kantos Kana. Przywiązałem jego maszynę, do ogona mojej, włączyłem silnik i przeskoczywszy przez skraj dachu skierowałem się w dół. Poleciałem na dużo mniejszej wysokości, niż ta, na której latały zazwyczaj patrole i po minucie wylądowałem na dachu naszego budynku, obok zdumionego Kantos Kana. Nie traciłem czasu na zbyteczne wyjaśnienia, ale przystąpiłem od razu do omawiania planów na najbliższą przyszłość. Zdecydowaliśmy, że ja polecę bezpośrednio ku Helium, a Kantos Kan będzie się starał dostać do pałacu i zabić Sab Thana. Jeśli mu się powiedzie, uda się później za mną. Kantos Kan ustawił mój kompas, sprytnie małe urządzenie, które zawsze wskazuje wybrany przedtem punkt na powierzchni Barsoomu. Życząc sobie wzajemnie powodzenia unieśliśmy się w powietrze i poleciliśmy razem w kierunku pałacu.

Zbliżaliśmy się. właśnie do wysokiej wieży, gdy nagle z góry nadleciał patrol, oświetlił moją łódkę reflektorem i zażądał zatrzymania się. Gdy nie zastosowałem się do wezwania, oddał ostrzegawczy strzał, Kantos Kan skrył się. szybko w ciemnościach, a ja pomknąłem naprzód prując z oszałamiającą prędkością marsjańskie niebo, ścigany już przez tuzin łodzi patrolowych, które dołączyły do pierwszej. Wkrótce zauważyłem, że dogania mnie bardzo szybki krążownik, mający na pokładzie stuosobową załogę i baterie szybkostrzelnych karabinów. Klucząc, rzucając moją maszynę to w górę, to w dół udawało mi się. przez cały niemal czas uniknąć ich szperających reflektorów, jednak te wszystkie manewry sprawiły, że krążownik zbliżał się do mnie coraz bardziej. Postanowiłem więc zaryzykować ucieczkę, na wprost i zdać się na los i szybkość mojej łódki.

Kantos Kan nauczył mnie zwiększającej znacznie prędkość sztuczki, znanej tylko we flocie Helium, byłem więc pewien, że zostawią z tyłu moich prześladowców, jeśli tylko uda mi się przez kilka chwil uniknąć trafienia z ich karabinów.

Wyrównałem kurs i nagle ze wszystkich stron usłyszałem świst kul. Pomyślałem, że tylko cud może mnie uratować, ale kości zostały rzucone. Zwiększyłem więc prędkość do maksimum i pomknąłem prosto do Helium. Stopniowo zostawiałem pościg coraz dalej za sobą i zaczynałem już gratulować sobie szczęśliwej ucieczki, gdy dobrze wymierzony strzał uderzył w dziób mej łódki. Wstrząs niemal wywrócił ją dnem do góry. Leciąca rozpędem jeszcze kawałek do przodu, ale potem zaczęła coraz szybciej opadać ku pogrążonej w ciemnościach ziemi.

Nie wiem, na jakiej wysokości udało mi się. wreszcie zapanować nad maszyną, ale musiałem być bardzo nisko, gdyż wyraźnie słyszałem dobiegające mnie z dołu ryki zwierząt. Przeszukałem wzrokiem niebo nade mną i daleko z tyłu zauważyłem zniżające się ku ziemi światła. Najwyraźniej moi prześladowcy lądowali, by odszukać moje szczątki.

Dopiero, gdy ich światła przestały być widoczne, odważyłem się zapalić małą lampkę i spojrzeć na kompas. Z przerażeniem stwierdziłem, że odłamek pocisku zniszczył zarówno mojego jedyne przewodnika, jak i pozostałe przyrządy – szybkościomierz i wysokościomierz. To prawda, że mogłem ustalić ogólny kierunek ku Helium według gwiazd, ale nie znając dokładnego położenia miasta ani prędkości, z jaką się poruszałem miałem bardzo niewielkie szanse trafienia do celu.

Helium nie było położone tysiąc mil na południowy zachód od Zodangi i ze sprawnym kompasem mogłem pokonać tę odległość w cztery do pięciu godzin, zakładając oczywiście, że nie spotkałyby mnie po drodze jakieś przykre przygody. Jednakże gdy nadszedł dzień, a ja miałem za sobą już sześć godzin lotu z dużą prędkością, okazało się, że lecę nad rozległym dnem wyschniętego morza. Wkrótce ujrzałem pod sobą wielkie miasto, ale nie było to Helium, gdyż ono, jako jedyne na Barsoomie, składa się z dwóch wielkich, otoczonych murami ośrodków, odległych od siebie o siedemdziesiąt pięć mil i z wysokości, na której się znajdowałem byłoby one oba łatwo widoczne.

Zawróciłem na południowy zachód, gdyż wydawało mi się, że poleciałem za bardzo na północ i zachód. W ciągu pierwszych godzin nocy natknąłem się na kilka dużych miast, ale żadne z nich nie odpowiadało opisowi Helium, jaki otrzymałem od Kantos Kana. Cechą wyróżniającą to miasto, obok faktu, iż jest ono podwójne, są dwie gigantyczne wieże: pierwsza z nich, o barwie żywego szkarłatu wyrasta niemal na milę z centrum jednego grodu, druga natomiast, jaskrawożółta, ale o równej wysokości, znaczy w podobny sposób gród siostrzany.

Tars Tarkas zyskuje przyjaciela

Okolo północy przeleciałem na niewielkiej wysokości ponad wymarłym miastem starożytnych Marsjan i, gdy płynąłem ku leżącej poza nim równinie, natknąłem się na kilka tysięcy zielonych wojowników, pogrążonych w okrutnej bitwie. Ledwie ich zobaczyłem, a już runęła w moją stronę, lawina strzałów, których niemal nieomylna celność sprawiła, iż po chwili mój mały statek był tylko pozostałością godnym wrakiem, dryfującym bezwolnie ku ziemi.

Spadłem niemal dokładnie w centrum zażartej walki, pomiędzy wojowników, którzy byli tak zajęci śmiertelnymi zmaganiem, iż nie zauważyli mego upadku. Walczyli pieszo przy użyciu długich mieczy i tylko od czasu do czasu strzał snajpera, ukrytego na obrzeżach pola walki, powalał wojownika, który na moment odłączył się od skłębionej masy walczących.

Gdy byłem tuż nad ziemią zorientowałem się, iż będę musiał walczyć lub umrzeć, przy czym szansę na śmierć były wcale niemałe, toteż gruntu dotknąłem z wyciągniętym już mieczem, gotowy bronić się, jak będę umiał.

Znalazłem się tuż za ogromnym potworem, stawiającym czoła trzem przeciwnikom i gdy przez moment ujrzałem jego okrutną, rozjaśnioną ogniem bitwy twarz rozpoznałem w nim Tars Tarkasa. On mnie nie zauważył, gdyż stałem nieco z tyłu. W tym właśnie momencie jego trzech wrogowie, w których rozpoznałem Warhoonczyków, przypuścili jednoczesny, wściekły atak. Olbrzym szybko uporał się z jednym, ale, robiąc krok do tyłu, by zadać następny cios, potknął się o leżące za nim martwe ciało i upadł. Dwaj przeciwnicy błyskawicznie rzucili się ku niemu i jeszcze chwila, a Tars Tarkas byłby równie martwy, jak starożytni Marsjanie. Skoczyłem między niego a szarżujących Warhoonczyków i mieczem zmusiłem ich do zatrzymania się. Powaliłem jednego i zobaczyłem, że Thark, który zdążył się już podnieść, kładzie trupem drugiego.

Dopiero teraz mi się przyjrzał. Uśmiechnął się lekko i położył mi dłoń na ramieniu.

- Bardzo trudno cię poznać, Johnie Carter - powiedział - ale żaden inny śmiertelnik na Barsoomie nie zrobiłby dla mnie tego, co ty przed chwilą. Chyba jednak istnieje coś takiego, jak przyjaźń, przyjacielu.

Nic więcej nie powiedział, ale warunki nie sprzyjały dłuższej rozmowie, gdyż Warhoonczycy znów zaczęli na nas nacierać. Walczyliśmy razem, ramie przy ramieniu, przez całe długie, gorące popołudnie, aż resztki oddziałów Warhoonu dopadły swoich thaatów i uciekły galopem w napływające ciemności.

W tej wielkiej bitwie uczestniczyło dziesięć tysięcy wojowników, z których trzy tysiące zginęło, a ich ciała gęsto zaścielały całą łąkę. Żadna ze stron nie prosiła, ani nie dawała pardonu, nikt też nie brał jeńców.

Po bitwie poszliśmy bezpośrednio do kwater Tars Tarkasa. Zostałem tu sam, gdyż wódz musiał udać się na naradę, którą przeprowadzano zawsze po tego typu wydarzeniu.

Gdy siedziałem, oczekując na powrót zielonego wojownika, usłyszałem, że w sąsiednim pomieszczeniu coś się porusza. Za chwile padłem na jedwabie i futra, przygnieciony cielskiem, dużego, okropnego stworzenia. To był Woola, wierny, kochający Woola. Odnalazł drogę powrotną

do Tharku i, jak mi później powiedział Tars Tarkas, pobiegł natychmiast do pomieszczeń, w których w tym mieście mieszkałem i nie opuszczał ich aż do tej chwili, niezmordowanie oczekując na mój powrót.

- Tal Hajus wie, że tu jesteś - powiedział Tars Tarkas po powrocie z narady. - Sarkoja widziała nas, gdy wracaliśmy i rozpoznała cię. Jeddak rozkazał mi, abym cię dostarczył do niego jeszcze tej nocy. Mam dziesięć thoatów, Johnie Carter, możesz wybrać jednego z nich. Odprowadzę cię do najbliższej drogi wodnej, prowadzącej do Helium. Tars Tarkas jest być może okrutnym zielonym wojownikiem, ale również potrafi być przyjacielem. Chodź, musimy się spieszyć.

- A co będzie z tobą, gdy wrócisz? - spytałem.

- Prawdopodobnie dzikie kaloty albo nawet coś gorszego - odpowiedział. - Chyba, że nadarzy się sposobność do walki z Tal Hajusem, na którą czekam od dawna.

- Zostaniemy, Tars Tarkasie, i pójdziemy dziś w nocy do jeddaka. Nie mogę pozwolić, abyś się poświęcał. Być może właśnie dzisiaj będziesz miał szansę na spełnienie marzeń.

Oponował jeszcze przez chwile przeciwko mojej decyzji, twierdząc, że Tal Hajus na samą myśl o mnie wpada we wściekłość i gdy tylko dostane się w jego ręce będę poddany najwymyślniejszym torturom, ale w końcu zrezygnował, widząc, że mnie nie przekona.

Podczas posiłku opowiedziałem Tars Tarkasowi historie, przekazaną mi przez Sole owej nocy podczas marszu do Tharku. Nie odezwał się ani słowem przez cały czas mojej opowieści, ale naprężające się pod skórą mięśnie świadczyły jak głęboko przeżywał wspomnienie o jedynej istotce, którą kiedykolwiek kochał.

Nie sprzeciwiał się już, gdy zaproponowałem, abyśmy poszli do Tal Hajusa, powiedział tylko, że musi przedtem porozmawiać z Sarkoja. Poszliśmy razem do jej kwatery, a pełne jadowitej nienawiści spojrzenie, jakie mi posłała, było dla mnie niemal dostateczną rekompensatą za wszystkie przyszłe nieprzyjemności, mogące mnie spotkać w związku z tym przypadkowym powrotem do państwa Tharków.

- Sarkojo - powiedział Tars Tarkas - czterdzieści lat temu sprowadziłaś tortury i śmierć na kobietę, imieniem Gozawa. Przed chwilą mi powiedziano, że wojownik, który ją kochał, dowiedział się o roli jaką w tej sprawie odegrałaś. Nie zabije cię, Sarkojo, gdyż nasze obyczaje na to nie pozwalają, ale nic go nie może powstrzymać przed przeprowadzeniem na tobie naukowego eksperymentu. Przywiąże jeden koniec sznura do twojej szyi, a drugi do nogi dzikiego thoata. Sprawdzi w ten sposób twoją odporność i zdolność do przeżycia, co niewątpliwie przyczyni się do ulepszenia naszej rasy. Usłyszałem, że ma zamiar to zrobić wczesnym rankiem, postanowiłem więc cię ostrzec. Przygotowania do pielgrzymki nad rzekę Iss nie zabiorą ci dużo czasu, Sarkojo. Idziemy; Johnie Carter.

Nazajutrz rano Sarkoja zniknęła i od tej pory nikt już jej nie widział.

W milczeniu poszliśmy do pałacu jeddaka i zostaliśmy natychmiast zaprowadzeni do pomieszczenia, w którym Tal Hajus czekał na nas, jak się wydawało z wielką niecierpliwością, gdyż zastaliśmy go stojącego na podwyższeniu i nerwowo spoglądającego w stronę wejścia.

- Przywiązać go do tej kolumny - krzyknął na mój widok. - Ośmielił się uderzyć potężnego Tal Hajusa! Rozgrzać żelazo! Własnoręcznie wypale mu oczy, aby więcej nie obrażał mojej osoby swoim bezczelnym spojrzeniem!

- Wodzowie i dowódcy Tharków! - zwróciłem się do stojącej w pobliżu rady, ignorując Tal Hajusa. - Byłem wśród was dowódcą, a dzisiaj walczyłem z waszymi wrogami, ramię przy ramieniu z największym tharkijskim wojownikiem. Przez wzgląd na to wszystko powinniście mnie choć wysłuchać. Uważacie się przecież za sprawiedliwych ludzi...

- Milczeć! - wrzasnął Tal Hajus. - Zakneblować mu usta i przywiązać jak rozkazałem!

- Miej wzgląd na sprawiedliwość. Tal Hajusie - powiedział Lorquas Ptomel. – Kim jesteś, że wolno ci lekceważyć odwieczne prawa Tharków?

- Tak, sprawiedliwość! - zawtórował mu tuzin głosów.

Podczas, gdy Tal Hajus sapał i parskał ze złości, ja mówiłem dalej:

- Jesteście dzielnymi wojownikami i cenicie odwagę. Powiedzcie, gdzie był wasz potężny jeddak podczas dzisiejszej bitwy? Nie zauważyłem go w ogniu walki. Nie było go tam. Znęca się nad bezbronnymi kobietami i dziećmi, ale kiedy ostatni raz widziano go walczącego z mężczyzną? Nawet ja, o tyle od was mniejszy, powaliłem go jednym uderzeniem pięści. Czy takich wojowników Tharkowie mają w zwyczaju obwoływać jeddakami? Obok mnie stoi wielki Thark, potężny wojownik i szlachetny człowiek. Wodzowie, jakby to brzmiało: Tars Tarkas, jeddak Tharku?

Moja propozycja została powitana pełnymi zadowolenia, potakującymi okrzykami.

- Wystarczy, aby rada wyraziła takie życzenie, a Tal Hajus będzie musiał udowodnić swoje prawo do rządzenia waszym narodem. Gdyby był odważnym mężczyzną, już dawno by wyzwał Tars Tarkasa na pojedynek, gdyż, jak wam wszystkim wiadomo, bardzo go nie lubi. Nie zrobił tego, gdyż się boi. Wasz jeddak, Tal Hajus, jest tchórzem. Ja sam mógłbym go zabić gołymi rękami i on o tym wie.

Zamilkłem, a sala wypełniła się pełną oczekiwania ciszą. Wszystkie oczy zwróciły się na Tal Hajusa. Nie powiedział ani słowa, ale jego zielona twarz wyraźnie zbladła.

- Tal Hajusie - powiedział Lorquas Ptomel zimnym, wyzywającym głosem – jeszcze nigdy, w ciągu całego swojego życia nie widziałem, aby ktoś tak obraził jeddaka Tharków. Na taką zniewagę jest tylko jedna odpowiedź. Czekamy na nią.

Tal Hajus stał jak skamieniały.

- Wodzowie - ciągnął Lorquas Ptomel - czy żądamy, aby Tal Hajus udowodnił swoją wyższość nad Tars Tarkasem?

Wokół podwyższenia było zgromadzonych około dwudziestu wodzów i dowódców i dwadzieścia mieczy zostało podniesionych w powietrze na znak potwierdzenia.

Teraz już nie było wyboru. Życzenie rady było jasne i ostateczne. Tal Hajus dobył miecza i ruszył w stronę Tars Tarkasa. Walka była bardzo krótka i Tars Tarkas, opierając stopę na gardle pokonanego władcy, został obwołany nowym jeddakiem Tharku. Jego pierwszym zarządzeniem było mianowanie mnie pełnoprawnym dowódcą w randze równej tej, jaką sobie wywalczyłem podczas mego poprzedniego wśród nich pobytu.

Widząc, że wojownicy są przychylnie nastawieni zarówno do Tars Tarkasa, jak i do mnie, postanowiłem wykorzystać okazje i nakłonić ich do rozpoczęcia wojny z Zodangą. Opowiedziałem Tars Tarkasowi swoje przygody i w kilku słowach wyjaśniłem, co mam na myśli.

- John Carter przedstawił propozycję - powiedział Tars Tarkas, zwracając się do rady - która zyskuje moją całkowitą aprobatę. Wytłumaczę wam krótko, na czym ona polega. Dejah Thoris, która była naszym więźniem, znajduje się teraz w rakach jeddaka Zodangi. Jest zmuszona poślubić jego syna, aby uchronić swój kraj przed zniszczeniem przez siły Zodangi. John Carter proponuje, abyśmy ją uwolnili i zwrócili Helium. W Zodandze oczekują na nas wspaniałe łupy, a ja często myślałem o tym, że gdybyśmy się sprzymierzyli z Helium moglibyśmy otrzymywać wystarczające dostawy żywności, aby nam to pozwoliło na zwiększenie rozmiarów i częstotliwości wylęgów. W ten sposób osiągnęlibyśmy niekwestionowany prymat wśród zielonych ludzi na Barsoomie. Co wy na to?

Widząc przed sobą perspektywę walki i bogatych łupów przystali na moją propozycję z niesłychanym, jak na Tharków, entuzjazmem. W ciągu pół godziny dwudziestu posłańców

galopowało przez wyschnięte dna mórz, zwołując poszczególne plemiona na wyprawę.

Trzy dni później maszerowaliśmy już w stronę Zodangi w sile stu tysięcy wojowników, gdyż obietnicą bogatych łupów udało się Tars Tarkasowi pozyskać również trzy mniejsze plemiona. Jechałem na czele kolumny, tuż za ogromnym Tharkiem, a przy nogach mojego thoata biegi wierny Woola.

Podróżowaliśmy wyłącznie nocą, ułożywszy plan przemarszu w ten sposób, aby dni spędzać w opuszczonych miastach, kryjąc się wraz ze zwierzętami wewnątrz budynków. Po drodze Tars Tarkas, dzięki swej zręczności i talentom dyplomatycznym, potrafił zwerbować jeszcze pięćdziesiąt tysięcy wojowników z rozmaitych plemion i narodów, tak więc o północy dziesiątego dnia po wymarszu zatrzymaliśmy się pod murami Zodangi mając ze sobą stu pięćdziesiąt tysięcy armię.

Jej siła bojowa była równa dziesięciokrotnie liczniejszej armii czerwonych ludzi. Tars Tarkas powiedział, że jeszcze nigdy w historii Barsoomu nie maszerowała do boju tak wielka liczba zielonych wojowników. Utrzymanie choćby pozorów spokoju między nimi było prawdziwie nadludzkim zadaniem, a z cudem graniczyło to, że udało się wszystkich doprowadzić pod mury miasta bez żadnych poważniejszych, wzajemnych walk.

W miarę zbliżania się do Zodangi osobiste kłótnie i zatargi były coraz rzadsze, ustępując przed wspólną im wszystkim nienawiścią do czerwonej rasy, a szczególnie do Zodangańczyków, którzy od lat prowadzili kampanie, mającą na celu wytrzebiecie zielonych ludzi, zaś szczególną uwagę przywiązywali do niszczenia inkubatorów.

Otwarcie drogi do miasta zostało powierzone mnie. Poradziłem Tars Tarkasowi, aby podzielił siły na dwa oddziały, z których każdy miał się ustawić w bezpiecznej odległości na wprost dwóch głównych bram, prowadzących do miasta. Sam wziąłem dwudziestu pieszych wojowników i podeszedłem do jednego z mniejszych wejść, znajdujących się w regularnych odstępach w otaczających Zodangę murach. Nie miały one stałych straży, ale były pilnowane przez wartowników, którzy patrolowali odpowiednie odcinki biegnącej tuż za murami obwodnicy, tak jak nasza policja miejska patroluje swoje rewiry.

Mury Zodangi, zbudowane z ogromnych bloków karborundum, miały siedemdziesiąt pięć stóp wysokości i pięćdziesiąt stóp grubości. Towarzyszącym mi wojownikom wejście do miasta wydawało się zupełnie niemożliwe. Należeli oni do jednego z mniejszych narodów i dotychczas mnie nie znali. Ustawiłem trzech z nich twarzami do muru i kazałem im trzymać się za ramiona, a na nich poleciłem stanąć następnym dwóm, zaś szóstemu na szczycie tej piramidy. Głowa tego ostatniego znajdowała się na wysokości około czterdziestu stóp nad ziemią. W ten sposób przy pomocy dziesięciu wojowników zbudowałem trzy stopnie, z których ostatnim były ramiona Marsjanina stojącego najwyżej w pierwszej piramidzie. Potem wziąłem krotki rozbieg i skacząc z jednego szczebla tej ludzkiej drabiny na następny, odbiłem się mocno od jej wierzchołka. Zdołałem dosięgnąć palcami krawędzi muru i po chwili stałem już na szerokiej płaszczyźnie, będącej jego szczytem. Ciągnąłem sześć związanych ze sobą rzemieni, które uprzednio wziąłem od sześciu z towarzyszących mi wojowników. Powstała w ten sposób długa lina i teraz jeden jej koniec pedałem stojącemu najwyżej wojownikowi, a drugi opuściłem ostrożnie na ulicę po drugiej stronie muru. Upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma, zszedłem na chodnik przylegający do muru od wewnętrznej strony.

Kantos Kan nauczył mnie wcześniej sposobu, którym można otworzyć te bramy i w chwili później dwudziestu wielkich zielonych wojowników znalazło się w obrębie miasta Zodangi.

Z zadowoleniem zauważyłem, że weszliśmy w punkcie przylegającym do granicy ogromnych terenów, otaczających pałac. Zdecydowałem, że pójdę tam z niewielkim oddziałem, a główne siły

będą atakować koszary wojskowe.

Wysłałem do Tars Tarkasa posłańca z prośbą o pięćdziesięciu Tharków i rozkazałem dziesięciu z towarzyszących mi ludzi opanować i otworzyć jedną z głównych bram, a dziewięciu pozostałym – drugą. To zadanie musiało być wykonane w ciszy, bez jednego wystrzału. Otwarty atak miał nastąpić dopiero w chwili, gdy znajdę się z moim oddziałem w pałacu.

Nasz plan został zrealizowany znakomicie i we wszystkich szczegółach. Dwaj wartownicy, na których się natknęliśmy, zostali wysłani do swoich przodków na brzegi zaginionego morza Korus, a straż przy bramach wkrótce w milczeniu podążyły ich śladem.

Plądrowanie Zodangi

Moich pięćdziesięciu Tharków wjechało na thoatach do środka natychmiast po otwarciu bramy, przy której czekałem. Prowadził ich sam Tars Tarkas. Podjechaliśmy do muru, otaczającego należące do pałacu tereny i odszukaliśmy najbliższe wejście. Przeskoczyłem mur, jednak miałem pewne kłopoty z zamkiem furty. W końcu udało mi się go sforsować i wkrótce mój oddział jechał przez ogrody jeddaka Zodangi.

Zbliżyliśmy się do pałacu i przez okna na parterze zajrzałem do jasno oświetlonej sali audiencyjnej. Była zatłoczona należącymi do wyższych sfer mieszkańcami miasta i ich żonami, co oznaczało, iż odbywa się tam jakaś ważna uroczystość. Wokół pałacu nie zauważyliśmy żadnych straży. Jak przypuszczałem, należało to przypisać przekonaniu Zodangańczyków, iż miasto i pałac dzięki murom są całkowicie niedostępne.

Podszedłem bliżej okien i zobaczyłem, że Than Kosis, otoczony dworzanami, oficerami i dygnitarzami siedzi pod jedną ze ścian sali, na złotym błyszczącym od diamentów tronie, zaś naprzeciw niego ciągnie się szerokie przejście, oddzielone od tłumu dwoma szeregami żołnierzy. W momencie, w którym spojrzałem, z przeciwnego końca sali wszedł w to przejście początek orszaku i powoli zaczął zbliżać się ku tronowi. Na jego czele szło czterech oficerów gwardii jeddaka, niosących ogromną tace, na której, na poduszce ze szkarłatnego jedwabiu, spoczywał wielki, złoty łańcuch, zakończony z obu stron zamykanymi na kłódki kołnierzami. Kolejni czterej oficerowie nieśli na podobnej tacy pięknej roboty insygnia księcia i księżniczki Zodangi. U stop tronu te dwie grupy rozdzieliły się i stanęły po obu stronach przejścia, twarzami ku sobie.

Następna cześć orszaku składała się z dygnitarzy rządowych, oficerów armii i służby pałacowej, a po nich ukazały się dwie postacie, szczelnie owinięte w szkarłatny jedwab. Zatrzymały się tuż przed tronem, z twarzami zwróconymi ku Than Kosisowi. Pozostała cześć orszaku weszła do sali i ustawiła się na swoich miejscach, a wtedy jeddak wstał i zaczął coś mówić. Nie słyszałem słów, ale zauważyłem, że jakiś oficer podszedł do jednej z postaci i zdjął z niej szkarłatne okrycie. Zrozumiałem, że Kantos Kanowi nie udało się zakończyć sukcesem swojej misji, gdyż przed tronem stał Sab Than, cały i zdrowy.

Than Kosis wziął z jednej z tac insygnia i podał synowi, potem nałożył mu na szyję przymocowany do łańcucha kołnierz i zamknął kłódkę. Powiedział do niego jeszcze kilka słów, a potem odwrócił się ku drugiej postaci. Oficer zdjął z niej jedwabne okrycie i moim oczom ukazała się Dejah Thoris, księżniczka Helium.

Cel tej uroczystości stał się dla mnie zupełnie jasny – za chwilę Dejah Thoris zostanie połączona na zawsze z księciem Zodangi. Zapewne była to bardzo piękna, robiąca duże wrażenie uroczystość, ale mnie wydała się ona najwstrętniejszą ze wszystkich, jakie dotychczas widziałem. W chwili, gdy zobaczyłem, że insygnia zostały przypięte do piersi Dejah Thoris, a Than Kosis trzyma w rękach gotowy do zapięcia kołnierz, uniosłem nad głowę miecz i jego ciężką rękojeścią uderzyłem w szybę, rozbijając ją na drobne kawałki. Wpadłem do środka i jednym skokiem znalazłem się obok skamieniałego ze zdumienia Than Kosisa. Podniosłem miecz i potężnym uderzeniem rozciąłem

łańcuch, który miał połączyć Dejah Thoris z innym mężczyzną.

Powstało ogromne zamieszanie, błysnęło tysiąc mieczy, a każdy z nich był dla mnie groźbą. Jednak nie miałem czasu się nimi przejmować, gdyż Sab Than, wyciągnąwszy ze stroju weselnego wysadzany drogimi kamieniami sztylet, rzucił się na mnie, jak rozjuszona pantera. Mógłbym go z łatwością zabić, ale obyczaj, zakorzeniony na Barsoomie od wieków, wstrzymał mą rękę i tylko, chwyciwszy jego dłoń, uzbrojoną w zmierną ku memu sercu sztylet i trzymając ją jak w imadle, wskazałem końcem mego miecza przeciwległy kraniec sali.

- Zodangą upadła! - krzyknąłem. - Spójrzcie!

Wszystkie oczy skierowały się w stronę, którą wskazywałem, a tam, przez wejściowe portale, wjeżdżał Tars Tarkas na czele swych pięćdziesięciu, dosiadających ogromnych thoatów wojowników.

Z gardeł zebranych wyrwały się okrzyki zdziwienia, lecz nie trwogi, i już po chwili żołnierze i szlachta Zodangi wspólnie rzucili się na nadchodzących Tharków.

Pchnąłem Sab Thana tak, iż runął jak długi i przyciągnąłem Dejah Thoris do mego boku. Zauważyłem, że z tyłu, za tronem, są niewielkie drzwi, lecz teraz stał przy nich Than Kosis z wyciągniętym mieczem. Natarłem na niego i już po chwili przekonałem się, iż natknąłem się na godnego przeciwnika. Walcząc, krążyliśmy po podwyższeniu, na którym stał tron i w pewnym momencie kątem oka zobaczyłem Sab Thana, wbiegającego na nie na pomoc swemu ojcu. Jednak gdy podniósł on rękę do ciosu wyrosła przed nim Dejah Thoris, a potem mój miecz zadał cios, który uczynił go jeddakiem Zodangi.

Gdy jego ojciec toczył się martwy po podłodze, nowy jeddak wyrwał się Dejah Thoris i znowu stanęliśmy twarzą w twarz. Nie był już sam, gdyż dołączyło do niego czterech oficerów i, z plecami przyciśniętymi do złotego tronu, jeszcze raz walczyłem o Dejah Thoris. Byłem w ciężkich opałach broniąc się, a jednocześnie musząc uważać, by nie zabić Sab Thana, a wraz z nim ostatniej szansy na zdobycie ukochanej kobiety. Ostrze mego miecza migało jak błyskawica, parując wymierzone we mnie pchnięcia i uderzenia. Wytrąciłem broń z dłoni dwóch oficerów, trzeci leżał martwy, ale nadbiegali inni, by pomóc w walce nowemu władcy i pomścić starego.

Nagle do moich uszu dobiegły okrzyki: „Kobieta! Kobieta! Zabić ją! To jej intryga! Zabić ją!”

Krzyknąłem do Dejah Thoris, aby skryła się za moimi plecami, a sam zacząłem cofać się ku znajdującym się niedaleko małym drzwiczkom. Oficerowie jednak przejrzyli moje zamiary i trzech z nich przebiegło wokół tronu za moje plecy, uniemożliwiając mi w ten sposób zajęcie pozycji, w której mógłbym bronić Dejah Thoris przed nacierającym tłumem szermierzy.

Tharkowie mieli ręce pełne roboty w centrum sali i zacząłem się poważnie obawiać, że tylko cud może uratować życie Dejah Thoris i moje własne. Wtedy zobaczyłem Tars Tarkasa, prącego ku nam poprzez rojący się wokół niego tłum pigmejów. Jedno uderzenie jego potężnego miecza kładło trupem kilku przeciwników i tak wycinał sobie drogę ku nam, aż wreszcie stanął obok mnie na podwyższeniu, siejąc wokół śmierć i zniszczenie.

Odwaga Zodangańczyków była naprawdę imponująca – nikt nie usiłował ratować się ucieczką i walka zakończyła się tylko dlatego, że jedynymi pozostałymi w sali żywymi istotami, oprócz mnie i Dejah Thoris, byli Tharkowie.

Sab Than leżał martwy obok swego ojca, a cała ogromna podłoga była zasłana ciałami zodangańskiej szlachty i korpusu oficerskiego.

Moja pierwsza myśl po otrząśnięciu się z gorączki bitewnej dotyczyła Kantos Kana. Zostawiłem Dejah Thoris pod opieką Tars Tarkasa, wziąłem dwunastu wojowników i poszedłem do pałacowych podziemi. Strażnicy więzienni przyłączyli się do bitwy w sali tronowej, przeszukiwaliśmy więc

ukryty pod pałacem labirynt nie natykając się na żaden opór.

W każdym nowym korytarzu i pomieszczeniu krzyczałem głośno imię Kantos Kana i w końcu moje wysiłki zostały nagrodzone, gdyż usłyszałem słabą, dobiegającą z głębi pobliskiego korytarza odpowiedź. Poszedłem za głosem i wkrótce go znalazłem, przykutego do ściany w najciemniejszym kącie jednej z więziennych cel.

Bardzo się ucieszył na mój widok, a jego radość jeszcze wzrosła, gdy mu powiedziałem o przyczynie i rezultacie walki, której dalekie odgłosy dobiegały do jego celi. Wyjaśnił mi, że został schwytany przez patrol powietrzny, zanim zdołał dotrzeć do pałacowej wieży, tak wiać nawet nie widział Sab Thana.

Próby przecięcia krepujących go łańcuchów okazały się daremne, więc, stosując się do jego sugestii, wróciłem do sali tronowej, by przeszukać ciała zabitych i spróbować odnaleźć klucze do spinających łańcuchy kłódek.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zwłoki strażnika więziennego znalazły się wśród pierwszych przeszukanych przeze mnie trupów. Kantos Kan stał wkrótce obok nas w sali tronowej.

Z ulic miasta dobiegały odgłosy salw armatnich, przemieszane z gęstą strzelaniną z broni indywidualnej, wrzawą i krzykami. Tars Tarkas wybiegł, by przejąć dowództwo nad wojskami, Kantos Kan poszedł z nim jako przewodnik, zieloni wojownicy rozpoczęli penetrowanie pałacu w poszukiwaniu ukrywających się Zodangańczyków i łupów. Zostałem sam z Dejah Thoris.

Usiadła na złotym tronie, a gdy do niej podszedłem uśmiechnęła się słabo.

- Czy wszyscy mężczyźni na Ziemi są podobni do ciebie? - spytała. - Jeszcze nikogo takiego na Barsoomie nie widziano. Samotny, prześladowany, na obcej ziemi potrafiłeś w kilka krótkich miesięcy dokonać tego, czego nie dokonał jeszcze nikt w ciągu całej historii Barsoomu: zjednoczyć dzikie plemiona z wyschniętych mórz i zrobić z nich sprzymierzeńców czerwonych ludzi.

- Odpowiedź jest prosta - powiedziałem z uśmiechem - to nie ja tego dokonałem, to miłość – miłość do Dejah Thoris. Jej potęga gotowa jest tworzyć cuda jeszcze większe niż te, które widziałaś.

Jej twarz oblała się rumieńcem.

- Teraz już możesz tak mówić, Johnie Carter, a ja mogę tego słuchać, gdyż jestem wolna.

- Mam jeszcze dużo do powiedzenia, zanim znów będzie zbyt późno. Zrobiłem w życiu wiele dziwnych rzeczy, wśród nich takie, na które ludzie ode mnie mądrzejsi nigdy by się nie odważyli, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie śniło mi się, że zdobędę dla siebie Dejah Thoris, gdyż nigdy nawet nie śniłem, że gdzieś we wszechświecie istnieje taka kobieta, jak księżniczka Helium. Nie peszy mnie to, że pochodzisz z królewskiego rodu, ale wystarczy wszystko, czym poza tym jesteś, abym, prosząc cię o rękę, wątpił w swój rozsądek.

- Nie powinien w nic wątpić ten, kto z góry zna odpowiedź na swą prośbę - powiedziała. Potem wstała i położyła mi ramię na ramionach. Objąłem ją i pocałowałem.

I tak w samym środku miasta ogarniętego ogniem krwawych walk, wypełnionego śmiercią i zniszczeniem Dejah Thoris, księżniczka Helium, nieodrodna córka Marsa, boga wojny, przyrzekła swą rękę Johnowi Carterowi, gentlemanowi z Wirginii.

Przez rzeź ku radości

Nieco później Kantos Kan i Tars Tarkas wrócili z wiadomościami, że Zodanga została pokonana, a jej wojska uległy zniszczeniu lub dostały się do niewoli. Udało się co prawda uciec kilku okrętom wojennym, ale w ręce tharkijskich wojowników wpadły tysiące statków, handlowych i bojowych.

Mniejsze plemiona rozpoczęły łupienie na własną rękę, kłócąc się przy tym o zdobycz, postanowiliśmy więc zebrać tylu wojowników, ilu będzie można, obsadzić zodangańskimi jeńcami jak najwięcej latających maszyn i natychmiast wyruszyć do Helium.

Pięć godzin później wystartowaliśmy z lądowisk na dachach budynków w sile dwustu pięćdziesięciu statków bojowych, niosących na pokładach blisko sto tysięcy zielonych wojowników. Za nami leciała flotylla transportowców, załadowana dobytkiem i zwierzętami.

Zostawiliśmy pokonane miasto w szponach czterdziestu tysięcy wojowników, należących do mniejszych plemion, którzy grabili, mordowali i toczyli między sobą zajadłe walki o łupy. W blisko stu miejscach podłożyli oni ogień i nad miastem unosiły się słupy gęstego dymu, jakby ktoś chciał położyć zasłonę na dziejące się tam potworności.

Wczesnym popołudniem ujrzeliśmy wieże Helium, szkarłatną i żółtą. Wkrótce z obozu oblegających miasto Zodangańczyków uniosła się w niebo wielka flota statków bojowych i poleciała nam na spotkanie. Na każdym z naszych okrętów wywiesiliśmy sztandary Helium. Zodanganczycy jednak nie potrzebowali tych znaków, aby wiedzieć, że jesteśmy nieprzyjaciółmi, gdyż nasi zieloni wojownicy otworzyli ogień, gdy tylko ich statki oderwały się od ziemi. Ze śmiertelną celnością posyłali zbliżającej się flocie salwę za salwą.

Mieszkańcy Helium rozpoznali w nas przyjaciół i z obu bliźniaczych miast wystartowały setki spieszących nam na pomoc okrętów. Rozpoczęła się prawdziwa bitwa powietrzna, pierwsza, jakiej byłem świadkiem.

Statki, na których znajdowali się zieloni wojownicy krążyły ponad ścierającymi się flotami Zodangi i Helium, gdyż ich pokładowe baterie w rękach nie umiejących się nimi posługiwać zielonych ludzi były bezużyteczne. Jednakże strzelby zbierały żniwo śmierci i ich ogień wpłynął w bardzo znacznym stopniu na ostateczny, wynik bitwy, a może nawet o nim zadecydował.

Z początku obie floty krążyły na tej samej wysokości, posyłając sobie wzajemnie salwy dział burtowych. W pewnej chwili jedna z tych salw trafiła największy z zodangańskich statków, wyrывая w jego burcie ogromną dziurę. Potężna maszyna przechyliła się na bok, wyrzucając członków załogi na zewnątrz. Drobne figurki kręcąc się i koziołkując poleciały ku leżącej tysiąc stóp niżej ziemi, a za nimi, ze wzrastającą wciąż prędkością, opadł statek i wbił się niemal całkowicie w miękką, gliniasty grunt dawnego dna morskiego.

Z piersi Heliumitów wydarł się dziki wrzask tryumfu i ze zdwojoną zaciekłością zaatakowali wrogą flotę. Dzięki pięknie przeprowadzonemu manewrowi dwa okręty z Helium wzniosły się na większą wysokość i z umieszczonych w dnach wyrzutni zaczęły obrzucać przeciwników eksplodującymi bombami.

Wkrótce pozostałe okręty Heliumitów, jeden za drugim, zajmowały pozycje ponad

Zodangańczykami i w niedługim czasie znaczna liczba statków, należących do oblegającej miasto armii była bezradnymi wrakami, dryfującymi ku wysokiej, szkarłatnej wieży w centrum większego z miast Helium. Kilka innych próbowało uciekać, ale natychmiast były otaczane przez tysiące jednoosobowych łodzi, a nad każdym z nich unosił się gotowy do przerwania desantu krążownik floty Helium. Bitwa dobiegała końca w niespełną godzinę od chwili, w której z obozu zwycięskiej armii Zodangi flota statków powietrznych wyruszyła nam na spotkanie. Ocalałe zodangańskie okręty były kierowane jako zdobycz ku miastom Helium. Ich poddawaniu się towarzyszył stary, niezwykle patetyczny obyczaj, który wymagał, aby dowódca idącego do niewoli okrętu dobrowolnie z niego wyskoczył. Ci odważni ludzie, trzymając wzniesione nad głową sztandary swych rodów, jeden po drugim skakali ze swych mostków, wprost w objęcia czekającej ich kilkaset stóp niżej śmierci.

Walka wygasła całkowicie dopiero wtedy, gdy śmiertelny skok wykonał naczelny dowódca floty, dając tym samym sygnał do poddania się stawiającym jeszcze opór jednostkom i kładąc kres bezsensownemu poświęcaniu życia dzielnych żołnierzy.

Zasygnalizowaliśmy okrętowi flagowemu floty Helium, aby podleciał bliżej, a gdy był w zasięgu głosu krzyknąłem, że na pokładzie naszego statku znajduje się Dejah Thoris i że chcemy, aby została przetransportowana na okręt flagowy i jak najszybciej zawieziona do Helium.

Gdy przekazana przeze mnie wiadomość dotarła w pełni do ich świadomości, ze wszystkich pokładów podniósł się potężny krzyk radości, za którym natychmiast podążyło wywieszenie setek flag w barwach księżniczki. Wkrótce załogi pozostałych statków floty zrozumiały znaczenie przekazywanych im sygnałów i wszystkie pokłady wśród radosnej wrzawy zakwitły barwami Dejah Thoris.

Okręt flagowy zbliżył się do nas i natychmiast po tym, jak burty obu statków zetknęły się miękko, na i nasz pokład wpadło kilkunastu oficerów floty Helium. Zrobili kilka kroków i stanęli jak wryci, patrząc osłupiałym wzrokiem na setki zielonych wojowników, którzy opuścili już swoje stanowiska bojowe i stali w luźnych grupach wzdłuż całego pokładu. Wkrótce pojawił się Kantos Kan i oficerowie zgromadzili się wokół niego, zasypując go gradem pytań. Nie słuchali jednak odpowiedzi, gdyż po chwili cała ich uwaga zajęta była zbliżającą się ku nim w moim towarzystwie Dejah Thoris. Księżniczka pozdrowiła uprzejmie oficerów, wymieniając imię każdego z nich. Znała ich dobrze, gdyż wszyscy, jako cieszący się szacunkiem żołnierze, bywali na dworze jej dziadka.

- Połóżcie swoje dłonie na ramieniu Johna Cartera - powiedziała w końcu, wskazując na mnie. - Jest to człowiek, któremu Helium zawdzięcza zarówno swoją księżniczkę, jak i dzisiejsze zwycięstwo.

Zasypali mnie uprzejmościami i komplementami, a jak się wydawało największe wrażenie zrobiło na nich to, iż w uwolnieniu księżniczki i wyzwoleniu Helium udało mi się zdobyć pomoc dzikich Tharków.

- Bardziej niż mnie powinniście dziękować temu oto człowiekowi - powiedziałem, wskazując Tars Tarkasa. - Jest to jeden z najwybitniejszych na Barsoomie żołnierzy i mężów stanu, Tars Tarkas, jeddak Tharku.

Pozdrowili zielonego wojownika z tą samą układną grzecznością, z jaką zwracali się do mnie. Ogromny Thark odpowiedział równie gładkim i dworskim językiem, czego, musze się przyznać, wysłuchałem z nie małym zdziwieniem.

Dejah Thoris przeszła na pokład okrętu flagowego i była bardzo zaskoczona, że ja z nią tam nie zostaję. Wy tłumaczyłem jej, że bitwa jest tylko częściowo wygrana, zostały jeszcze siły lądowe Zodangi i nie mogę opuścić Tars Tarkasa, dopóki nie zostaną one w pełni rozgromione.

Dowódca floty powietrznej Helium obiecał, że wszystko zostanie tak zorganizowane, by siły

lądowe Helium uderzyły w tym samym momencie, w którym my zaatakujemy oblegających miasto Zodangańczyków. Potem statki rozdzieliły się i Dejah Thoris tryumfalnie powróciła na dwór swego dziadka, Tardos Morsa, jeddaka Helium. Flota statków transportowych, na których znajdowały się thoaty zielonych wojowników, przeczekała bitwę w pewnym oddaleniu i teraz musieliśmy się zająć wyładowywaniem zwierząt na ziemi. Nie posiadaliśmy platform desantowych i realizacja tego zadania wydawała się być bardzo trudna, ale nie pozostawało nam nic innego. Poleciliśmy ku transportowcom i zabraliśmy się do pracy.

Byliśmy zmuszeni opuszczać zwierzęta na linach i zajęło nam to pozostałą część nocy oraz połowę następnego dnia. Dwukrotnie zostaliśmy zaatakowani przez kawalerie zodangańską, ale z łatwością i bez większych strat odparliśmy te ataki, a po zapadnięciu nocy napastnicy wycofali się zupełnie.

Natychmiast, gdy ostatni thaat znalazł się na ziemi, Tars Tarkas dał rozkaz do wymarszu. Podzieleni na trzy oddziały podjeżdżaliśmy ostrożnie od północy, wschodu i południa ku wrogiemu obozowi.

W odległości około, mili od głównego obozu natknęliśmy się na wysunięte posterunki, co, jak to uprzednio ustaliliśmy, było sygnałem do otwartego ataku. Z dzikim, przeraźliwym wrzaskiem mieszającym się z piskami czujących bliską bitwę thaatów runęliśmy na obóz Zodangi.

Przypuszczaliśmy, że uda się nam ich zaskoczyć, jednak okazało się, że nacieramy na dobrze przygotowane, umocnione pozycje, pełne oczekujących nas żołnierzy. Nasze ataki były odpierane raz za razem i około południa zacząłem się poważnie obawiać o wynik bitwy.

Lądowa armia Zodangi liczyła około miliona żołnierzy, zebranych z całej planety, zewsząd, gdzie sięgały podobne do wstęp drogi wodne, natomiast przeciwko nim stawało niecałe sto tysięcy zielonych wojowników. Posiłki z Helium nie pojawiły się, nie przysłano też żadnej wiadomości.

Dopiero w południe usłyszeliśmy gęstą strzelaninę, dobiegającą z obszaru oddzielającego obóz od miasta. Znaczyło to, że wreszcie nadeszli oczekiwani z taką niecierpliwością sojusznicy. Tars Tarkas wydał rozkaz do następnej szarży i jeszcze raz potężne thoaty poniosły straszliwych jeźdźców na nieprzyjacielskie szańce. W tej samej chwili oddziały z Helium przypuściły szturm z przeciwnej strony i obóz znalazł się między młotem a kowadłem. Zodangańczycy walczyli dzielnie, ale ich opór był daremny.

Równina przed miastem przekształciła się w prawdziwą jatkę, jednak stopniowo walki wygaszały i wkrótce ustały zupełnie. Ogromna ilość Zodangańczyków padła lub dostała się do niewoli. Kolumny jeńców pomaszerowały w stronę Helium, a my wjechaliśmy przez główną bramę miasta tryumfalnym pochodem, witani jak bohaterowie. Wzdłuż szerokich ulic tłoczyły się kobiety i ci nieliczni mężczyźni, którym obowiązki nie pozwoliły wziąć udziału w bitwie. Jechaliśmy wśród nie milknących oklasków, obdarowywani ozdobami ze złota, srebra, platyny i drogich kamieni. Miasto szalało z radości.

Największy, entuzjazm i podniecenie budzili srodzy Tharkowie. Nigdy przedtem uzbrojony zielony wojownik nie przekroczył bram Helium, a świadomość, że teraz przychodzą oni tutaj jako przyjaciele i sprzymierzeńcy napełniała czerwonych ludzi jeszcze większą radością.

Tego, iż moja niegodna służba dla Dejah Thoris stała się powszechnie wiadoma Heliumitom, dowodziło głośne wykrzykiwanie mego imienia, a także niezliczone ozdoby, wieszane na mnie i moim ogromnym thoacie, gdyż nawet straszliwy wygląd Wooli nie powstrzymywał mieszkańców Helium od tłoczenia się wokół mnie.

Gdy zbliżyliśmy się do pałacu, spotkaliśmy grupę oficerów, którzy pozdrowili nas serdecznie, zwracając się z prośbą, abyśmy zsiadli z thaatów i towarzyszyli im w drodze do Tardos Morsa, który

pragnie przekazać nam wyrazy wdzięczności za naszą służbę.

Królewski orszak stał na szczycie wielkich schodów, wiodących ku głównemu wejściu do pałacu i gdy weszliśmy na pierwsze stopnie od orszaku odłączyła się jedna osoba i zaczęła schodzić nam naprzeciw. Był to niemal perfekcyjny okaz mężczyzny: wysoki, prosty jak strzała, wspaniale zbudowany, o ruchach i postawie człowieka, nawykłego rozkazywać innym. Na pierwszy rzut oka rozpoznałem Tardos Morsa, jeddaka Helium.

Pierwszym z naszej grupy, do którego się zwrócił, był Tars Tarkas, a słowa, jakie wypowiedział stanowiły podstawę nowej, trwałej przyjaźni pomiędzy ich rasami.

- Możliwość spotkania największego żyjącego wojownika Marsa - rzekł - jest dla Tardos Morsa bezcennym zaszczytem, ale daleko większe znaczenie ma fakt, iż może on położyć dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Jeddaku Helium - odpowiedział Tars Tarkas - to, że zieloni wojownicy poznali znaczenie przyjaźni jest zasługą człowieka, przybyłego z innego świata, jemu Tharkowie zawdzięczają możliwość zrozumienia twoich słów, możliwość doceniania i odwzajemniania uczucia, którym tak hojnie nas obdarzyłeś.

Tardos Mors pozdrowił teraz zielonych jeddaków oraz wszystkich jedów i do każdego z nich zwrócił się ze słowami przyjaźni i szacunku.

Potem podszedł do mnie i położył obie dłonie na moich ramionach.

- Witaj, mój synu - powiedział. - Niech dowodem mojego najwyższego uznania dla Ciebie będzie fakt, iż powierzam ci najpiękniejszy klejnot Helium.

Następnie zostaliśmy przedstawieni Mors Kajakowi, jedowi mniejszego Helium i ojcu Dejah Thoris. Szedł on tuż za Tardos Morsem i zauważyłem, że okazywał jeszcze większe wzruszenie niż jego ojciec. Kilkakrotnie próbował wyrazić mi swoją wdzięczność, ale głos mu się załamywał i nie mógł powiedzieć ani słowa, chociaż jako wojownik słynął z wielkiej odwagi i okrucieństwa. Jak całe Helium uwielbiał swoją córkę i nie mógł bez głębokiego wzruszenia myśleć o tym, czego uniknęła.

Od radości ku śmierci

Przez dziesięć dni plemię z Tharku i jego dzicy sojusznicy byli fetowani i ugaszczani, a potem, obładowani kosztownymi prezentami i odprowadzani przez dziesięć tysięcy żołnierzy z Helium pod dowództwem Mors Kajaka, ruszyli w drogę powrotną do swych domów. Jed mniejszego Helium wraz z niewielką grupą dostojników towarzyszył im do samego Tharku, aby umocnić zadzierzgnięte wieży i przyjaźni i pokoju.

Wraz z Tars Tarkasem odjechała Sola. Jeddak Tharku oficjalnie, w obecności całej rady plemienia, uznał ją za swą córką.

Trzy tygodnie później Mors Kajak, dostojnicy oraz Tars Tarkas i Sola wrócili specjalnie wysłanym po nich statkiem bojowym do Helium, aby wziąć udział w uroczystościach, które miały połączyć Dejah Thoris i Johna Cartera.

Przez dziewięć lat uczestniczyłem w radach i walczyłem w siłach zbrojnych Helium jako księżę, należący do domu Tardos Morsa. Mieszkańcy Helium zdawali się być niezmordowani w świadczeniu mi uprzejmości, nie było również dnia, w którym nie dostarczaliby nowych dowodów miłości dla mojej księżniczki, niezrównanej Dejah Thoris.

W złotym inkubatorze na dachu naszego pałacu spoczywało śnieżnobiałe jajo. Bez przerwy od niemal pięciu lat trzymało przy nim warte dziesięciu żołnierzy w gwardii jeddaka, a Dejah Thoris i ja, przychodziliśmy tam niemal każdego dnia, by trzymając się za ręce snuć plany na przyszłość i marzyć o i dniach, które nastąpią, gdy pęknie skorupka.

Wciąż żywy w mojej pamięci jest obraz owej ostatniej nocy, którą spędziliśmy przy inkubatorze, siedząc blisko siebie, rozmawiając ściszymi głosami o dziwnym romansie, który związał nas ze sobą i o cudownym zdarzeniu, które miało zwielokrotnić nasze szczęście i spełnić nadzieje.

W pewnej chwili zauważyliśmy jasne światła zbliżającego się statku powietrznego, ale w pierwszej chwili nie zwróciliśmy uwagi na tak codzienny, zwyczajny widok. Jednak statek zbliżał się do Helium z szybkością błyskawicy, co mogło zwiastować, iż przynosi ważne wiadomości. W końcu świetlnymi sygnałami dał znać, że przynosi wieści, przeznaczone dla samego Jeddaka, a potem krążył niespokojnie nad miastem, oczekując na łódź patrolową, która miała mu towarzyszyć do pałacowego lądowiska.

Dziesięć minut po wylądowaniu statku przybiegł posłaniec z poleceniem, abym natychmiast przybył do pokoju narad. Zastałem w nim już niemal wszystkich członków rady. Na ustawionym na podwyższeniu tronie siedział Tardos Mors, a jego twarz wyrażała najwyższy niepokój. Gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, przywitał nas i powiedział:

- Dzisiaj rano szereg rządów Barsoomu zostało powiadomionych, że już od dwóch dni nie nadchodzą raporty od nadzorcy fabryki powietrza, bez odpowiedzi pozostają również liczne, kierowane do niego z całego Barsoomu wezwania. Ambasadorowie wielu krajów zwrócili się do nas, abyśmy wzięli te sprawę w swoje ręce i jak najszybciej przetransportowali do fabryki drugiego nadzorcę, asystenta. Tysiące naszych statków poszukiwało go przez cały dzień, a kilkanaście minut temu jeden z nich wrócił, przywożąc straszliwie okaleczone ciało, które znaleziono w piwnicach pod

jego domem. Nie musze wam tłumaczyć, jakie to wszystko ma dla Barsoomu znaczenie. Przebicie potężnych murów fabryki zajmie kilka miesięcy, ale praca już się rozpoczęła i nie byłoby powodów do obaw, gdyby pompy działały prawidłowo, tak, jak od kilkuset lat. Jednak zdarzyło się to, czego obawialiśmy się najbardziej. Czujniki na całym Barsoomie sygnalizują, że ciśnienie atmosferyczne gwałtownie maleje. Maszyny przestały pracować.

- Moi panowie - zakończył - pozostały nam najwyżej trzy dni życia.

Przez kilka minut w sali panowała absolutna cisza, potem podniósł się jakiś młodzieniec i wznosząc nad głową obnażony miecz zwrócił się do Tardos Morsa:

- Obywatele Helium zawsze szcycili się tym, iż swoim przykładem pokazują całemu Barsoomowi, jak naród czerwonych ludzi powinien żyć, teraz mamy sposobność pokazać wszystkim jak powinien umrzeć. Powróćmy do swoich codziennych obowiązków, jakbyśmy mieli przed sobą jeszcze tysiące pracowitych lat.

Sala rozbrzmiała oklaskami, a ponieważ nie mogliśmy zrobić nic innego, niż rozproszyć strach ludu własnym przykładem, wyszliśmy z sali z uśmiechem na ustach, chociaż serca zżerał nam smutek. Gdy wróciłem do mojego pałacu zorientowałem się, że wieść dotarła już do Dejah Thoris, więc powtórzyłem jej wszystko, co sam usłyszałem.

- Byliśmy bardzo szczęśliwi, Johnie Carter- powiedziała - i dziękuje, losowi, bez względu na to, jakim on będzie, że pozwala nam umrzeć razem.

W ciągu następnych dwóch dni zmiana gęstości powietrza była prawie niezauważalna, ale rankiem trzeciego dnia oddychanie na dachach najwyższych budynków sprawiało już poważne trudności. Ulice i place Helium były wypełnione ludźmi. Przerwano wszelkie codzienne zajęcia. Większość mieszkańców Helium dzielnie patrzyła w twarz okrutnemu przeznaczeniu, jednak gdzieś tam można było zauważyć kobiety i mężczyzn pograżonych w cichej, beznadziejnej rozpacz.

Około południa wielu słabszych fizycznie poczęło mdleć, a godzinę później ludzie Barsoomu tysiącami tracili przytomność, zapadając w poprzedzającą zwykle śmierć przez uduszenie nieświadomość.

Dejah Thoris, ja i inni członkowie rodziny królewskiej zebraliśmy się w zamkniętym ogrodzie na wewnętrznym dziedzińcu pałacu. Siedzieliśmy w milczeniu, tylko od czasu do czasu rzucając ściszym głosem jakieś krótkie zdanie. Wszyscy czuliśmy unoszące się nad nami widmo okrutnej, nieuchronnej śmierci. Nawet Woola zdawał się przeczuwać nadchodzące nieszczęście, tulił się do Dejah Thoris i do mnie, wyjąc żałośnie.

Na prośbę Dejah Thoris inkubator został przyniesiony z dachu naszego pałacu i księżniczka siedziała obok niego, wpatrując się pełnym tęsknoty wzrokiem w rodzące się nowe życie, którego nigdy już nie pozna.

Gdy oddychanie zaczęło już sprawiać wyraźną trudność, Tardos Mors podniósł się i powiedział:

- Pożegnajmy się. Wielkie dni Barsoomu minęły. Słońce, wstając jutro, ujrzy martwy świat który po wieczne czasy krążyć będzie w przestrzeni, pusty i zapomniany. To już koniec.

Ucałował należące do rodziny kobiety, a potem podchodził do mężczyzn, kładąc im na ramionach swe silne dłonie. Odwróciłem się od niego pełen smutku i mój wzrok padł na Dejah Thoris. Jej głowa bezwładnie zwisała na piersi, wydawało się, iż już umarła. Rzuciłem się ku niej z krzykiem i przytuliłem ją mocno. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

- Pocałuj mnie, Johnie Carter - wyszeptała. - Kocham cię. Jakże okrutne jest to, że musimy się rozłączyć, my, którzy dopiero zaczęliśmy życie w szczęściu i miłości.

Pocałowałem ją i wtedy ogarnęło mnie znajome uczucie - w moich żyłach zagrała wirgińska

krew, wróciła odwaga i poczucie dawnej siły.

- Tak się stać nie może! - krzyknąłem. - Musi istnieć jakieś rozwiązanie i John Carter, który wywalczył sobie w obcym świecie twoją miłość, odnajdzie je!

I wtedy z głębi mojej pamięci wypłynęło dziewięć zapomnianych dźwięków. Ich znaczenie, jak błysk rozjaśniającej ciemności błyskawicy, dotarło do mojej świadomości – klucz do trzech ogromnych drzwi fabryki powietrza!

Ciągle trzymając w objęciach moją umierającą księżniczkę odwróciłem się do Tardos Morsa i krzyknąłem:

- Jeddaku, prędko! Rozkaż, aby na dach pałacu natychmiast dostawiono najszybszą latającą maszynę! Może jeszcze będę mógł uratować Barsoom.

Nie zadawał żadnych pytań i w chwili później któryś z gwardzistów pospieszył do najbliższych hangarów. Mimo iż na dachach budynków powietrze było już bardzo rozrzedzone, udało im się uruchomić najszybszą jednoosobową łódkę zwiadowczą, jaką kiedykolwiek wyprodukowano na Barsoomie. Ucałowałem Dejah Thoris i przykazałem Wooli, który chciał biec za mną, aby jej pilnował, a potem równie sprawnie, jak dawniej, wskoczyłem na dach pałacu i za chwile leciałem już ku przedmiotowi nadziei całego Barsoomu. Musiałem lecieć bardzo nisko, aby mieć dostateczną ilość powietrza do oddychania, ale na szczęście najkrótsza droga prowadziła nad płaskim dnem wyschniętego morza, więc mogłem szybować zaledwie kilka stóp nad ziemią.

Wyciskałem z łódki wszystkie możliwości, gdyż wiedziałem, że rozgrywam wyścig ze śmiercią. Przez cały czas miałem przed oczyma twarz Dejah Thoris. Odwróciwszy się ostatni raz przed opuszczeniem ogrodu pałacowego zobaczyłem, że księżniczka zachwiała się i osunęła na ziemię tuż obok małego inkubatora. Zrozumiałem, że zapadła w omdlenie, które zakończy się śmiercią, jeżeli dostawy powietrza nie zostaną zwiększone, więc teraz wyzbyłem się wszelkiej ostrożności, wyrzuciłem za burtę wszystko poza silnikiem i kompasem, nawet moje ozdoby i insygnia i leżąc na brzuchu, wyciągnięty wzdłuż łodzi, jedną ręką trzymałem ster, a drugą przesuwałem do oporu dźwignie regulującą prędkość. Gnałem przez rozrzedzone powietrze Barsoomu niczym meteor. Na godzinę przed zapadnięciem mroku zobaczyłem wreszcie potężne mury fabryki powietrza, zmniejszyłem prędkość i wylądowałem przed małymi drzwiami, za którymi krył się ratunek dla Barsoomu.

Starano się przebić ścianę tuż obok drzwi, ale ogromna rzesza ludzi zdołała zaledwie zadrasnąć jej twardą jak kamień powierzchnię- Większość z tych ludzi leżała teraz, pogrążona' w ostatnim śnie, z którego nawet napływ świeżego powietrza nie mógłby ich obudzić.

Sytuacja była znacznie gorsza niż w Helium. Już prawie nie było czym oddychać. Świadomość zachowało zaledwie kilku robotników.

- Jeżeli otworzę drzwi - spytałem jednego z nich - czy jest tu ktoś, kto potrafiłby uruchomić maszyny?

- Ja mógłbym to zrobić - odpowiedział - jeśli otworzysz je szybko. Zostało mi zaledwie parę chwil życia. Jednak próby są bezcelowe, obaj nadzorujący nie żyją, a prócz nich nikt na Barsoomie nie zna sekretu tych przeklętych zamków.

Nie było czasu na dalsze rozmowy, czułem, że z każdą chwilą słabną coraz bardziej i już z trudnością panuje nad swym umysłem. Upadłem na kolana i skupiając resztkę woli wysłałem dziewięć fal myślowych w stronę, tych straszliwych drzwi. Marsjanin podczołgał się ku mnie i w śmiertelnej ciszy, z oczyma wlepionymi w płaszczyznę przed nami czekaliśmy na efekt moich wysiłków. Drzwi drgnęły i zaczęły się powoli cofać. Usiłowałem wstać i pójść w ślad za nimi, ale byłem zbyt słaby.

- Idź za nimi - powiedziałem do mego towarzysza. - Jeśli uda ci się dotrzeć do pomp, odkręć je wszystkie. Jest to jedyna szansa na to, by jutro Barsoom jeszcze istniał.

Z miejsca, w którym leżałem, otworzyłem drugie drzwi, a potem trzecie i patrzyłem, jak człowiek, który uosabiał nadzieje Barsoomu przeczołguje się przez nie z wysiłkiem. Potem wszystko pociemniało i straciłem przytomność.

Pieczara w Arizonie

Gdy znów otworzyłem oczy, wokół panowała ciemność. Na ciele miałem dziwne, sztywne szaty – szaty, które kruszyły się i rozsypywały w proch przy każdym poruszeniu. Przeciągnąłem dłońmi wzdłuż ciała i stwierdziłem, że jestem ubrany od stóp do głów, mimo że w chwili, w której straciłem przytomność przed małymi drzwiami, byłem całkowicie nagi.

Przed sobą zauważyłem nierówny otwór, przez który prześwitywało słabe światło księżyca. Moje ręce, wędrujące po ciele, natrafiły na kieszenie i znalazły małą paczkę zapalek, owiniętą w naoliwiony papier. Potarłem jedną z nich. Nikły płomień oświetlił coś, co zdawało się być dużą pieczarą. W jej głębi zauważyłem dziwną, nieruchomą postać, skuloną na małej ławce. Podeszedłem bliżej i stwierdziłem, że były to z mumifikowane zwłoki starej kobiety o długich czarnych włosach, pochylone nad pozostałościami paleniska, na którym stał miedziany kociołek z małą ilością jakiegoś zielonego proszku na dnie.

Za nią, wzdłuż całej pieczary, na podwieszonym u pułapu rzemiennym pasie wisiały ludzkie szkielety. Do rzemienia przywiązany był sznur, którego drugi koniec tkwił w dłoni martwej kobiety. Gdy go dotknąłem, szkielety poruszyły się, wydając odgłos, podobny do szelestu zwiędłych liści.

Był to groteskowy, a jednocześnie pełen grozy widok. Czym prędzej uciekłem z tego makabrycznego miejsca na świeże powietrze. Widok, który ujrzałem, gdy wyszedłem na małą, skalną półkę przed wejściem do pieczary, zaskoczył mnie i skonsternował.

Przed sobą widziałem nowe niebo i nowy krajobraz. W oddali srebrzył się łańcuch gór, na niebie wisiał niemal nieruchomy księżyc, oświetlając leżącą u moich stóp, porośniętą kaktusami dolinę – widok zupełnie różny od tych, do których przywykłem na Marsie. Przypomniałem sobie wszystko i złapawszy się za głowę, złamany i pełen smutku, poszedłem w dół drogą, zaczynającą się u wejścia do pieczary.

Nade mną błyszczało czerwone oko Marsa, odległe o czterdzieści osiem milionów mil, starannie ukrywające odpowiedź na dręczące mnie pytania.

Czy Marsjanin dotarł do pomieszczenia, w którym znajdowały się pompy? Czy ożywcze powietrze zostało dostarczone na czas, by uratować mieszkańców tej odległej planety? Czy moja Dejah Thoris żyła, czy też jej piękne ciało, ogarnięte chłodem śmierci spoczywało obok małego inkubatora w ogrodzie na dziedzińcu pałacu Tardos Morsa, jeddaka Helium?

Przez dziesięć lat czekałem i modliłem się o odpowiedź na moje pytania. Przez dziesięć lat czekałem i modliłem się, by Bóg pozwolił mi wrócić do świata mojej utraconej miłości. Wolałbym leżeć martwy obok Dejah Thoris, niż żyć na Ziemi, oddalony od niej o miliony straszliwych mil.

Stara kopalnia, którą zastałem nietkniętą, uczyniła mnie bardzo bogatym, lecz cóż mi po majątku!

Dzisiaj gdy siedzę tutaj, w moim małym gabinecie, którego okna spoglądają na rzekę Hudson, mija właśnie dwadzieścia lat od chwili, w której po raz pierwszy otworzyłem oczy na Barsopmie. Przez okno przy biurku widzę go – błyszczy na niebie, i wydaje mi się, że dziś wzywa mnie tak, jak jeszcze nigdy dotąd od tej strasznej nocy i że przez bezmiar przestrzeni widzę piękną, czarnowłosą kobietę, stojącą w pałacowym ogrodzie, a przy niej małego chłopca. Oplata matkę ramionami, a ona

wskazuje w niebo, ku planecie, nazywającej się Ziemia. U ich stóp leży wielka, straszliwie brzydka bestia o złotym sercu.

Wierze, że na mnie czekają i mam dziwne wrażenie, że wkrótce będę się mógł o tym przekonać.

KONIEC